JACEK KOMUDA O SZLACHCIE
W całej Europie nie było drugiej tak zorganizowanej społeczności

IMPERIUM Z MEDELLÍN
Jak narkoterroryzm zmienił Kolumbię w piekło na ziemi

CHROBRY NA WOJNIE Z NIEMCAMI
Henryk II robił wszystko, by rosnący w siłę polski władca ukorzył się przed nim

NR 9(151)/2025 WRZESIEŃ 2025

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031
DO RZECZY HISTORIA

Duma I Rzeczypospolitej

SZLACHTA BEZ KOMPLEKSÓW

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA Z TERESĄ ROMER ROZMAWIA MICHAŁ LEWANDOWSKI: „CZUJĘ SIĘ UPRZYWILEJOWANA”

Czuję się uprzywilejowana

Ilość archiwaliów niezbadanych i wymagających opracowania wciąż przyprawia o zawrót głowy. Uwaga uczonych skupia się zwykle w większym stopniu na tego rodzaju źródłach „poważnych”, a tymczasem gdzieś z boku na głos cierpliwie czekają świadkowie Historii. Ich świadectwa są nie mniej ważnie od urzędowych protokołów, raportów i sprawozdań. Badacze zainteresowani dziejami emigracji polskiej po roku 1939 coraz częściej wykorzystują konwencję „książek mówionych”.

Wyścig z czasem trwa. Ostatni świadkowie Historii odchodzą cicho i niepostrzeżenie. Coraz trudniej znaleźć nie tylko uczestników tamtych wydarzeń, ale również ich bliskich krewnych, którzy w sposób świadomy przeżywali tę Historię z nimi.

Do osobistych świadectw bezwzględnie zasługujących na bycie usłyszanymi i zapamiętanymi należy opowieść pani Teresy Romer. Historykom dokumentującym dzieje polskiej emigracji jest to postać doskonale znana. Wszak to głównie dzięki jej wysiłkom pamięć o zasługach Tadeusza Romera jest powoli przywracana, a jego wkład w kształtowanie polskiej polityki zagranicznej w trudnych latach II wojny światowej zyskuje należyte uznanie. Córka polskiego dyplomaty od wielu lat niestrudzenie przypomina pracę ojca na rzecz utrzymania ciągłości państwowości polskiej po katastrofie wrześniowej oraz jego heroiczną walkę o ratunek dla uchodźców polskich i żydowskich na Dalekim Wschodzie.

(fragment Przedsłowia)



159 zł

oszczędność 43 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d8ca3081f8

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Morawica, 21 kwietnia 1938 r.

Państwo młodzi, hrabia Benedykt Tyszkiewicz i księżniczka Eleonora Radziwiłłówna, opuszczają kościół



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

W świecie panów braci

Zabobon, ciemnota i brutalność. Zarówno wobec własnych kobiet, jak i chłopów. A do tego wszechobecne pijaństwo i pasożytowanie na pracy chłopstwa, którego życie właściwie niczym nie różniło się od czarnych niewolników z USA. Mniej więcej w ten sposób nasza obecna popkultura maluje obraz szlachty z czasów I Rzeczypospolitej. Cel takich opowieści jest oczywisty: mamy się wstydzić szlachty i wszystkiego, co się z nią wiązało.

W tym numerze przyglądamy się światu, który stworzyli na naszych ziemiach panowie bracia. Czy był on idealny? Oczywiście, że nie, i opowieści o wyzysku z czegoś się przecież brały. Nie sposób jednak patrzeć na nasze dzieje w oderwaniu od realiów, które panowały wtedy w całej Europie. Szlachta I RP budziła ogromne zainteresowanie wśród cudzoziemców przede wszystkim z uwagi na swobody, którymi cieszyli się jej przedstawiciele. Wielu przybyszom z innych państw, przyzwyczajonym do monarchii absolutnych, coś takiego nie mieściło się w głowie. Okazuje się też, że sytuacja chłopstwa żyjącego w I RP na pewno nie była gorsza niż gdzie indziej w Europie.

O tym niezwykle barwnym, głośnym i pełnym swobody świecie polskiej szlachty pisze na naszych łamach Jacek Komuda. „Wszyscy jesteśmy duchowymi potomkami obywateli, którzy założyli dawną Rzeczpospolitą" – podkreśla ten pisarz i historyk, który jak mało kto czuje klimat I RP.

Jeżeli przyjrzymy się dzisiejszej Polsce, to trudno nie przyznać racji Jackowi Komudzie. Polskość przesiąknięta jest nie tylko zdrowym, chłopskim rozumem, lecz także umiłowaniem wolności, które było tak charakterystyczne dla panów braci. Jeżeli będziemy krzywili się na tę wyjątkową grupę społeczną, która zbudowała I RP, to nic nie zrozumiemy z polskości. ©℗

eprasa.pl d8ca3081f8

W NUMERZE



/ TEMAT NUMERU

.6 JACEK KOMUDA
Duma Rzeczypospolitej

.12 RADOSŁAW SIKORA
Osobliwości I RP

.16 SŁAWOMIR KOPER
Oryginały i postrzeleńcy

.20 TOMASZ STAŃCZYK
Staropolskie rozmaitości

/ CZASY I LUDZIE

.24 PIOTR WŁOCZYK
Białe imperium z Meddelín

.28 ŁUKASZ CZARNECKI
Rzeki krwi i atramentu

.32 MAREK GAŁĘZOWSKI
Ostatnia odsiecz Lwowa

.36 ARKADIUSZ KARBOWIAK
„Trupie główki" idą w ogień

.40 SEBASTIAN REŃCA
Taniec śmierci Białoskórskiego

.44 MARTYNA WOJTKOWSKA
Mała Polska w Pahiatua

.48 PIOTR SEMKA
Gorliwsi od Pétaina

.52 JAKUB OSTROMĘCKI
Kiedy uciekł nam Zachód?

.56 PIOTR WŁOCZYK
Błyskawice i „jajka"

.60 MIKOŁAJ IWANOW
Autonomiczna maskirowka

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Na rogu Piotrkowskiej i Tuwima

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Włoskim okiem

.71 PIOTR SEMKA
Jak sztukasy wykończyły Hitlera

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 LESZEK LUBICKI
Chrobry kontra Niemcy: I runda

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Pobojowiska i muzea wojny secesyjnej

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Od studni do lodówki

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Mięsne szturmy

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Junkersy płoną na Bielanach



eprasa.pl d8ca3081f8

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl d8ca3081f3

Wyrośli z rycerstwa / Szlacheckie wolności i obowiązki



Husaria na „Rolce sztokholmskiej" (XVII w.)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Duma Rzeczypospolitej



Jacek Komuda

Stan szlachecki stworzył podstawy współczesnej kultury polskiej. Czy mamy herby czy nie – wszyscy jesteśmy duchowymi potomkami obywateli, którzy założyli dawną Rzeczpospolitą

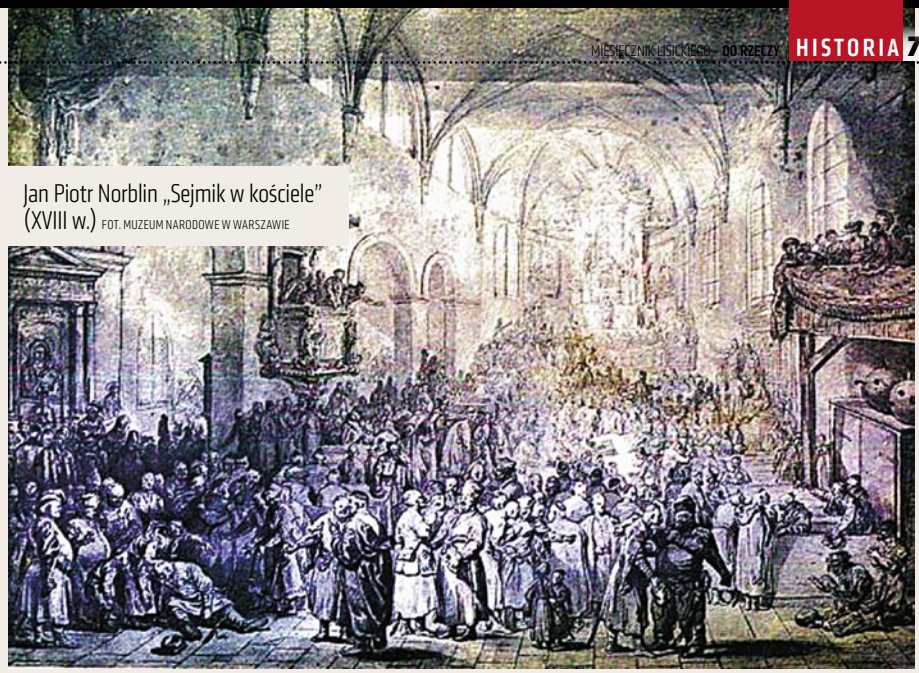
Skąd wzięła się w Polsce ogromna rzesza ludzi przypisująca sobie pochodzenie od mitycznych Sarmatów, którzy przybyli nad Wisłę i stworzyli państwo znane jako Rzeczpospolita? Wbrew pismom Wincentego Kadłubka i Jana Długosza geneza szlachty polskiej jest słowiańska, choć zapewne z licznymi domieszkami skandynawskimi i ruskimi. Pochodziła ona z grupy wolnych, najliczniejszej części społeczeństwa słowiańskiego z czasów pierwszych Piastów, z której być może Mieszko wyodrębnił grupę zawodowych wojowników. Z nich wywodziło się wczesne rycerstwo feudalne, które służyło później władcy w zamian za nadanie ziemi. W ciągu wielowiekowych przemian grupa ta zmieniła pozostałych wolnych w zależnych od siebie chłopów.

Później rozwój gospodarczy Europy Zachodniej i zapotrzebowanie na produkty rolne spowodowały, że rycerstwo stało się najbogatszym, najbardziej wpływowym stanem w Królestwie Polskim, wymuszając na władcach kolejne przywileje. Jednocześnie, podobnie jak w innych krajach Europy, rycerstwo zaczęło przekształcać się w szlachtę, mającą coraz mniej wspólnego z warstwą zawodowych wojowników. W Polsce doszło do tego ostatecznie w 1454 r., na początku wojny trzynastoletniej, kiedy okazało się, że pospolite ruszenie rycerstwa, które jeszcze 44 lata wcześniej rozbiło armię krzyżacką pod Grunwaldem, nie jest w stanie sprostać najemnikom zakonu. Jednocześnie zaszły ważne przemiany w zarządzaniu majątkami, gdzie w stosunkach chłopów z właścicielami ziemi zaczęła dominować renta odrobkowa zwana pańszczyzną, uzależniająca tych pierwszych od szlachciców.

Przywileje a konstytucja

Jedną z najważniejszych cech szlachcica było przywiązanie do wolności, zawierającej się w przywilejach gwarantujących mu udział w rządach w Rzeczypospolitej, nietykalność osobistą i wolność wyznania. Całość owych przywilejów nazywana była „złotą wolnością" i stała się hasłem, dla którego masy szlacheckie gotowe były wystąpić przeciwko królowi. Wolności owe stały się też w naszej historiografii symbolem rzekomej szlacheckiej anarchii, która doprowadziła Rzeczpospolitą do upadku. Jest to ogromny i szkodliwy mit, który powstał w XIX w., gdy w rozdartej przez zaborców Polsce nie obowiązywały

eprasa.pl d8ca3081f8



Jan Piotr Norblin „Sejmik w kościele" (XVIII w.) FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

żadne wolności. Historykom i publicystom żyjącym w monarchiach carskiej, pruskiej i austriackiej dawne przywileje szlachty wydawały się zatem jakąś anarchiczną, przerośniętą wolnością. Jednak porównanie aktów prawnych określających granice owej „złotej wolności" z dzisiejszymi prawami Polaków i w ogóle Europejczyków pokazuje, że złota wolność była po prostu starszą wersją dzisiejszych praw obywatelskich.

Czy to ona więc odpowiadała za upadek Polski i Litwy pod koniec XVIII w.? Nie. Zadecydował o tym wadliwy system polityczno-prawny państwa, gdyż to on, a nie wolności osobiste decyduje o tym, jak działają państwo i prawo. Osobiste przywileje nie mają tu nic do rzeczy, zwłaszcza że porównanie ich z dzisiejszymi pokazuje, iż szlachcic miał wolności takie same jak my, współcześni obywatele Rzeczypospolitej i Europy. I tak: przywilej koszycki nadany w 1374 r. przez Ludwika Węgierskiego jest odpowiednikiem art. 84 naszej konstytucji, w którym każdy obywatel RP zobowiązany jest do ponoszenia ciężarów i świadczeń publicznych, w tym podatków. Przywilej „Neminem captivabimus nisi iure victum", który znaczy: „Nikogo nie uwięzimy bez wyroku sądowego", jest odpowiednikiem naszego art. 41 zapewniającego każdemu obywatelowi nietykalność osobistą i wolność oraz zabraniającego więzić go bez wyroku sądowego.

Akt konfederacji warszawskiej z 1573 r. przyznaje wszystkim tolerancję religijną, będąc odpowiednikiem art. 53 konstytucji z 1997 r., który stanowi: „Każdemu zapewnia się wolność sumienia i religii". Z kolei przywilej uczestniczenia w elekcji królów niczym nie różni się od dzisiejszych artykułów gwarantujących powszechne, czynne i bierne prawo wyborcze. Obecnie odpowiednikiem tego przywileju jest art. 62 konstytucji, gdzie postanowione jest, że „obywatel polski ma prawo udziału w referendum oraz prawo wybierania Prezydenta Rzeczypospolitej, posłów, senatorów i przedstawicieli do organów samorządu terytorialnego, jeżeli najpóźniej w dniu głosowania kończy 18 lat". I co? Gdzie te niezwykle anarchizujące przywileje szlacheckie? Są dziwnie podobne do dzisiejszych praw, choć oczywiście nie tak szczegółowo opisane. A czy istniał jakiś przywilej szlachecki, który wykracza poza swój współczesny odpowiednik? Tak, był jeden, zawarty w Konfederacji Warszawskiej, aczkolwiek jego interpretacja, tak jak w przypadku liberum veto, jest niejasna. Chodzi o prawo do wypowiedzenia posłuszeństwa królowi, jednak podane w formie przysięgi składanej przez władcę, który oświadcza, że jest świadom, iż jeśli złamie prawa, to… obywatele mają prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Nie oznacza to od razu przyzwolenia na bunt, jednak bardzo często tak właśnie rozumiano ten punkt. Współczesnym jego odpowiednikiem jest niejako przysięga prezydenta (jeśli uznamy jego urząd za częściową przynajmniej kontynuację godności króla) zawarta w art. 130 konstytucji.



Potwierdzenie przez Stefana Batorego przywilejów szlachty

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

Europa patrzy

Jeszcze na początku XVIII w., czyli już w okresie upadku republiki, szlachta imponowała cudzoziemcom bogactwem i ogładą, a także znajomością języków (zwłaszcza łaciny). Niezwykłe wrażenie wzbudziła przemowa posła polskiego u królowej Elżbiety Wielkiej. Paweł Działyński w 1597 r. występował w imieniu Zygmunta III Wazy, króla Polski i Szwecji. Mówił po łacinie w ostrym tonie, żądając wolnej drogi morskiej do Hiszpanii oraz prawa handlu z Anglią dla kupców z Gdańska i Polski. Jego elokwencja przeraziła Elżbietę. „Rany boskie, panowie – rzekła – zmuszono mnie dziś, bym przewietrzyła swą łacinę, którą już od dawna przeżarła rdza". Ponoć na koniec audiencji… uciekła, pozostawiając dokończenie sporu lordowi Cecilowi Burgheyowi, kanclerzowi Izby Skarbowej, i innym dostojnikom.

Jednak znajomość łaciny bladła w porównaniu z pokazami potęgi Rzeczypospolitej, którymi były poselstwa, przykładowo wjazd do Rzymu Jerzego Ossolińskiego 27 listopada 1633 r., celem złożenia hołdu papieżowi w imieniu króla Władysława

eprasa.pl d8ca30813



Senat i izba poselska podczas sejmu koronacyjnego (XVII w.)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA

IV Wazy. Zarówno poseł, jak i towarzysze pokazali się w strojach polskich, co wzbudziło sensację. Orszak poprzedzały 22 wozy okryte czerwonym suknem. Szło też 10 wielbłądów okrytych kolorowymi oponami wiedzionych przez Tatarów i Ormian. Za nimi prowadzono konie w tureckich rzędach, z kulbakami nabijanymi diamentami, turkusami i rubinami. Wśród rzymskiego plebsu krążyły wieści, że jeden z nich miał na nagłówku klejnot warty 30 tys. złotych polskich. Szablę Ossolińskiego szacowano na 20 tys. Konie celowo źle podkuto złotymi podkowami, aby spadły i stały się łupem tłumu. Ogromne zdziwienie wzbudzały hojność i bogactwo polskich panów, którzy rozdawali konie, pasy, szable i pistolety.

Zdumienie i strach budziła liczebność szlachty, którą można było podziwiać na sejmach elekcyjnych i w czasie zwołania pospolitego ruszenia. „Polska ma 70 tysięcy wsi i tyleż dobrej jazdy może wystawić do boju, wraz z pośledniejszą, każdy bowiem szlachcic jest obowiązany stawić się konno na wojnę [...]. Wojsko złożone z samej szlachty jest bitne, dobrze odziane i uzbrojone [...]. Król ma w Wilnie 180 dział wielkiego kalibru, mnóstwo mniejszych” – wspominał ok. 1560 r. Bernard Bongiovanni, nuncjusz apostolski.

W XVII w. nawet klęski takie jak potop wywołują u postronnych raczej zdziwienie, niż obalają mit siły Rzeczypospolitej. „Zachodzi pytanie [...], jak to się mogło stać, że król szwedzki na czele 40 tysięcy ludzi podbił i spustoszył kraj, którego armia liczyła co najmniej 200 tysięcy żołnierzy. Zostało spowodowane to chyba brakiem władzy ich króla, niewielkim rozsądkiem dowódców, niezgodą i buntami” – zastanawiał się anonimowy autor „Podróży pana Payen”.

Tak duża liczba uzbrojonych i wolnych ludzi sprawiała, że aż do połowy XVIII w. żaden z sąsiadów nie myślał o możliwości zajęcia całej Polski; kraju, gdzie co kilka kilometrów znajdował się dwór z załogą złożoną ze szlachcica i jego sług. Na ich ujarzmienie po prostu nie starczyłoby własnego wojska, tak jak nie wystarczyło żołnierzy Karolowi Gustawowi w czasie potopu. Poza tym Rzeczpospolita zdumiewała ogromem terytorium położonego w dorzeczu Wisły, Niemna, Dniepru i Dniestru, bogactwem ziem i żyznością pól. „Jest Polska błogosławionym krajem, ma żyzną rolę, zdrowe powietrze, ryby i rybne rzeki. Jest prawdziwą spiżarnią zboża i ma także piękne bydło. Są tu też ogniste i wytrwałe konie” – wspominał Ulryk Werdum, Fryzyjczyk szpiegujący nas w latach 70. XVII w.

Jehan Choisnyn, biskup Walencji, który przebywał w Polsce w 1572 r., pisał o trzech powodach chwały Królestwa. Pierwszym był obszar dwukrotnie większy od Francji, drugim duża urodzajność kraju i nadmiar produktów koniecznych do zaspokojenia potrzeb życiowych. Trzecim – szlachta, która „wybija się ze wszystkich innych narodów”, potrafi też przejąć cnoty od innych. Do tego dochodziły też tolerancja – podtrzymywanie więzów przyjaźni pomimo różnic w wierze – oraz „wierność i posłuszeństwo Polaków wobec królów”.

Po chłopsku

Ciekawe są też opinie cudzoziemców o chłopach, co pokazuje ich relację z panami. Świadczą one o tym, że do końca XVII w., pomimo zwiększania obciążeń pańszczyźnianych, ich poziom życia był dobry, a przede wszystkim nie głodowali. „Mógłby ktoś sądzić, że chłopi w Polsce uważają się za najnieszczęśliwsze istoty, skoro wypadło im żyć w stanie niewolniczym. Tymczasem sądzą, że pośród ludzi ich pokroju właśnie oni mają najbardziej sprzyjające warunki [...], przynajmniej ze stanu swego odnoszą korzyść, iż przez całe życie mają zapewnione utrzymanie” – pisał Gaspar de Tende. I wspominał też, że obiad chłopski składa się z czterech potraw, a „mężczyźni w Polsce są świetnie zbudowani [...], córki chłopskie posiadają dobry wzrost i proste plecy”. Takie same opinie wygłaszał pod koniec XVII w. Bernard O’Connor: „Chłopi w Polsce urodzeni jako niewolnicy, nie mając żadnego pojęcia o wolności, są zadowoleni z życia. W Kurlandii są oni tak samo poddani właścicielom ziemskim, jak w Polsce i w obu tych krajach panowie są niemal uwielbiani”. Bardzo źle wypada porównanie wieśniaków polskich i zachodnich. Thomas Salmon pisał w roku



Szlachta w mundurach wojewódzkich

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KATALOG.MUZEUM.KRAKOW.PL

eprasa.pl d8ca3081f8



Dwór obronny w Szymbarku FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HENRYK BIELAMOWICZ

1744, że tym pierwszym „panowie pozostawiają wystarczająco środków do utrzymania siebie i swoich rodzin i [...] rzadko są doprowadzani do takiej nędzy, do jakiej często doprowadzani są nasi pożałowania godni farmerzy i wieśniacy".

Skąd brały się takie opinie? Prawda o pańszczyźnie jest prosta: chociaż przywiązywała chłopa do ziemi (w realiach I Rzeczypospolitej mógł łatwo uciec od pana i przejść do innego, oferującego lepsze warunki), to jednak obowiązywała ona obie strony. Poddany ciężko pracował na roli właściciela, ale wiedział, że pan nie da mu umrzeć z głodu. Widmo śmierci głodowej przerażało mieszkańców europejskich wsi, dlatego chłop godził się na ciężką pracę i uzależnienie.

Naród w narodzie

Do dziś nie ma pewności, ile dokładnie szlachty zamieszkiwało ziemie dawnej Rzeczypospolitej. Starsi historycy, jak Witold Kula, uważali, że stanowiła ona ok. 8–10 proc. ludności. Jednak prawdziwy odsetek jest trudny do oszacowania. Szczegółowe badania takich autorów jak Antoni Mączak i Marian Biskup pokazywały, że na naszych ziemiach były województwa i powiaty o ogromnej liczbie szlachetnie urodzonych, a także takie – zwłaszcza wschodnie ziemie – na których było ich bardzo mało. Szlachta wielkopolska stanowiła 5,6 proc. ogółu mieszkańców, małopolska – 4,6 proc., natomiast na Podlasiu i Mazowszu było jej odpowiednio 20 proc. i 23,4 proc. Bywały takie obszary Rzeczypospolitej, gdzie szlachetnie urodzonych spotykano tyle samo, co mieszczan lub chłopów. Na ziemi wiskiej mieszkało 45 proc. panów braci, a na łomżyńskiej 47 proc. Absolutny rekord pobił pod tym względem powiat zambrowski – był szlachecki w 60 proc.! Z kolei w leżącym na Ukrainie województwie bracławskim szlachcicem był zaledwie co 100. mieszkaniec. Liczby te oznaczały, że w zależności od okresu historycznego szlachty było w Rzeczypospolitej od ok. 800 tys. do ponad miliona. Tak oto stan szlachecki stał się miniaturą społeczeństwa, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Był on podzielony pod względem własności. Posesjonaci posiadali majątki ziemskie. Na czele tej grupy znajdowali się właściciele ogromnych fortun, jak choćby hetman Stanisław Koniecpolski, który pod koniec życia dzierżawił 205 wsi, 16 miast i miasteczek oraz blisko 30 folwarków. Zwykli szlachcice mieli w dzierżawie lub posiadali prywatnie od jednej wsi do kilku. Niżej sytuowała się szlachta cząstkowa lub kolokacyjna posiadająca zaledwie części wiosek. Jeszcze niżej na drabinie społecznej stał szlachcic zaściankowy, zwykle obrabiający swój spłacheć pracą własnych rąk, jak chłop. Najniżej znajdowała się szlachta zwana gołotą lub hołotą, mająca za cały majątek honor i herb, czasem tylko szablę przy boku.

Było jednak coś, co wyróżniało polski stan szlachecki od potomków rycerzy na Zachodzie. Cała polska szlachta, a od sławnej unii lubelskiej także litewska i ruska, była równa wobec prawa. Chudopachołek z zaścianka miał, przynajmniej w teorii, takie same prawa i przywileje jak wielki magnat, np. Jeremi Wiśniowiecki. Co więcej, stan szlachecki nie miał żadnej hierarchii, w przeciwieństwie do odpowiadających mu grup społecznych we Francji czy w Rzeszy Niemieckiej. Nikt w Rzeczypospolitej nie mógł używać tytułów książęcych czy hrabiowskich nadanych przez cudzoziemskich władców. Tolerowano tylko stare książęce familie z Litwy, jak Wiśniowieccy, Sanguszkowie, Zasławscy-Ostrogscy i inni. Szlachcic był szlachcicem, obojętnie, czy mieszkał w zamku czy w zrujnowanym dworze. I oczywiście starał się odróżnić od przedstawicieli innych stanów ubiorem, obyczajami i wyglądem. A w pierwszej kolejności – swoim domem.

Dwory z wież rycerskich

Każdy wie, że szlachcic mieszkał we dworze, którego wygląd stał się wizytówką naszego kraju. Kłopot jednak w tym, że prawie wszystkie dworki, które przetrwały wojny światowe, sowieckie najazdy i rządy komuny, wybudowane zostały w wiekach XIX i XX. Jak w takim razie wyglądały siedziby szlacheckie dwa stulecia wcześniej? Niestety, przetrwało ich niewiele, a i te, które znamy, jak dwór w Goszycach, były przebudowywane w kolejnych stuleciach.

Stary dwór szlachecki był murowany albo drewniany i powstał z wieży rycerskiej (takie budowle wznoszono jeszcze w XV w.). W miarę upływu czasu zmieniały się one w budynki często ozdabiane alkierzami – przybudówkami przypominającymi baszty zamku. Jednym z najstarszych takich obiektów jest dwór w Łasku powstały w pierwszym ćwierćwieczu XVI stulecia z inicjatywy abp. Jana Łaskiego i mający wiele cech średniowiecznej wieży obronnej.

Kolejnym typem dworu murowanego była budowla, którą dawni Polacy zwali w XVII w. „kamienicą". Jak podaje Leszek Kajzer, wybitny historyk budownictwa dworskiego: „Niepisaną normą był budynek o trzech kondygnacjach, wzniesiony na planie krótkiego prostokąta i czasami opięty przyporami w narożach". Świetnym przykładem jest dwór w Jeżowie koło Gorlic; patrząc na niego, łatwo wyobrazić sobie, jak ewoluowała dawna wieża rycerska – z wąskiego i wysokiego budynku mieszkalnego stawała się coraz niższa i szersza, niejako „rozpychając

eprasa.pl d8ca3081f8

się" na boki, aby uczynić mieszkanie wygodniejszym dla szlachty epoki renesansu. Kamienice te zwykle miały prosty podział wewnętrzny – dwie, trzy lub cztery izby na parterze i mniej pomieszczeń na piętrze, ponieważ znajdowała się tam duża sala jadalna.

Inną formą dawnych dworów murowanych był kasztel, nawiązujący często do włoskich obiektów obronnych, jak choćby Castello San Giorgio należący do Gonzagów. Nasz polski odpowiednik to przykładowo dwór w Szymbarku wybudowany pod koniec XVI w.

W kolejnych wiekach dwory wieżowe bywały opuszczane i stawały się lamusami, czyli składami staroci. Często w obrębie jednego założenia dworskiego znajdowały się obiekty z różnych epok. Stare porzucano, a nowe wznoszono tuż obok. Na przykład w Branicach zachowały się przebudowany na początku XVII w. dwór wieżowy Branickich oraz powstały prawie 200 lat później klasycystyczny dwór Badenich, wzniesiony, gdy jego poprzednik przestał być wygodny.

W XVII w. zaczęła się pojawiać w polskim krajobrazie ogromna liczba dworów i dworków wznoszonych z drewna. Stało się tak z dwóch przyczyn. Pierwsza to gwałtowne rozrodzenie się szlachty, potrzebującej nowych siedzib. Druga to zniszczenia dokonane w czasach potopów kozackich, moskiewskich i szwedzkich, po których wielu panów braci nie stać było na wielkie, murowane dwory przodków z XVI stulecia.

Zwykło się mówić, że dwory były budowane jedynie z modrzewia. Nie jest to jednak prawda. Wznoszono je właściwie z każdego dostępnego budulca. A więc także z jodły, sosny, czasami nawet z... chrustu, czyli plecionki z łozy, oblepianej gliną. Na przykład we wsi Pisarowice pod Sanokiem stał 400 lat temu dwór, który miał ściany z chrustu i gliny; ciekawe, że chociaż było to ubogie mieszkanie szlachcica, to jednak zbudowano przy nim basztę obronną.



Jan Zamoyski w żupanie i delii FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EMAX

Kolejnymi elementami, które nie zachowały się do dzisiejszych czasów, były otaczające szlachecką siedzibę umocnienia drewniano-ziemne, obecne zwłaszcza na wschodnich kresach państwa. Dlatego często w dawnych aktach taki dwór określany był mianem „fortalicjum" otoczonego parkanem, czyli murem z drewnianych brusów, wpuszczonych we wkopane pionowo słupy; palisadą, fosą z ostrokołem, zaopatrzony w basztę i wieże obronne. Jeśli sam dworek był murowany, to dostawał zwykle przydomek „muratum". Z kolei zameczek drewniany, potężniejszy od dworu, określany był jako „arx".



Jerzy Ossoliński z podgoloną głową FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MN W KRAKOWIE

Wszystkie te umocnienia, nawet jeśli dwór przetrwał do naszych czasów, były w XIX w. rozbierane i zastępowane przez parki albo stawy, przez co szlacheckie domostwa traciły swoje walory obronne. Ciekawe jednak, że jeszcze w XVIII stuleciu w zachodniej części Polski budowano obronne dwory na kopcach, aby przypominały dawne, rycerskie siedziby.

Łeb podgolony

Sarmatyzm, czyli styl życia szlachcica polskiego, obejmował nie tylko architekturę, lecz także modę. Już w wieku XVI stroje polskie były tak odmienne od francuskich czy niemieckich, że Polacy wyjeżdżający za granicę musieli się w przebierać, aby nie wzięto ich za Turków. „Widzieliśmy tej zimy poselstwo polskie – napisała w pamiętnikach Françoise de Motteville o poselstwie polskim przybyłym w 1645 r. do Paryża – które pokazało nam tę dawną świetność przejętą przez Persów od Medów [...]. Chociaż Scytowie nie słynęli z przywiązania do zbytku, to potomkowie ich jednak, jako sąsiedzi Turków, zdają się naśladować przepych i okazałość seraju".

Takie opinie to zwykły mit. Dokładna analiza dawnego malarstwa pokazuje, że szlacheckie żupany, delie i czapki wywodziły się nie z Turcji, ale z rycerskiej kultury XV-wiecznej Europy. Moda ta przetrwała tylko w Rzeczypospolitej i na Węgrzech. Na Zachodzie zanikła tak dalece, że dwa wieki później szlachcic polski kojarzył się z Turkiem, a nie z rycerstwem okresu wojny stuletniej.

Prawdopodobnie jej początków należy szukać w końcówce XIV w., gdy dotarły do nas ubiory burgundzkie i francuskie. Pojawiły się jopule i długie szaty przepasywane w talii, występujące w dwóch odmianach: jako jopula spodnia, czyli doublet (krótki kaftan do bioder, sznurowany i z wysokim kołnierzem), a także gippon – luźniejszy, krótki lub długi, zapinany na guzy, prawdopodobnie przodek szlacheckiej żupicy i żupana. Najszerzej rozpowszechnionym typem męskiej odzieży był wspomniany gippon lub doublet.

W takim właśnie gipponie spoczywa Władysław Jagiełło na nagrobku w katedrze na Wawelu. Gdyby wykonać kopię tej szaty, okazałoby się, że przypomina ona późniejsze żupany. Jopule i gippony, zwane według regestrów Hinczki, podskarbiego dworu Władysława Jagiełły, jakami, były na zachodzie Europy strojem książąt i arystokracji. W Polsce przyjęły się jako wyróżnik stanu rycerskiego. Powyższe fakty mogą wydawać się szokujące, gdyby nie dawna ikonografia. Na przykład na obrazie „Ofiarowanie manuskryptu Filipowi Dobremu, księciu Burgundii", przypisywanemu Rogierowi van der Weydenowi, pokazany jest tłum rycerzy i dostojników z podgolonymi głowami, w jopulach i gipponach przypominających polskie żupany. Sam książę wygląda niemal jak szlachcic z XVII w., gdyby nie brak wąsów, których jednak wówczas po prostu nie noszono.

eprasa.pl d8ca3081f8



Bernardo Bellotto „Wjazd Jerzego Ossolińskiego do Rzymu”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

W połowie XV stulecia nastąpiło rozejście się mody wschodu i zachodu Europy. We Francji, w Rzeszy i w Hiszpanii królowie i książęta stali się kreatorami nowych stylów. Modę tworzyli też żołnierze – zwłaszcza legendarnych formacji wojskowych – jak choćby niemieccy lancknechci. W Polsce było jednak inaczej. Na progu nowego stulecia przyszły do nas, zapewne z Węgier, takie nowości jak szubica, dołoman, czyli kaftan wierzchni, a także wschodnie materiały i szamerunki z Turcji.

Orientalizacja, a właściwie madziaryzacja ubioru budziła zdumienie. W 1515 r. Ricardo Bartholini, opisujący zjazd wiedeński, zwrócił uwagę na białe, zwężające się kołpaki posłów polskich. Dwa lata później, podczas wjazdu orszaku królowej Bony do Neapolu, Giuliano Passero zapamiętał, że część posłów polskich i ich czeladzi ubrana była „w bardzo dziwny sposób” – po węgiersku.

Przełomem było panowanie Stefana Batorego. Zwycięski król stał się wzorem do naśladowania, gdyż ubierał się na sposób węgierski. Wówczas ubiór będący skrzyżowaniem dawnych szat rycerskich i stroju węgierskiego został przyjęty jako strój szlachecki. Składał się z żupana, czyli szaty wywodzącej się od dawnego gippona i jopuli, obcisłych spodni i narzuconej na ramiona delii. Na głowie oczywiście futrzana czapka albo spiczasty kołpak ozdobiony szkofią, pękiem piór lub później trzęsieniem. W powszechnym użyciu była sukienna czapka z piórem zwana magierką (od węgierskiego słowa „Magyar”, czyli Węgier). W latach 40. XVII w. ferezję i delię zaczął wypierać kontusz – węgierski ubiór wierzchni, wyposażony w wyloty, czyli rozcinane rękawy, które zarzucano na plecy. Ten strój z pewnymi zmianami przetrwał aż do końca dawnej Rzeczypospolitej.

Pokrętny czub

Kolejnym wyróżnikiem szlachcica było podgalanie głowy znane już u dawnych Normanów i rycerzy. Pierwsza wspomina o tym „Kronika Limburska” pod rokiem 1384, pisząc, że rozpowszechniła się fryzura „obcięta powyżej uszu, podobna do fryzury mnichów”. We Francji znana była jako en ecuelle – co można tłumaczyć jako „na misę” lub „na donicę” – rycerze golili bowiem skronie po bokach i cały kark. Widać ją na portretach księcia Burgundii Filipa Dobrego i na wizerunku Henryka V, króla Anglii. Na Zachodzie zanikła ok. 1450 r. i została tam zapomniana razem z rycerskimi cnotami. Jednak wcześniej z Francji i Burgundii ten styl przeszedł na Węgry, o czym świadczą nieliczne zachowane obrazy i ryciny. Podgolone na rycerski sposób włosy miał np. w 1515 r. poseł węgierski na dworze cesarza Maksymiliana. Równocześnie Węgrzy przejęli od Turków drugi sposób podgalania – wysoki, z pozostawieniem nad czołem dłuższego kosmyka włosów – zwanego potem w Polsce czubem lub czupryną. Oba te sposoby golenia głowy przyszły do naszego kraju w XVI w.

Pierwsi podgoleni na modę burgundzką Polacy pojawiają się na „Lamencie” z tumby nagrobnej Krzysztofa Szydłowieckiego w kolegiacie opatowskiej, który powstał ok. 1533 r. Głowę podgalał sam Stefan Batory, a przynajmniej tak przedstawiony jest na portrecie Marcina Kobera z 1583 r. Portrety i miniatury pozwalają sądzić, że w Rzeczypospolitej przyjęły się dwa sposoby podgalania; zarówno węgierski, wysoki, jak rycersko-burgundzki – dookoła głowy. Na „Rolce sztokholmskiej” z 1606 r. podgolone głowy ma ponad połowa szlachty, zwłaszcza wojskowi. Podgoleni są Sebastian Lubomirski, kasztelan wojnicki na portrecie sprzed 1613 r. i Jan Magnus Tęczyński, wojewoda krakowski. Węgierski czub nosi Stanisław Lubomirski, wojewoda krakowski i hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz na portrecie z 1620 r. Podobną fryzurę ma też Jerzy Ossoliński w połowie XVII stulecia.

Moda na podgalane łby zmieniała się wielokrotnie. „Póki suknie długie były w modzie – pisał Jędrzej Kitowicz – czupryna także była długa, a z tyłu i z przodu wszędzie równo okrągła, rzęsista, pół czoła z przodu, a z boków pół ucha zajmująca, spod której cały kark wyglądał [...]. A kiedy na jej miejsce nastała insza [...], czupryna zredukowana została do kilku włosów na samym wierzchu pozostałych. Dlatego takie głowy młokosom, dworakom najwięcej upodobane, poważniejsze osoby nazywały głowami cebulanymi”.



Kazimierz Żwan „Karczma”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8



Panorama Warszawy (XVI w.). Ilustracja Fransa Hogenberga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM WARSZAWY

Wywiad / Z dr. Radosławem Sikorą, historykiem, autorem książki „Dawna Rzeczpospolita na nowo odkryta"



rozmawia Piotr Włoczyk

Osobliwości Rzeczypospolitej

PIOTR WŁOCZYK: Gdyby w czasach I RP ktoś robił ranking miast, które z nich byłoby numerem jeden?

DR RADOSŁAW SIKORA: Pod względem bogactwa zdecydowanie Gdańsk. Nie Kraków, czyli stolica, ale właśnie Gdańsk, który był największym i najbardziej ludnym miastem Rzeczypospolitej. W całym kraju nie było większego emporium handlowego, a i w Europie niewiele innych mogło się z nim równać. Gdańsk był niekwestionowanym numerem jeden aż do połowy XVIII w., kiedy bardzo dynamicznie zaczęła się rozwijać Warszawa. Znaczący magnaci,

eprasa.pl d8ca3081f8



Isaak van den Blocke „Gdańszczanki i polska szlachta” FOT. DOMENA PUBLICZNA

którzy chcieli być w centrum towarzysko-politycznym kraju, budowali wtedy swoje pałace właśnie w Warszawie, a nie w Krakowie.

Co wywołało tę zmianę?

Wiąże się to z wypadkiem, który spowodowała ciekawość Zygmunta III Wazy. Ten król miał szerokie zainteresowania: pochłaniała go sztuka, a także eksperymenty alchemiczne. Nawiasem mówiąc, niejeden szlachcic oburzał się na to, uważając, że takie rozrywki nie są godne monarchy.

Jeden z takich eksperymentów na Wawelu skończył się pożarem zamku. Na czas odbudowy dwór królewski wyniósł się do Warszawy. W rozmowach z warszawiakami lubię żartować, że król wybrał ich miejscowość, ponieważ chciał pooddychać świeżym, wiejskim powietrzem. Oczywiście to tylko żart, bo Warszawa posiadała już wówczas prawa miejskie. Niemniej jednak zdecydowanie ustępowała stolicy, jeśli chodzi o wielkość i znaczenie.

Ten tymczasowy stan przerodził się w normę. Kraków pozostał wprawdzie stolicą Królestwa Polskiego i był nią aż do rozbiorów – to tam odbywały się koronacje, pogrzeby królewskie i inne centralne uroczystości – ale po przeniesieniu dworu królewskiego do Warszawy, co miało miejsce w 1596 r., dzisiejsza stolica Polski uzyskała status miasta rezydencjonalnego króla.

Ciekawostką jest fakt, że Gdańsk, w przeciwieństwie do Krakowa czy Warszawy, nie miał na swoim terenie zamku królewskiego. Powodem było to, że tamtejsze mieszczaństwo bardzo broniło swojej autonomii. Gdy w połowie XV w. Gdańsk, wraz z innymi sąsiednimi miastami, wyzwolił się spod władzy Krzyżaków, mieszczanie zburzyli zamek i bardzo pilnowali, by żadna obca fortyfikacja nie powstała już na ich terenie.

Prusy Królewskie były w takim razie najbogatszą prowincją?

Myślę, że tak. Przede wszystkim z powodu handlu. Dzięki ujściu Wisły, największej spławnej rzeki, handel z terytorium Polski przechodził przez Prusy, co bogaciło tamtejszych mieszczan. Swoje robiło też to, że w prowincji tej istniała dobra infrastruktura. Zakon krzyżacki wprawdzie bezlitośnie uciskał swoich poddanych, pobierając wysokie podatki i wymuszając inne świadczenia, ale jednak stworzył dobrą infrastrukturę, jak drogi, czy gęstą sieć zamków.

Dodajmy do tego jeszcze doskonałą ziemię na Żuławach, co ściągnęło tam wielu imigrantów olęderskich. Zwykle zapominamy, że do Królestwa Polskiego emigrowali chłopi z innych państw. Rzeczpospolita właściwie przez całe swoje dzieje była krajem imigrantów, i to przede wszystkim chłopskich. Głównie do Prus Królewskich kierowali się emigranci z Niderlandów, a ci ludzie świetnie znali się na intensywnej uprawie roli, co zwiększało znaczenie tej prowincji.

Z punktu widzenia imigrantów wielkim plusem było to, że u nas wojsko było złożone z ochotników. Imigranci nie bali się więc poboru. Natomiast przykładowo w Prusach czy w Rosji do wojska brano na długie lata, a nawet dekady. Byliśmy też krajem tolerancyjnym pod względem religijnym i jeżeli ktoś miał pod tym kątem problemy w swojej ojczyźnie, to wiedział, że w Polsce będzie mógł żyć w spokoju. Przez setki lat korzystali z tego np. europejscy Żydzi.

Kto znalazłby się na szczycie ówczesnej listy „miliarderów”?

To trudny wybór, bo bajecznie bogatych rodów magnackich nie brakowało. Myślę, że na szczycie takiej listy znaleźliby się Radziwiłłowie, Wiśniowieccy, Ostrogscy i Sapiehowie.

Pod koniec lat 40. XVII w. Kazimierz Leon Sapieha był uważany za najbogatszego magnata Rzeczypospolitej. A na początku tego wieku najbogatszy zapewne był Konstanty Wasyl Ostrogski.

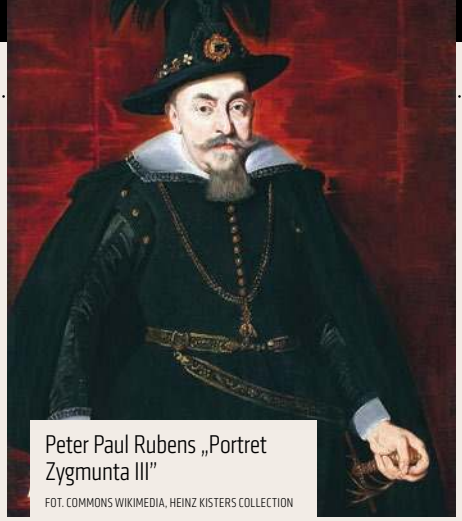
Jak to się miało do majątku króla?

To ciekawa sprawa, bo teoretycznie był on naprawdę duży i nikt nie mógł się z nim równać. Ale praktyka była jednak inna. Większość majątku władcy była



Panorma Gdańska (XVI w.). Ilustracja Fransa Hogenberga FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl d8ca3081f8



Peter Paul Rubens „Portret Zygmunta III"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HEINZ KISTERS COLLECTION

rozdawana zasłużonym ludziom – król oddawał go w dzierżawę. W takim przypadku dochody z tych majątków nie wpływały do królewskiej kasy, tylko zasilały kieszeń dzierżawców. W efekcie zdarzało się, że król żył w – relatywnej – biedzie. Tak było choćby z królem Zygmuntem III Wazą, gdy przybył do Polski, by objąć tron. Dopiero gdy zreformował majątki królewskie, podreperował stan swojego skarbca. Gdyby porównać Zygmunta III Wazę i Konstantego Wasyla Ostrogskiego, to okazałoby się, że ten drugi był bogatszy. Najlepszym miernikiem była zdolność wystawienia armii. Prywatna armia króla (to nie to samo co armia państwowa!) nigdy nie liczyła więcej niż kilka tysięcy żołnierzy. Tu Ostrogski był go w stanie przebić.

Przyjęło się myśleć, że szlachcic nie mógł handlować i wszelkie takie zadania zlecał „swojemu" Żydowi. Ale to nie do końca prawda...

Istniało wówczas jasne rozróżnienie. Szlachcic nie mógł kupczyć na rynku, np. butami. W takim przypadku groziła mu utrata szlachectwa. Ale już z jego własnymi produktami rolnymi było inaczej. Normą było, że szlachcice handlowali wołami czy zbożem. Jeżeli ktoś był bardzo majętny, to wiadomo, że musiał mieć do takich spraw ludzi, często właśnie Żydów. Jednak przeciętny szlachcic, który miał jedną wieś czy nawet trzy sąsiadujące ze sobą wioski, nie potrzebował żadnego pośrednika i sam zajmował się sprzedażą tego, co wyhodował lub co spłodziła mu jego ziemia.

Historyk, który prezentuje nurt tzw. historii ludowej, krzyknąłby tu zapewne: „Pan mógł się bogacić tylko dzięki niewolniczej pracy swoich chłopów!".

Trzeba to powiedzieć jasno: chłopi w Rzeczypospolitej nie byli niewolnikami, tylko poddanymi. Oczywiście były przypadki skandalicznego traktowania chłopów, ale tak samo dziś człowieka może spotkać na ulicy wielka krzywda, co nie znaczy, że taka jest u nas norma.

Jeżeli przyjrzymy się sytuacji chłopów w Rzeczypospolitej na tle chłopstwa w innych krajach, to okaże się, że na pewno nie była ona gorsza. Austriacy mają olbrzymie poczucie wyższości względem Polaków. Ci z nich, którzy znają historię, twierdzą, że w granicach ich rozbioru znacznie poprawiła się sytuacja chłopstwa. I, owszem, po pierwszym rozbiorze Polski doszło tam do reform – cesarz Józef nadał chłopom wolność osobistą. Ale co ci chłopi wówczas zrobili? Zaczęli masowo uciekać do wciąż istniejącej, choć okrojonej już Rzeczypospolitej! Sami bowiem uznali, że znaleźli się w gorszej sytuacji niż za panowania polskiego. Opisywał to francuski kompozytor i podróżnik Alphonse Fortia de Piles, któremu to się w głowie nie mieściło. De Piles rozmawiał z ludźmi, którzy uciekali, i słyszał od nich mniej więcej takie słowa:

„Jeżeli dom mój spłonie, jeżeli bydło wymrze, zostanę zrujnowany i umrę z głodu, gdy tymczasem w Polsce mój pan odbuduje mój dom, a jeśli zdechnie mi krowa albo świnia, to da mi inne".

Pan w nowych warunkach nie był już zainteresowany pomocą takiemu chłopu. Wcześniej zależność była dwustronna. Pan zarabiał na pracy chłopa, ale chłop mógł liczyć na pomoc ze strony pana. Obu zależało na tym, żeby ten system dobrze funkcjonował.

Zdaje się też, że w tamtych czasach nie tylko chodziło o kwestie czysto przyziemne, dotyczące bytu.

Poza wymiarem ekonomicznym był też element wiary, tradycji. Bóg stał nad królem, król nad panami, a panowie nad chłopami, którymi mieli się opiekować jak rodzice dziećmi. I wszyscy rozumieli, że tak ma wyglądać ten świat. Pan wychowywany był zazwyczaj w głębokim przekonaniu, że jednym z jego podstawowych zadań jest dbanie o swoich poddanych.

Ciekawą historię opowiedział w tym kontekście Władysław Komar, nasz słynny olimpijczyk, który wywodził się z rodziny szlacheckiej zamieszkującej Kresy. Po wojnie pojechał odwiedzić stary rodzinny majątek leżący już na terenie Związku Sowieckiego. Gdy ludzie dowiedzieli się na wsi, że „dziedzic" przyjechał, to pojawiły się głosy: „Czyli teraz już będzie dobrze!". To miało miejsce w XX w., co pokazuje, jak zakorzenione było wśród chłopów przekonanie, że można liczyć na opiekę pana.

A jak się zakończył austriacki eksperyment z nadawaniem wolności chłopom? Wiedeń wysłał wojsko na granicę, żeby uniemożliwić im ucieczkę do Polski...



Chłopi. Ilustracja z albumu „Ubiory w Polsce 1200–1795" Jana Matejki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA

Czy chłop z Rzeczypospolitej mógł liczyć na sprawiedliwość?

To zależy. Chłopi mieli bowiem różny status. W dobrach królewskich mogli się odwoływać do sądów królewskich. To była mniej więcej jedna trzecia majątków. Poza tym były też dobra kościelne i miejskie, a dobra prywatne, o których rozmawialiśmy, stanowiły również ok. jednej trzeciej wszystkich majątków.

Pan był tam równocześnie sędzią, co przecież nierzadko musiało oznaczać dla chłopa dramat.

Jeżeli trafił się pan sadysta, który miał za sobą siłę, to był

eprasa.pl d8ca3081f8

nie do ruszenia, aż zebrała się na niego większa kupa ludzi. Gromada mogła się zbrojnie zbuntować, co jednak zdarzało się dosyć rzadko, ale mogła też po prostu opuścić wieś. Inni szlachcice często byli zainteresowani pomocą takim uciekającym chłopom, bo Rzeczpospolita była państwem, gdzie zawsze było więcej ziemi niż rąk do pracy. Szlachta konkurowała między sobą o chłopów, nierzadko zwyczajnie podbierając ich sobie i ignorując prawo przeciw zbiegostwu.

Co warte podkreślenia – praktycznie nie było emigracji chłopów poza granice Rzeczypospolitej. I to nie dlatego, że były one zamknięte, bo przecież były otwarte. Paszportów i dowodów osobistych również nie było. Najwidoczniej chłopi orientowali się, jak wygląda sytuacja w sąsiednich państwach.

A jak wyglądała pozycja kobiet w I RP?

W książce przywołuję sytuację, gdy grupa polskich żołnierzy znalazła się w Wielkim Księstwie Moskiewskim. Opisali oni, jak wyglądały ich kontakty z miejscową ludnością. Zwrócili uwagę, że to gospodarze ich obsługiwali, a kobiety były izolowane od gości. Dziwiło ich to, bo w Rzeczypospolitej było inaczej. Okazało się, że wśród Moskali im wyższy stan, tym izolacja kobiet była większa.



Polskie kobiety, na tle innych mieszkanek Europy, miały dużą swobodę i wysoką pozycję. Tu można podać ciekawostkę z Gdańska. Odwiedzający to miasto Niemcy dziwili się, że gdańszczanki, w większości przecież Niemki, „zadzierają nosy". To był właśnie efekt polskich wpływów w tym mieście.

Na wysoką pozycję kobiet w Rzeczypospolitej wpływał kult Matki Boskiej, bardzo widoczny w katolicyzmie. Kobieta od początku była w Kościele wynoszona na piedestał. Tymczasem w protestantyzmie, który odrzucił kult Matki Jezusa, siłą rzeczy rola pań była bardziej przedmiotowa. Tak było w licznych wówczas państwach niemieckich, ale nie w podlegającym wpływom polskiej kultury Gdańsku.

W jaki sposób cudzoziemcy patrzyli wtedy na szlacheckie wolności obywateli Rzeczypospolitej?



Zebranie kobiece w XVI w.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bardzo różnie. Ci, którzy optowali za monarchią absolutną, uważali polski system za karygodny. Areszt i więzienie jedynie po wydaniu prawomocnej decyzji sądu – wtedy coś takiego było uważane za kuriozum. Normą było to, że królowie mieli w swoich rękach całą władzę, również sądowniczą, i na mocy swojego widzimisię mogli każdego człowieka wtrącić do lochu. Zwolennicy absolutyzmu, którzy przyjeżdżali do Rzeczypospolitej, uważali nasz system za kompletną anarchię. Ale już osoby o republikańskich poglądach patrzyły na Rzeczpospolitą jako na państwo dobrobytu, w którym obywatele żyją jak ludzie, a nie jak niewolnicy władcy.

Inaczej sprawy przedstawiały się w XVIII w., kiedy znaczenie Rzeczypospolitej upadło. Dla wielu był to dowód koronny, że jedynie absolutyzm gwarantuje przyszłość państwa.

W książce opisuje pan gorący spór, który toczył się wokół wydarzenia uznawanego dziś powszechnie przez Polaków za olbrzymi sukces.

W 2013 r., w 330. rocznicę wiktorii wiedeńskiej, nasz Sejm jednogłośnie przyjął uchwałę honorującą to wydarzenie. Trzysta lat temu byłoby to nie do pomyślenia. W XVIII w. na sejmie ten temat wywołałby ogromną kłótnię. Zresztą już w 1683 r. opozycja ostro krytykowała Sobieskiego za wyprawę wiedeńską. Natomiast w drugiej połowie XVIII w., po tragedii pierwszego rozbioru, bardzo głośne były opinie, że pomoc Austrii była błędem, bo wnuczka cesarza Leopolda, któremu Sobieski pomógł, wzięła udział w rozbiorach.

Trzeba jednak rozumieć sytuację geopolityczną w Europie w 1683 r. Macki tureckie rozciągały się wówczas aż po dzisiejszą Słowację, graniczącą z Małopolską. Gdyby Turcy w 1683 r. chcieli ruszyć na polską stolicę, to mogliby to spokojnie zrobić z terenu dzisiejszej Słowacji. I to było śmiertelne zagrożenie.

W 1683 r. cesarz Leopold i król Jan III Sobieski widzieli, że Turcy szykują się do wojny, ale jeszcze nie wiadomo było, gdzie konkretnie wróg uderzy. Czy celem będzie Wiedeń czy Kraków? Obaj władcy podpisali porozumienie zobowiązujące ich do wzajemnej pomocy. Co by się stało, gdyby tego układu nie było, a Turcy uderzyliby jednak na Kraków? Rzeczpospolita stanęłaby w takim przypadku w obliczu egzystencjalnego zagrożenia. I musiałaby zmierzyć się z nim sama, a nie w sojuszu. Krytyka wyprawy wiedeńskiej nie ma racjonalnych podstaw i niestety nacechowana jest emocjami wynikającymi z dużo późniejszych doświadczeń Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Radosław Sikora jest historykiem, znawcą dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, autorem wielu książek na ten temat, w tym ostatniej pt. „Dawna Rzeczpospolita na nowo odkryta".

eprasa.pl d8ca3081f8

I Rzeczpospolita / Słynne rody

Oryginały i postrzeleńcy



Sławomir Koper

W gronie najbogatszych magnatów Rzeczypospolitej Obojga Narodów nie brakowało dziwaków, a nawet różnego rodzaju dewiantów. Ich losy pokazują, że pieniądze i władza deprawują, a w nadmiarze mogą wywołać choroby psychiczne

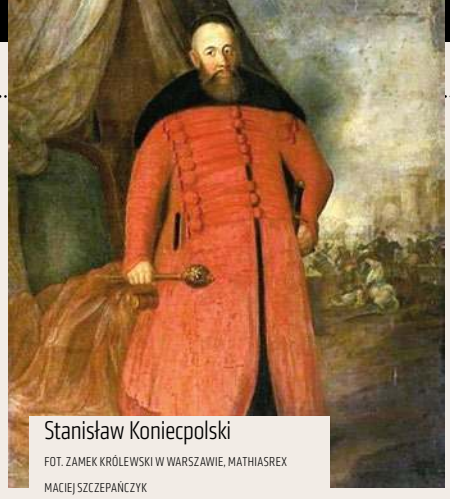


Stanisław Szczęsny Potocki z synami

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSÉE DU LOUVRE

Stanisław Koniecpolski był jednym z najwybitniejszych wodzów w dziejach Rzeczypospolitej. Nawet król Szwecji Gustaw Adolf, uważany za najlepszego stratega ówczesnej Europy, musiał uznać jego wyższość w bitwie pod Tczewem. W 1645 r. Koniecpolski owdowiał, ale już kilka miesięcy później ponownie stanął na ślubnym kobiercu. Jego wybranką była młodsza o ponad 30 lat, piękna i bogata Zofia Opalińska. Małżeństwo przetrwało jednak zaledwie kilka tygodni, ponieważ w marcu 1646 r. hetman niespodziewanie zmarł. Zgon najlep-

eprasa.pl d8ca3081f8



Stanisław Koniecpolski

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE, MATHIASREX MACIEJ SZCZEPAŃCZYK

szego wodza wywołał żałobę w kraju, a przyczyny śmierci wiele komentarzy.

Hetman padł ofiarą własnej, męskiej próżności. Nieustraszony 55-letni wojownik chciał się wykazać w małżeńskim łożu przed młodą partnerką i zażądał od przybocznego lekarza środków wzmacniających potencję. Nie zwracał uwagi na jego zalecenia – zażywał zbyt duże dawki, co spowodowało tragiczne skutki. Doszło do niedrożności dróg moczowych i w tak absurdalny sposób Rzeczpospolita straciła najlepszego wodza, co mogło zadecydować o losach powstania Chmielnickiego i szwedzkiego potopu. Być może gdyby hetman żył dłużej, to dzieje Rzeczypospolitej potoczyłyby się inaczej.

Nad młodą wdową po Koniecpolskim ciążyło jakieś fatum. Kilka lat później Zofia ponownie wyszła za mąż, a jej wybranek, książę Samuel Korecki, zmarł sześć dni po ślubie! Ponownie opinia publiczna nie próżnowała, wdowie zarzucano konszachty z diabłem, trucicielstwo, rzucanie uroków etc. Wypominano jej, że Koniecpolski siły potrzebne do obrony kraju stracił w małżeńskiej łożnicy, nie zwracano jednak uwagi, że przyczyną śmierci drugiego męża była niewygojona do końca rana, która otworzyła się przed ślubem. Nie było już więcej chętnych do kolejnego małżeństwa z piękną i majętną wdową. Uznano, że w sytuacji ciągłych wojen i zagrożenia kraju istnieją bardziej pożyteczne rodzaje śmierci niż wiązanie się z kobietą fatalną.

Zdrajca i kobieciarz

Hieronim Radziejowski należał do ulubieńców Władysława IV, a swoją pozycję umacniał poprzez kolejne małżeństwa. Po raz pierwszy ożenił się w 1637 r.; jego wybranką została wdowa po podstolim litewskim, Katarzyna Woyna. O koligacji zadecydowały układy w otoczeniu króla – jesienią tego samego roku Hieronim wszedł bowiem w skład dworu królowej Cecylii Renaty, świeżo poślubionej żony Władysława IV. Najwyraźniej król chciał mieć zaufanego człowieka w pobliżu partnerki.



Hieronim Radziejowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA NARODOWA

Gdy jednak Katarzyna zmarła, kolejną wybranką Radziejowskiego została Eufrozyna Tarnowska, wdowa po Jerzym Wiśniowieckim, stryjecznym bracie słynnego Jaremy. Była ona dziedziczką pokaźnej fortuny, a związek uchodził za szczęśliwy. Trwał jednak zaledwie kilka lat. Po urodzeniu trzeciego dziecka Eufrozyna zmarła, przed śmiercią zdążyła jednak zapisać mężowi cały swój wkład w małżeństwo.

Radziejowski znalazł nową kandydatkę na żonę. W maju 1650 r. ożenił się z wdową po innym faworycie Władysława IV – Elżbietą Kazanowską. Trzydziestoletnia dama była spadkobierczynią jednej z największych fortun Rzeczypospolitej, a do tego niewiastą wyjątkowo urodziwą i obdarzoną dużym temperamentem. W tym samym czasie Radziejowski został mianowany podkanclerzem. Hieronim jednak zawiódł partnerkę w małżeńskiej alkowie i pani podkanclerzyna zarzucała mężowi, że jest impotents, na co ten wprowadził kiedyś do jej sypialni swojego hajduka, wrzeszcząc: „Nie chcesz ze mną copulara, czyń to z hajdukiem!!!”. Czasami łacina bywa bardziej dosadna niż język polski…

Małżonka znalazła w końcu pocieszenie w ramionach króla Jana Kazimierza, czego Radziejowski nie zamierzał tolerować. Unieważnienie małżeństwa napotkało jednak poważne problemy, natomiast największym kłopotem był podział majątku. Doszło wreszcie do tego, że Elżbieta schroniła się w klasztorze, a Radziejowski stoczył z jej bratem dwie bitwy o warszawski pałac Kazanowskich. Szwagrowie przeciwko sobie użyli armat (!), co zakończyło się przed sądem koronnym. Po kilku dniach zapadł wyrok, który wprawił wszystkich w osłupienie. Wojownicze rodzeństwo ukarano grzywną i osadzeniem w wieży na rok i sześć tygodni, natomiast podkanclerzego skazano na karę śmierci (zaocznie, ponieważ reprezentowało go dwóch adwokatów z urzędu), infamię (utratę praw obywatelskich) i konfiskatę dóbr.

Nikt oczywiście nie wierzył, że podkanclerzy stanie na szafocie, jednak jego zemsta zadziwiła wszystkich. Radziejowski opuścił bowiem kraj, aby znaleźć azyl na dworze w Sztokholmie. Tam udało mu się nakłonić miejscowe władze do najazdu na Rzeczpospolitą i niespełna cztery lata później pojawił się w kraju razem z wojskami Gustawa Adolfa. Ostatecznie jednak poróżnił się ze Szwedami, uzyskał wybaczenie Jana Kazimierza i odzyskał majątek. Po szwedzkim potopie i masowych zdradach magnatów nikogo to już nie dziwiło.

Obdarty trup

Już młodość Szczęsnego Potockiego zapowiadała burzliwe życie. Dziedzic największej fortuny Rzeczypospolitej w wieku 18 lat zakochał się bowiem w pięknej szlachciance, Gertrudzie Komorowskiej. Kiedy dziewczyna zaszła w ciążę, w grudniu 1770 r. potajemnie ją poślubił w cerkwi w Niestwicach. Nie mógł tego jednak zaakceptować ojciec Szczęsnego i dwa miesiące później na jego polecenie dziewczyna została porwana i uduszona, a jej ciało wrzucono do przerębli.

Szczęsny z pokorą przyjął postępek ojca. Wprawdzie podobno usiłował popełnić samobójstwo, podrzynając sobie gardło scyzorykiem, ale szybko zapomniał o ukochanej. Wyjechał za granicę, następnie poślubił Józefinę Mniszchównę, a małżeństwo doczekało się 11 dzieci (ostatecznie doszło do rozwodu).

Trzecie małżeństwo magnata układało się natomiast skandalicznie. Poślubił bowiem byłą kurtyzanę, pochodzącą z Grecji Zofię Glavani. Dziewczyna wcześniej była utrzymanką dyplomaty królewskiego, Karola Boscamp-

eprasa.pl d8ca3081f8

-Lasopolskiego, uznanego potem za zdrajcę i powieszonego podczas powstania kościuszkowskiego.

Chociaż Zofia rodziła mężowi kolejne dzieci, to nie potrafiła dochować wierności jednemu mężczyźnie. Nawiązała romans z własnym pasierbem, młodszym o 16 lat synem Szczęsnego z drugiego małżeństwa. Magnat dowiedział się o wszystkim, co zniszczyło życie rodzinne i przyczyniło się do jego śmierci. Potocki zmarł w 1805 r. w wieku 52 lat, a pogrzeb w Tulczynie zakończył się makabrycznym skandalem. Po egzekwiach pozostawiono w kościele ciało magnata w otwartej trumnie. Zmarły miał na sobie mundur carskiego generała przystrojony orderami i klejnotami. W nocy do kościoła wdarli się złodzieje, obdarli zwłoki z kosztowności i nagie rzucili pod ścianę. To niemal symboliczne zdarzenie – przed laty Trybunał Narodowy skazał przecież Potockiego na śmierć i pozbawił go tytułów i godności, a teraz odarto go z dystynkcji i klejnotów otrzymanych za zdradę ojczyzny.

Zofia nie przejęła się specjalnie śmiercią męża. Od razu rozpoczęła walkę o majątek z pasierbami i zakończyła ją zwycięsko. Pomógł jej w tym kolejny partner – senator Nowosilcow. I jak tu nie wierzyć, że pani Potocka przyciągała do siebie najgorsze kreatury?

Szczęsny nie był zresztą jedynym dewiantem w wielkiej rodzinie Potockich.



Gertruda Potocka FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MN W WARSZAWIE



Elżbieta Kazanowska FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Nieco od niego starszy kuzyn, Mikołaj Potocki, był typowym przedstawicielem magnaterii schyłku Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Pełen pychy gwałtownik łączył dewocję z pijaństwem, obżarstwem, rozpustą i okrucieństwem. Zasłynął ze strzelania śrutem do kobiet mieszkających na terenie jego posiadłości – zmuszał je do wchodzenia na drzewa i naśladowania głosów ptaków. Wynagradzał jednak ofiary sowicie i raczej nie miał problemów ze znalezieniem ochotniczek. Jednocześnie przeznaczał ogromne sumy na fundacje katolickie i unickie. Najsłynniejszym owocem tej działalności była budowa przepięknej świątyni Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Buczaczu.

Rozrywki króla

Według obiegowych opinii ludność mieszkająca w pobliżu rezydencji monarszej powinna być zadowolona z własnego losu – władcy z reguły inwestowali w najbliższe otoczenie. Z zachowanych informacji wynika jednak, że Sobiescy rezydujący w Jaworowie byli powszechnie znienawidzeni, na co zresztą dobrze sobie zasłużyli. Zachowanie Jana III i Marysieńki dalekie było od galanterii, a dwór królewski prezentował sarmatyzm w najgorszym wydaniu. Oto kilka relacji pochodzących z zapisków posła francuskiego:

„Królowa kazała zbić pod swoimi oknami kogoś ze służby bardzo mocno, mimo że jest to w obyczaju tego kraju, nie robiono tego tak na oczach wszystkich; może to przykład króla, który postępuje w ten sposób, nawet porucznika gwardii urządził tak, że się nigdy nie podniesie…”;

„W czasie wesela jednej z dwórek królowej, podczas gdy król tańczył, dworzanin wojewody ruskiego ciął drugiego szablą w głowę…”;

„Wojewoda Jabłonowski i marszałek dworu Sieniawski nawymyślali sobie przy królu i omal się nie pobili; poszło o jakiegoś dworzanina wojewody, który jakoby obraził marszałka. Nazajutrz przy uczcie, podczas gdy król siedział przy stole, marszałek dworu widząc tego dworzanina, wyrżnął go w łeb maczugą…”.

Jan III Sobieski przejawiał czasami specyficzne poczucie humoru i pewnego dnia polecił przebudować mostki nad pobliskimi kanałami na huśtawki. Stojąc w oknie rezydencji, zaśmiewał się do łez, kiedy wszyscy, bez względu na wiek, stan czy płeć, niespodziewanie wpadali do wody. I jak tu się dziwić, że pewnego dnia „jacyś zuchwalcy wybili szyby kamieniami, tak że kamienie powpadały do sali balowej”.

Przypomnijmy też sobie sprawę wydry króla jegomości opisaną przez Jana Chryzostoma Paska. Dobrotliwy Jan III tak się zirytował faktem, że jakiś żołnierz niechcący zabił jego ulubionego zwierzaka, iż polecił go rozstrzelać. Uproszony o łaskę, zamienił karę na przepuszczenie nieszczęśnika pod kijami pułku wojska, co było równoznaczne z zatłuczeniem go na śmierć. Oglądany z bliska Sobieski dużo tracił ze swojego uroku...

Ekscesy Radziwiłłów

Ten ród stał się symbolem najbogatszej arystokracji, ale trudno znaleźć inną rodzinę arystokratyczną wzbudzającą równie sprzeczne emocje. Z jednej strony zasłużeni dla Rzeczypospolitej wodzowie, jak zwycięzca spod Kokenhausen Krzysztof „Piorun” Radziwiłł, a z drugiej książęta Janusz i Bogusław uwiecznieni jako zdrajcy w „Potopie” Henryka Sienkiewicza. To oni mieli traktować Rzeczpospolitą jak „kraj czerwonego sukna”, z którego usiłowali jak najwięcej wyrwać dla siebie. Gorący patrioci i typowo sarmackie okazy warcholstwa i prywaty.

Bogactwo tego rodu było wręcz niewyobrażalne. Około 1750 r. posiadali 23 zamki obronne, 426 miast, 2032 majątki ziemskie, ponad 10 tys. wsi, a liczba ich poddanych sięgała 2,5 mln (ludność całej Rzeczypospolitej wynosiła ok. 10 mln).

eprasa.pl d8ca3081f8

Nic zatem dziwnego, że Karol Stanisław, zwany „Panie Kochanku", podejmując króla Stanisława Augusta w Nieświeżu, mógł używać rzędu końskiego wysadzanego brylantami…

W tak rozrodzonej rodzinie nie mogło oczywiście zabraknąć różnego rodzaju oryginałów. Jednym z nich był wspomniany „Panie Kochanku" (1734–1790), którego uważano za polską wersję barona Münchhausena. Zasłynął bowiem opowiadaniem niesamowitych historii o swoich przygodach. Podobno widział kiedyś tak wielką armatę, że wjechał do niej karetą zaprzężoną w cztery konie, natomiast podczas oblężenia Saragossy kula armatnia miała oderwać jego wierzchowcowi tylne nogi wraz z zadem. Radziwiłł jednak nie zrezygnował (jego koń również) i dotarł na mury twierdzy, gdzie osobiście wysiekał obrońców. Przy takich rewelacjach pomysł wysypania cukrem dziedzińca zamku w Nieświeżu, aby urządzić tam latem kulig, wydaje się całkiem prawdopodobny…

Karol Stanisław niestety nie ograniczał się wyłącznie do snucia oryginalnych opowieści. Był warchołem pierwszej wody zmieniającym często orientację polityczną, cieszył się jednak autentycznym uznaniem szlachty. Miał bowiem prawdziwie książęcy gest, a jego wszelkie dziwactwa uznawano za właściwe dla wielkiego pana. Inna sprawa, że nie zawsze było to sympatyczne zachowanie; pijany książę potrafił bowiem urządzać pokazy publicznej masturbacji czy też obnażać się na ucztach.

W rodzie Radziwiłłów trafiali się również autentyczni dewianci, jak krajczy wielki litewski, Marcin Mikołaj (1705–1782). Świetnie wykształcony, jednak już w wieku młodzieńczym zdradzał objawy choroby psychicznej. Z upływem lat było coraz gorzej – krajczy uwięził żonę wraz z dziećmi „w wielkiej niewygodzie i smrodzie, gdyż w tej jednej izbie spać, jeść i inne potrzeby natury czynić musieli". Otoczył się współpracownikami żydowskiego pochodzenia, przestrzegając ich praktyk religijnych. Utrzymywał harem porwanych lub kupionych dziewcząt, a urodzone z nich dzieci podobno mordował, natomiast z ich zwłok „jakieś destylacje czynił". Prawdopodobnie poszukiwał kamienia filozoficznego, co nie przeszkadzało mu napadać na okoliczne



Konstanty Aleksandrowicz „Portret Karola Stanisława Radziwiłła" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MN W KRAKOWIE

dwory, więzić i mordować sąsiadów. W sprawę ostatecznie wdała się dalsza rodzina i siłą ubezwłasnowolniono szaleńca. Marcin do końca życia trzymany był w ścisłym areszcie domowym.

W późniejszych latach dewianci już się nie zdarzali, ale skandali nie brakowało. Takich jak ucieczka Teofili Starzeńskiej sprzed ołtarza ze swoim ciotecznym bratem Dominikiem Hieronimem Radziwiłłem. Zawarty w ten niecodzienny sposób związek okazał się zresztą całkiem udany, chociaż brak legalnego męskiego potomka oznaczał niemożność dziedziczenia przez syna Dominika Hieronima ordynacji ołyckiej i nieświeskiej. Skandaliczne tradycje kontynuował już na początku XX w. książę Michał, ordynat na Przygodzicach, którego ekscesy wprawiały rodzinę w osłupienie, a przy okazji wzbudzały zainteresowanie kabaretów i prasy bulwarowej.

Żupy Lubomirskich

Najbardziej znanym członkiem tego rodu był Jerzy Sebastian, hetman polny



Zofia Potocka FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM W WINNICY

i marszałek wielki koronny, który jako jeden z nielicznych magnatów nie złożył podczas potopu hołdu Szwedom. Zasłużył się wyjątkowo podczas tej wojny, odniósł również zwycięstwo nad Rosjanami pod Cudnowem. Kilka lat później wszedł jednak w konflikt z królem Janem Kazimierzem i skazany na śmierć wzniecił zwycięski rokosz (1665) przeciwko władcy. To właśnie jego miał na myśli Stefan Czarniecki, mówiąc, że nie jest „z soli ani z roli, ale z tego, co mnie boli". Była to czytelna aluzja do pochodzenia fortuny Lubomirskiego – z dzierżawy żup solnych.

Syn Jerzego, Stanisław Herakliusz, uchodził za najlepiej wykształconego magnata Rzeczypospolitej. Zasłynął jako uzdolniony poeta, dramaturg i mecenas sztuki. Sprowadził do Polski holenderskiego architekta Tylmana z Gameren, rozpoczynając inwestycje na terenie dzisiejszego Ujazdowa. Projekty Lubomirskiego rozwinął następnie Stanisław August i stanowią one do dzisiaj ozdobę Warszawy (Łazienki Królewskie).

Za największego oryginała w rodzinie uchodził Jerzy Marcin – hulaka, hazardzista i playboy. Przegrał w karty zamek w Janowcu (gdzie się urodził) i warszawski pałac Pod Blachą. Jako generał armii królewskiej zdezerterował do Prus, zajmował się również zwyczajnym rozbojem na drogach, za co został skazany na dożywotnie więzienie. Wyroku nie odsiedział, a po wyjściu z więzienia poślubił Annę, piękną córkę komendanta twierdzy. Było to jego drugie małżeństwo, natomiast w przyszłości miał jeszcze poślubić Honoratę, córkę wojewody kijowskiego. Żadnej z partnerek nie dochował wierności, ale żony potrafiły sobie ułożyć życie. Anna Hadik została metresą Stanisława Augusta Poniatowskiego (miała z nim syna), a Honorata poślubiła rosyjskiego generała Osipa Igelströma.

Zrujnowany arystokrata trafił do Hesji, w otoczenie żydowskiego proroka Jakuba Franka. Został dowódcą jego straży przybocznej, a przy okazji rozkochał w sobie córkę pryncypała… Ostatecznie jednak w 1800 r. Jerzy Marcin powrócił do Polski i ostatnie 11 lat życia spędził już spokojnie. Był ostatnim przedstawicielem swojej linii rodu, właścicieli Janowca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d3ca3081f8



Aleksander Orłowski „Uczta u Radziwiłła”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MN W WARSZAWIE

Wieki XVI–XVIII / Ludzie i obyczaje

Staropolskie rozmaitości



Tomasz Stańczyk

Przyglądając się obyczajom i rekordom z epoki staropolskiej, mimowolnie myślimy o naszych czasach. Bo przecież tak jak dawniej fascynujemy się rekordowo długo żyjącymi ludźmi, strongmanami, gościmy się, ucztujemy i pijemy

Najsłynniejszym siłaczem czasów staropolskich był król August II Mocny z dynastii Wettinów, który w ręku giął podkowy. Ale i Polacy nie słabeusze, własnych siłaczy mieli. Zygmunt Gloger w „Encyklopedii staropolskiej”, zanim ich wymienił, zauważył, że choć nasi przodkowie z epoki przedrozbiorowej byli niżsi od XX-wiecznych Polaków, to jednak dysponowali znacznie większą siłą i muskulaturą. Nie potrzebowali siłowni, bo dźwigali zbroje, zaprawiali się w szermierce, jeździli konno. „Zresztą życie wiejskie zbliżone było więcej do natury niż dzisiejsze zwyrodnione po miastach – wszystko to było przyczyną, że dawniej każdy miał w sobie więcej energii, rycerskości, silnej woli, krewkości, wytrzymałości, zdrowia i siły muskularnej” – czytamy w „Encyklopedii staropolskiej”.

Dodać można, że krzepa, muskulatura, siła rąk i nóg były niezbędne dla rycerzy, potem szlachty stawiającej się na wezwanie króla na wojnę. I decydowały nierzadko o tym, czy wracało się z niej żywym. Spośród polskich królów nie słabszy niż August Mocny był Zygmunt I Stary, który „żelazne podkowy łamał, postronki zrywał i talię kart przedzierał”. W tym samym XVI stuleciu żył Stanisław Ciołek, syn wojewody mazowieckiego, który „dzwon spuszczony z wieży kościoła krakowskiego wziął za ucha i do drzwi kościoła po schodach zaniósł. Miecz lub szablę skręcał w ręku jak postronek […]. Kiedy ściskał w dłoni świeże drzewo, to ciekł z niego sok jak z gąbki […]. Dwie podkowy rozciągał lub kruszył”.

Ogromną siłą miał się też odznaczać ks. Truszkowski, proboszcz w Bochotnicy. Rozwścieczony, że na jego ziemie weszły obce konie, miał je powyrzucać przez mur posiadłości. Cymbarka, córka księcia mazowieckiego Ziemowita I, orzechy rozgniatała, zaciskając je w dłoni. A wspomniany August II Mocny musiał przyznać, że mocniejszy od niego jest regimentarz Marcin Cieński. Słysząc o jego sile, król zażądał pokazu. Cieński wziął dwie sztaby żelazne i pozakręcał je na szyi dwóm wartownikom. Sas nie potrafił tych sztab odkręcić, co z łatwością zrobił Cieński.

Matuzalemowie

W XIII w. książę wielkopolski Mieszko III zyskał przydomek Stary, gdyż żył 77 lat (a być może nawet 80 lat). Wśród

eprasa.pl d8ca3081f8



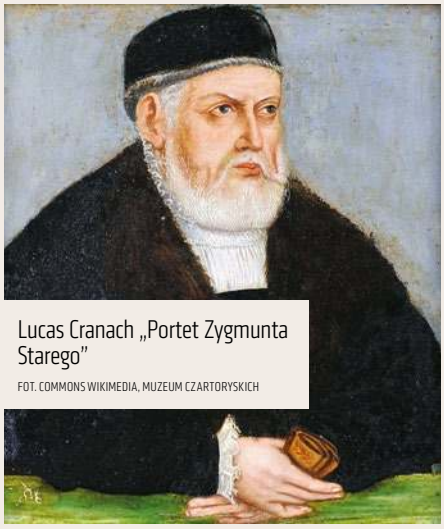
„Stanisław (Ciołek z Żelechowa), zwany Łomignatem". Obraz Stanisława Kaczora-Batowskiego. FOT. BID. DESA. PL

polskich królów późnego – jak na tamte czasy – wieku dożył Zygmunt I Stary, który zmarł w wieku 82 lat. Nie wiadomo, czy dłużej żył Władysław Jagiełło, ponieważ nie mamy pewności, w którym roku się urodził. Jeśli przyszedł na świat w 1352 r., to dożył 82 lat.

Nie byli to jednak rekordziści długowieczności. Oczywiście przynajmniej o części długowiecznych mówi tradycja, a nie dokumenty, nie możemy więc być pewni, czy rzeczywiście osiągnęli aż tak podeszły wiek. Gloger wymienia osoby żyjące rekordowo długo. A miał być wśród nich dziad wojewody płockiego, Feliksa ze Śreńska, który według napisu na nagrobku miał żyć aż 140 lat. O innym rekordziście Gloger pisze: „Mikołaj Radziwiłł, nie używając innego napoju prócz wody, umarł, mając 100 lat życia". Nawiasem mówiąc, być może to niechęć dawnych Polaków do wody spowodowała, że tak mało było wówczas 100-latków. Jednym z nich był arcybiskup gnieźnieński Jarosław z Bogorii i Skotnik, który przeżył ok. 100 lat. W jego biogramach podaje się, że żył w latach ok. 1276–1376. Stanisław August zapytał kiedyś 100-latka, czemu zawdzięcza tak długie życie. Gdy starzec odpowiedział, że nigdy nie pił wina, król prychnął: „Toś kiep!".

Piwo i piwosze

Gall Anonim w „Kronice polskiej" pisze, że pewnego razu przybyli do Piasta i Rzepki niespodziewani i – jak się miało okazać – niezwykli goście. Gdy spytali, czy gospodarz nie ma czegoś do picia, Piast odpowiedział: „Mamci ja wprawdzie naczyńko warzonego piwa, com go przysposobił na dobę postrzyżyn mego jedynaka; lecz cóż to znaczy ta odrobina? Jeśliby wam smakowało, to się go napijcie". Piwo było pierwszym alkoholem dawnych Polaków, nie tak mocnym jednak jak dzisiejsze. Bolesław Chrobry, potomek Piasta, był tak wielkim miłośnikiem złocistego napoju, że Niemcy mówią o nim Trink-bier, czyli piwosz. Chrobry był z pewnością otyły, co wiemy z odzywki księcia ruskiego: „Oto przebiję oszczepem twój brzuch tłusty". Ale – jak mówi powiedzenie – nie tyje się od piwa, tylko od zakąsek. A Chrobry nie tylko zakąszał, lecz także zapewne obżerał się, mając apetyt zaostrzony piwem.



Lucas Cranach „Portet Zygmunta Starego"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM CZARTORYSKICH

Szeroko znana jest anegdota o księciu Leszku Białym, który wymówił się od krucjaty do Ziemi Świętej, gdyż obawiał się, że w podróży do miejsca urodzenia Chrystusa i w samej Palestynie zabraknie mu piwa. Legenda mówi, że Konrad II Garbaty, śląski Piast wybrany przez kapitułę na patriarchę Akwilei, nie dotarł tam, gdyż w połowie drogi zorientował się, że nie warzą w tym mieście piwa pszenicznego, na którym od dzieciństwa się wychował. A najstarsze polskie browary powstały właśnie na piastowskim Śląsku. Lwówek Śląski otrzymał od księcia Henryka Brodatego przywilej warzenia piwa już w 1209 r. W dokumencie z 1321 r. wspomina się natomiast o książęcej słodowni i warzelni piwa w Namysłowie.

Sławą cieszyły się m.in. piwa proszowskie, piotrkowskie, grodziskie i wareckie. Z tym ostatnim łączy się anegdota: tak zasmakowało ono nuncjuszowi kard. Hipolitowi Aldobrandiniemu (przyszłemu Klemensowi VIII) podczas pobytu w Polsce, że już jako papież mamrotał w ciężkiej chorobie: „O santa piwa di Polonia, o santa birra di Warka". Zgromadzone przy jego łóżku otoczenie uznało, że modli się do nieznanej św. Piwy z Warki.

Dziś dominują piwa z jęczmienia, ale w dawnej Polsce królowały piwa pszeniczne (tylko w Prusach Królewskich warzono je z jęczmienia). Tak było do XVIII w., gdy jęczmień wyparł pszenicę w produkcji piwa. Bardzo popularna była „gramatka" – polewka piwna z grzankami (podawano ją także z żółtkiem). Przepadał za nią król Zygmunt I Stary. Cudzoziemcy zwracali uwagę, że do kufli z piwem dodaje się grzanki polane oliwą. W XVI w. dziejopis Marcin Kromer zauważał, że Polacy ograniczają się do picia piwa, niewiele spożywając wina. Jednak w XVIII w. zaczęto uważać piwo za napój ludu. Tak samo stracił na prestiżu w tym czasie miód pitny, wypierany przez wino. Zwykły miód używany był zaś do słodzenia dopóty, dopóki nie wyparł go cukier.

Sławni pijacy

Dawne powiedzenie mówiło: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa". A pito w XVIII w. więcej niż w poprzednich stuleciach. Ceniono bardzo wina z sąsiedztwa, czyli węgrzyny, dużym uznaniem cieszyły się też tokaje. Do legendy przeszli sławni pijacy tamtego czasu, o których pisał Jędrzej Kitowicz. Osobliwy zwyczaj miał Borejko, kasztelan zawichojski, który uwielbiał pić z zakonnikami. Zwabiwszy ich pod jakimś religijnym pozorem, zamykał się z nimi w izbie zasłanej słomą i kobiercami, aby stworzyć komfortowe warunki tym, którzy

eprasa.pl d8ca3081f8



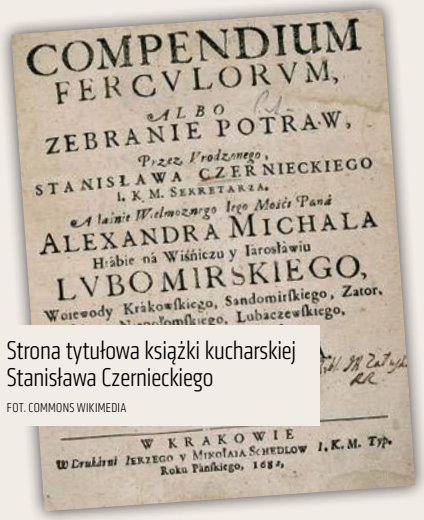
Frans Geffels „Uczta u Jana III w Jaworowie"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZUEM NARODOWE WE WROCŁAWIU

padną podczas pijatyki. Oświadczał domownikom, że jest to klasztor, do którego nie wolno wchodzić pod żadnym pozorem. Pito najmniej trzy dni, najwięcej – pięć. Po alkoholowym wieczorze wszyscy szli rano do kaplicy na Mszę. „Po wysłuchaniu mszy napili się herbaty, potem wódki raz i drugi, potem nastąpiło śniadanie, po śniadaniu wino, po winie miernie zażytym obiad, po obiedzie formalna pijatyka, aż do wieczerzy, po wieczerzy to samo". Gdy nie miał z kim pić, wyjeżdżał z zapasikiem trunków na rozstaje dróg i tam czyhał na przejezdnych, zatrzymując ich i częstując winem do skutku: aż nie przewrócili się na ziemię albo nie zwymiotowali. Kitowicz zwracał uwagę, że przynajmniej nie przymuszał do picia duszkiem: „Pozwolił odetchnąć raz i drugi, jednak niedługo".

Co innego Adam Małachowski, krajczy koronny, którego pamiętnikarz nazwał „zabójcą ludzkiego zdrowia, wielu albowiem ludzi zalanych winem poumierało, niektórzy nawet w jego domu, zasnąwszy raz na zawsze snem śmiertelnym". Nieszczęśni goście krajczego musieli opróżniać duszkiem duże, półgarncowe kielichy, a jeżeli nie dali rady, to służba dolewała im wina do pełna. Oczywiście byli i tacy, którym ten kielich był niestraszny. Ale sam Kitowicz, który gościł u Małachowskiego, przyznawał, że uniknął wielkiego niebezpieczeństwa dla swojego zdrowia lub życia, „uciekłszy bez szabli, bez czapki, bez konia, w zastaw niby pewności powrotu zostawione, pod pretekstem pilnej potrzeby, której wymieniać nie należy".

Szlachecki stół

„Jedzono dużo, z potrzeby i przyzwyczajenia, z nudów, dla zabawy, dla kompanii, dla pokazu" – pisał Jan Stanisław Bystroń w „Dziejach obyczajów w dawnej Polsce". Trzeba tu jednak zrobić uwagę: jedzono dużo, ale nie tak często, gdyż było bardzo wiele dni postnych. Na te dni wymyślono jednak fortel, by jeść mięso: raczono się ogonem bobra – zwierzęcia wodnego – który zakwalifikowano do postnej ryby. Poza tym zachowywano ścisły post; zamiast masła używano


COMPENDIUM
FERCVLORVM,
ALBO
ZEBRANIE POTRAW,
Przez Vrodzonego,
STANISŁAWA CZERNIECKIEGO
I. K. M. SEKRETARZA.
A lainie Welmoznego Iego Mości Pana
ALEXANDRA MICHALA
Hrabie na Wiśniczu y Iarosławiu
LVBOMIRSKIEGO,
Woiewody Krákowskiego, Sandomirskiego, Zator.
W KRAKOWIE
W Drukárni IERZEGO y MIKOŁAIA SCHEDLOW I. K. M. Typ.
Roku Pańskiego, 1682.

Strona tytułowa książki kucharskiej Stanisława Czernieckiego
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

oleju lnianego, wykluczone były jajka. W dni postne królowały oczywiście ryby, których obficie dostarczały rzeki, a także hodowlane stawy. Za najstarsze uchodzą stawy milickie, założone w XIII w. przez zakon cystersów.

Wyposzczeni Polacy odbijali sobie liczne dni umartwień obżarstwem. Obowiązkiem gospodarza było zachęcanie do jedzenia i picia, a gdy uchybił temu zwyczajowi, goście, choć najedzeni i napici, narzekali, że „prynuki", czyli zachęty, nie było.



„Pan Zagłoba". Ilustracja Piotra Stachiewicza FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

„Pieprzno i szafranno, moja panno" – głosiło dawne przysłowie, odzwierciedlając upodobanie dawnych Polaków do obfitego używania egzotycznych przypraw. Były drogie, więc ich nadmiar był obecny tylko w najbogatszych domach. Nie żałowano pieprzu, przez co dla cudzoziemców polskie dania były za ostre. Hojnie dodawano do nich również gałkę muszkatołową, cynamon, goździki czy rodzynki.

Mięsa na szlacheckich stołach nie brakowało. „Jedzą tak dużo mięsa – pisał w XVI w. nuncjusz Giulio Ruggieri – że jeden Polak zje za pięciu Włochów, co może stąd pochodzi, że jest bardzo tanie, prawie po niczemu, mało zaś jedzą chleba, a nigdy prawie sałaty". Podśmiewano się z Włochów z powodu sałaty, że jedzą trawę, a jednemu ze szlachciców człowiek wracający z Italii powiedział, że nie mógłby tam zostać na zimę. Obawiał się, że przyjdzie mu jeść siano, skoro w lecie podawano mu sałatę. Zygmunt Gloger zauważał, że zdziwienie cudzoziemców z południowej Europy ogromną konsumpcją mięsa w Polsce wynikało z niezrozumienia, iż ostrzejszy, zimniejszy klimat wymaga innej, bogatej w kalorie diety.

Na dworze króla Władysława Jagiełły podawano flaki, zaprawiano je później szafranem, serwowano także – jak pisał Kitowicz – „w białym sosie mąką zaklepanym". Wymienia on typowe dania z XVIII w., zanim jeszcze zaznaczyły się wpływy kuchni francuskiej: rosół, barszcz, sztuka mięsa, bigos hultajski, gęś w śmietanie z grzybami i kaszą perłową. Zanim rozpowszechnił się barszcz z buraków, przyrządzano go z rośliny nazywanej barszczem zwyczajnym (*Heracleum sphondylium*).

Gościnność

W szlacheckim dworze mawiano pięknie: „Gość w dom, Bóg w dom", ciesząc się z gościa z sąsiedztwa, z pobliskiego powiatu lub z dalszych stron. Zapewne myślano wówczas także: „Gość w dom, wieści

eprasa.pl d8ca3081f8

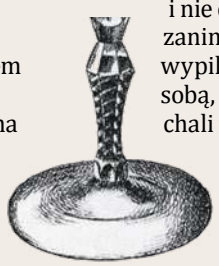


Józef Chełmoński „Kulig" FOT. COMMONS WIKIMEDIA, INVALUABLE.COM

w dom". Z im dalszych stron przybywał bowiem gość, zwykle niezapowiedziany, tym cenniejszym był źródłem informacji z kraju, a czasem i z Europy. Szlachcic podróżujący po ówczesnej Polsce mógł być pewny, że znajdzie nocleg i posiłek we dworze, do którego przyjechał. A zajazdów wówczas nie było dostatecznie dużo. Spragnieni wieści gospodarze często nie chcieli wypuścić z domu przybysza, jeśli był im miły. Czasami ta gościna bywała dla niego krępująca, jeśli chciał, zaspokoiwszy ciekawość mieszkańców dworu, udać się w dalszą podróż. Żegnano gościa kielichami, wznosząc toasty. Nie tylko strzemienny, lecz także wsiadany i trąbiony. A i innych nie brakowało. Toteż zdarzało się, że gość, próbując odjechać, był tak spity, że musiał pozostać u gospodarzy na kolejny dzień. Bywało i tak, że jeśli podróżował powozem, to gospodarz potrafił kazać służbie odkręcić koła, by najmilszy gość pozostał jeszcze trochę. „Nadmiernie natrętna gościnność towarzyska znajdowała też czasem epilog w aktach sądowych. Tak np. w połowie XVIII wieku, gdy »na wojskiego Polskiego zaniesiono w aktach sądowych w grodzie trembowelskim niejedną skargę, że uczciwą szlachtę dobrowolnie na drodze hamuje, zawraca, łapa, niewoli i więźniem czyni" (Bystroń).



Kieliszek z XVII w. FOT. „ENCYKLOPEDIA STAROPOLSKA" GLOGERA



Niektórzy goście zadomawiali się we dworze, do którego trafili, czasami ku nieukontentowaniu gospodarzy, a czasami wręcz przeciwnie. Ci drudzy stawali się rezydentami, pomocnikami w prowadzeniu gospodarki, nauczycielami dzieci, animatorami życia towarzyskiego. A – jak pisał Jan Stanisław Bystroń – „życie dawnej Polski było bardzo towarzyskie, odnosi się często wrażenie przy lekturze dawnych pamiętników, przy przeglądaniu dawnego materiału ilustracyjnego, że całe dawne życie miało ów towarzyski charakter, że wspólnie biesiadowano i pito, radzono i modlono. Rzeczpospolita szlachecka wydaje się jednym wielkim niekończącym się, gwarnym zebraniem towarzyskim".

Szczególnym rodzajem gościnności było przyjmowanie uczestników kuligu – zabawy młodzieży szlacheckiej, jeżdżącej po dworach bez uprzedzenia, przebierającej się niekiedy za Żydów, Cyganów, wiejskie baby i biorącej ze sobą muzykantów. Kuligi trwały od przedostatniego tygodnia zapustów (karnawału) do Środy Popielcowej. Kitowicz dość kwaśno się o nich wyrażał, pisząc, że uczestnicy kuligów bawili się pijaństwem i obżarstwem i nie opuścili najechanego dworu, zanim wszystkiego nie wyjedli i nie wypili. A potem brali gospodarza ze sobą, czy chciał czy nie chciał, i jechali z nim do następnego dworu. Po czym scenariusz się powtarzał. Na inny, bardzo pozytywny aspekt kuligów zwracał uwagę Gloger: „W tych zebraniach kipiących wesołością i szczerotą staropolską nie znano przedrwiwań, kłótni i pojedynków, a dawniejsze nieporozumienia i niechęci towarzyskie topiono w węgrzynie i uściskach braterskich".

Wąsy, brody i czupryny

W dawnych czasach wąs był niemal oznaką przynależności do stanu rycerskiego, szlacheckiego. Wąs ozdabiał m.in. twarze Władysława Łokietka, Stefana Batorego i Jana III Sobieskiego. W średniowieczu noszono długie włosy, ale trefienie ich wywołało sprzeciw Jana Długosza, piętnującego mężczyzn, że robią to „obyczajem niewiast". Nie mógł czynić tego zarzutu księciu Bolesławowi, zwanego Kędzierzawym, któremu tak właśnie naturalnie układały się włosy. Powiedzenie „długie włosy, rozum krótki" ma swoją dawną historię. Nie przejął się nim król Jan Kazimierz, którego długie włosy układały się w sploty.

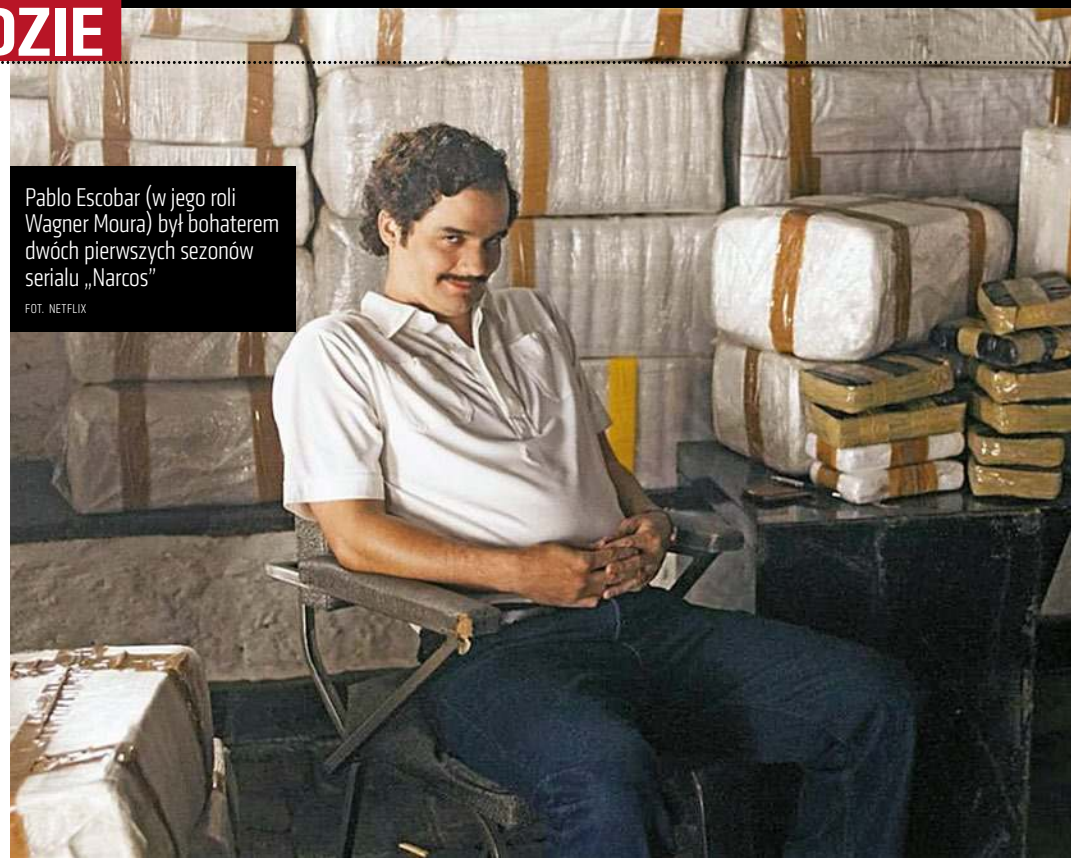
Co do brody, to była ona niepraktyczna – rycerzom trudno było ją upchnąć pod przyłbicą. Gdy jednak rycerskie hełmy zostały porzucone, broda powróciła. Była symbolem wieku i dostojeństwa. Kronikarze zanotowali opowieść o 17-letnim Andrzeju Tęczyńskim, który bujnej brody mieć nie mógł. Gdy Tęczyński stał się członkiem senatu, przyprawił sobie brodę i wąsy. A gdy przyszła kolej na jego zdanie, powiedział: „Brodo, mów!", po czym odrzucił maskaradę. Zdumieni mądrą wypowiedzią senatorowie stwierdzili, że Bóg dał mu w młodości stary rozum, i zaakceptowali go.

Jan Stanisław Bystroń pisał, że „moda wschodnia wpłynęła na noszenie wąsów i brody, natomiast moda zachodnia, humanistyczna, podając rzymskie wzory, faworyzuje znów gładko wygoloną twarz". Bystroń zauważał, że z jednej strony był wąs, czasami broda i polski strój, z drugiej strony brak zarostu i cudzoziemskie ubranie.

W XVI w. zaczęto podgalać włosy po bokach głowy, w skrajnych przypadkach pozostawiając czub na samej górze. Tak strzygli się m.in. Jan Zamoyski i Jan Karol Chodkiewicz oraz Samuel Łaszcz, którego niesłusznie uważa się za prekursora tej fryzury. Już za Władysława IV pojawiła się moda na peruki, natomiast rozpowszechniono ją w drugiej połowie XVII w., a szczyt jej popularności przypadł na wiek następny. Perukę nosił m.in. król Stanisław August, ale szlachta generalnie brzydziła się tym nakryciem głowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8



Pablo Escobar (w jego roli Wagner Moura) był bohaterem dwóch pierwszych sezonów serialu „Narcos”

FOT. NETFLIX

XX w. / Kolumbia w ogniu

Białe imperium z Medellín



Piotr Włoczyk

Zabójstwo polityczne, które wstrząsnęło właśnie Kolumbią, przypomniało jej obywatelom o terrorze, który lata temu rozpętał w ich ojczyźnie Pablo Escobar

Na początku sierpnia światowe media obiegła tragiczna wiadomość. Trzydziestodziewięcioletni kolumbijski senator Miguel Uribe, kandydat w wyborach prezydenckich, zmarł w szpitalu po tym, jak dwa miesiące wcześniej został postrzelony w głowę podczas wiecu wyborczego. Sprawcą okazał się 17-latek, jednak motywy tej zbrodni nie zostały jeszcze wyjaśnione.

Starsi Kolumbijczycy siłą rzeczy musieli wracać w myślach do podobnych tragicznych chwil z sierpnia 1989 r., gdy ich kraj pogrążony był w brutalnej wojnie, którą Pablo Escobar, cesarz kokainy, wydał rządowi Kolumbii. Na zlecenie Escobara zamordowany został wówczas – również podczas wiecu wyborczego – Luis Carlos Galán, liberalny polityk, który prowadził swoją kampanię prezydencką pod hasłem ostrej rozprawy z narkoterrorystami, czyli przede wszystkim z Escobarem. Główną bronią w tej wojnie państwa z narkoterrorem miała być ekstradycja do USA – szefowie karteli bali się jej jak ognia, ponieważ wiedzieli, że jeżeli raz trafią do amerykańskiego więzienia za przemyt narkotyków, to już nigdy z niego nie wyjdą. Z kolei ewentualne zamknięcie za kratami w Kolumbii zawsze dawało im możliwość jakiegoś manewru i wcale nie musiało być równoznaczne z ostateczną utratą wolności (nie mówiąc już o tym, że dużo łatwiej było im stworzyć sobie luksusowe warunki odsiadki). Galán był wielkim proponentem umowy ekstradycyjnej z USA, co doprowadzało Escobara do furii.

Rok 1989 zapisał się w pamięci Kolumbijczyków co

eprasa.pl d8ca3081f8

najmniej z jeszcze jednego powodu. Trzy miesiące później, w listopadzie, miało dojść do jeszcze bardziej spektakularnego zabójstwa kandydata na prezydenta, który zagrażał Escobarowi. W rezultacie tego ataku zginęło jednak ponad 100 osób.

Boeing 727 linii Avianca wzniósł się o godz. 7.13 ze stołecznego lotniska El Dorado. Był 27 listopada, samolot miał przewieźć do Cali, jednego z największych miast Kolumbii, 101 pasażerów. Pięć minut po starcie, gdy maszyna znajdowała się na wysokości 4 km, doszło do eksplozji, która zamieniła boeinga w jedną wielką kulę ognia. Śledczy ustalili, że śmierć 107 osób (w tym sześciu osób załogi) spowodowała eksplozja ładunku wybuchowego. Okazało się, że w ten właśnie sposób Pablo Escobar chciał zamordować innego kandydata na prezydenta – Césara Gavirię. Nie obchodziło go, że w zamachu musiało też zginąć mnóstwo innych ludzi. Liczyło się tylko to, żeby w spektakularny sposób zabić polityka, który obiecywał, że zwalczy narkoterroryzm. Mordercy Escobara mieli jednak złe informacje: Gaviria nie wsiadł na pokład samolotu… Rok później wygrał wybory i został 29. prezydentem Kolumbii. I to za jego kadencji doszło do ostatecznego upadku cesarza kokainy.

Hiena cmentarna

Pablo Escobar urodził się na wzgórzach otaczających Medellín. W 1949 r., gdy mały Pablo leżał bezbronny w kołysce, te osiedla nie były jeszcze śmiertelnie niebezpieczne. Było bardzo biednie, ale przestępczość nie zamieniała jeszcze życia mieszkańców w koszmar. Wtedy jeszcze nie odnajdywano w zaułkach poćwiartowanych zwłok, bomby nie rozrywały rozpadających się domków, a dzieciom nie groziło wciągnięcie do gangu w charakterze „żołnierzy”.



Brama wjazdowa do Haciendy Nápoles
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, XALD

„Przyszedł na świat w rodzinie drobnego rolnika i nauczycielki – z dala od kolorowych butików, zadbanych chodników, pękających od bogactwa posiadłości i reklam agencji turystycznych, które obiecywały piękniejsze światy. – Żeby kiedyś tam zamieszkać! – iluż chłopaków ze wzgórz Bogoty i Medellín żywiło to marzenie” – pisał Artur Domosławski w swojej „Gorączce latynoamerykańskiej”.

Escobar zaczynał mało spektakularnie, a wręcz podle. Po latach wolał, żeby dziennikarze opisujący jego historię wspominali, że na początku handlował kradzionymi samochodami i sprzętem grającym. W rzeczywistości jednak ten bandyta zaczynał od sprzedawania kradzionych… płyt nagrobnych. Młody Escobar miał jednak smykałkę do interesów i charyzmę, co pozwoliło mu w niedługim czasie stworzyć prawdziwy gang. Sprzyjało mu szczęście, bo wtedy, w latach 70., pojawił się ogromy popyt na towar, którym łatwiej było handlować niż płytami nagrobnymi czy samochodami i który dawał nieporównanie większe dochody.

„Świat kolumbijskiej przemocy był względnie prosty, póki pól bitewnych [z rządem walczyły grupy rebelianckie – przyp. red.] nie zasypał biały proszek – pisał Artur Domosławski. – Światowy popyt na kokainę na początku lat siedemdziesiątych przygnał z miasta do lasu tysiące drobnych kolonizatorów, którzy chcieli zarobić na uprawie koki. To oni przynieśli do dzikiego interioru nieznane w takiej skali na prowincji napady, kradzieże, oszustwa, łapówki i rabunkowe mordy. Okazja do szybkiego i dużego zarobku wyzwoliła jeszcze większą przemoc”.

Czas pokazał, że Escobar miał prawdziwy talent, jeżeli chodzi o budowę kokainowego imperium. W niedługim czasie cała Kolumbia znała jego dewizę: „Plata o plomo” („Srebro albo ołów”). Właśnie w ten sposób Escobar poszerzał swoje wpływy. Ludzi, którzy stali mu na drodze, przekupywał albo zabijał. Kilogram kokainy kosztował Escobara ok. 5 tys. dol. (wraz z przerzutem), a w USA ten sam towar kosztował już 60–80 tys. dol. Sejfy kartelu z Medellín zaczęły błyskawicznie pęcznieć.

Jak bogaty był Escobar? U szczytu swojej potęgi, w latach 80., szacowano, że z majątkiem wynoszącym ok. 30 mld dol. był siódmym najbogatszym człowiekiem na świecie. Gdyby przełożyć to na dzisiejsze warunki, Escobar plasowałby się na liście miliarderów gdzieś między Siergiejem Brinem, współzałożycielem Google, a Warrenem Buffetem, słynnym guru inwestorów. Kartel z Medellín zarabiał na przerzucie kokainy do USA ok. 400 mln dol. I to tygodniowo! Escobara stać było wówczas na spłatę całości kolumbijskiego zadłużenia, które wynosiło 10 mld dol. I złożył nawet taką propozycję w zamian za rządową gwarancję bezkarności, jednak oczywiście nie została ona przyjęta (i raczej nie była ona złożona na poważnie).

Samolot na bramie

Jego największą posiadłością była Hacienda Nápoles, olbrzymie ranczo liczące blisko 20 km kw. Na bramie wjazdowej cesarz kokainy ustawił małą awionetkę. To właśnie tym samolotem dokonał swojego pierwszego powietrznego przerzutu narkotyków. Koszt budowy posiadłości szacowano na astronomiczne wówczas 60 mln dol. Escobar miał tam do dyspozycji przeróżne boiska, sztuczne jeziora, posągi dinozaurów, arenę do korridy, a także własne lotnisko. Hacienda Nápoles zasłynęła też minizoo z hipopotamami, żyrafami i wielbłądami. Szacuje się, że ten narkoterrorysta był właścicielem 800 posiadłości rozsianych na terytorium całej Kolumbii.

Budując swoje imperium narkotykowe, Escobar używał najbrutalniejszych metod. Kolumbia spłynęła w tamtym okresie krwią. Rozmawiałem na ten temat ze Steve'em

eprasa.pl d8ca3081f8

Murphym, byłym funkcjonariuszem amerykańskiej agencji antynarkotykowej DEA, który został wysłany przez Waszyngton do Kolumbii, by pomóc tamtejszym władzom dopaść Escobara.

„Szczególnie wstrząsnął mną atak bombowy dokonany na jego zlecenie pod centrum handlowym w Bogocie. Pojechałem od razu na miejsce tej zbrodni. Cała ściana budynku pokryta była szkłem. Matki kupowały wtedy razem z dziećmi wyprawki do szkoły. Może pan sobie wyobrazić, co wybuch zrobił z tym szkłem. Nie da się zapomnieć widoku dzieci zmasakrowanych przez odłamki. Za jego sprawą bomby stały się niemal codziennością w Kolumbii – mówił w rozmowie ze mną Steve Murphy. I dodawał: – Przyjmuje się, że Escobar odpowiada za śmierć ok. 10–15 tys. ludzi, choć niektórzy mówią nawet o 50 tys. zabitych. U szczytu potęgi miał



Pablo Escobar. Zdjęcie policyjne, 1976 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, COLOMBIAN NATIONAL POLICE

on pod swoimi rozkazami 500 sicarios. To słowo znaczy po hiszpańsku »zabójca«. To byli bezwzględnie oddani mu ludzie. Escobar miał też do dyspozycji flotę helikopterów i samolotów. Był bardzo mobilny. A jeżeli jechał autem, to towarzyszyła mu cała wielka kawalkada ochroniarzy".

Ten bezwzględny bandyta wykreował wokół siebie wizerunek kolumbijskiego Robin Hooda. Do dziś zresztą po dzielnicach nędzy Medellín krążą o nim legendy.

„Escobar sprawił, że niejeden chłopak ze wzgórz mógł przenieść się z rewirów nędzy do luksusowej hacjendy w najlepszej dzielnicy. Za dobrze wykonaną mokrą robotę Escobar potrafił zapłacić nawet 200 tys. dol. Czyż zatem dziwić się, że – jak pisał García Márquez – »w dzielnicach nędzy wznoszono ołtarze z jego podobizną i palono przed nimi świeczki«? Że »wierzono, iż czyni cuda«? Cuda były widzialne, namacalne. Escobar budował szkoły tam, gdzie ich nigdy nie było, finansował kluby sportowe, w których kopali piłkę chłopcy ze slumsów. Był jak hojne państwo opiekuńcze" – pisał Domosławski.

Steve Murphy zwracał w rozmowie ze mną uwagę na dramat rodzin, które z powodu bezwzględnej strategii Escobara traciły swoich synów, bardzo często jeszcze dzieci.

„Gdy w wyniku nasilającej się wojny tracił coraz więcej sicarios, to gdzie zwracał się po nowych rekrutów? Oczywiście do dzielnic biedy, które wspierał. Gdy pojawiał się wśród tych ludzi, ci otaczali go chmarą, przytulali go, całowali. Uważali go za boga, bo nie musieli już grzebać po śmietnikach. Wtedy on ogłaszał im: »Panie i panowie, potrzebuję pomocy. Szukam ludzi, którzy będą dla mnie pracowali«. Zwykle zgłaszało się trzy razy więcej ludzi, niż potrzebował… – opowiadał Murphy. – Manipulował tymi biednymi ludźmi, a oni za niego ginęli. Szczególnie tragiczne było to, że część z nich stanowili nastolatkowie. Mój partner przesłuchiwał kiedyś 15-latka pracującego dla Escobara. Ten chłopaczek przyznał się do zabicia 10 policjantów. Zabijał ich, ponieważ jego szef płacił mu 100 dol. za trupa. Mówił, że go kocha i że jest w stanie dla niego zginąć…".



Członkowie oddziału Search Bloc nad ciałem Pabla Escobara FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STEVE MURPHY, DEA AGENT

Epoka kokainy

Escobar nie unikał mediów. Mało tego – kochał zainteresowanie, które budził, i to nie tylko w Kolumbii, lecz także za granicą. Któregoś razu udzielił francuskim dziennikarzom wywiadu, podczas którego przed kamerą bronił swojego „modelu biznesowego".

„Czy tego chcemy czy nie, żyjemy w epoce kokainy – mówił Escobar. – Ona podbija świat, bo jest mniej niebezpieczna niż inne narkotyki. Narkomanię powoduje brak edukacji i dyscypliny. Tak samo jak z alkoholizmem. Nie ma różnicy między ludźmi uzależnionymi od alkoholu i narkotyków". Nie omieszkał przy tej okazji zaznaczyć, że w całej tej historii czarnym charakterem tak naprawdę

eprasa.pl d8ca3081f8

jest Waszyngton. „Amerykanie forsują opinię o szkodliwości kokainy, bo to nie oni kontrolują rynek tej substancji. Produkuje ją Kolumbia i to jest prawdziwy problem" – przekonywał Escobar.

W 1991 r., po długich negocjacjach z rządem, przywódca kartelu z Medellín złożył broń. A przynajmniej tak to miało wyglądać. Wraz z resztą swoich głównych współpracowników dał się zamknąć w więzieniu. Nie było to jednak zwykłe więzienie, bo Escobar sam je dla siebie zbudował... La Catedral, z pięknym widokiem na Medellín, było zapewne najbardziej luksusowym zakładem karnym w dziejach. Escobar miał tam m.in. klub nocny z prostytutkami, jacuzzi i telefony, dzięki którym cały czas mógł prowadzić swój „biznes".

„Pozwolono mu nawet wybrać współwięźniów, a także... własnych strażników więziennych! Ponadto kolumbijskie władze, a także »gringos« nie mogli się zbliżać do tego obiektu na odległość mniejszą niż dwie mile. Jakby tego było mało, to w umowie z rządem nie było mowy o konfiskacie jego majątku. Ten facet mógł zatrzymać swoje 30 mld dol.! – mówił Steve Murphy z DEA. – Escobar spędził tam rok, zostały mu tylko cztery lata odsiadki. Jeżeli rodzina byłaby dla niego najważniejsza, to odsiedziałby resztę wyroku, potem byłby wolny i mógłby cieszyć się życiem rodzinnym, żyjąc jak król. Ale to nie rodzina była dla niego najważniejsza, tylko jego ego i żądza władzy. Dlatego nie mógł się powstrzymać i jeszcze w »więzieniu« zabił dwóch swoich wspólników, co sprowadziło na niego prawdziwe kłopoty. Escobar musiał uciekać z »więzienia« i wtedy rozpoczął się drugi pościg za tym potworem".

Kolumbijskie władze postanowiły raz na zawsze rozprawić się z przywódcą kartelu z Medellín. Wykorzystując najnowocześniejszy sprzęt szpiegowski przysłany przez Amerykanów, specjalna jednostka o nazwie Search Bloc, dowodzona przez płk. Hugo Martíneza, przeczesywała to miasto i jego okolice, szukając swojego celu numer jeden. Escobar tracił w obławach kolejnych zaufanych współpracowników, aż w końcu został praktycznie sam. Cały czas jednak utrzymywał kontakt ze swoją rodziną: żoną i dwojgiem dzieci. I właśnie podczas kolejnej rozmowy z synem wpadł. Kolumbijscy funkcjonariusze namierzyli go w skromnym domu. Zginął 2 grudnia 1993 r., dzień po swoich 44. urodzinach, zastrzelony podczas próby ucieczki.

„Jestem realistą. Zabicie Escobara nie zatrzymało przemytu kokainy, pewien efekt był widoczny najwyżej kilka tygodni. Niestety, zbyt wielu ludzi czekało, by zająć jego miejsce – przyznawał Steve Murphy. – Po wyeliminowaniu kartelu z Medellín handel kokainą przejął kartel z Cali. Kilka lat trwała walka z tą organizacją. Gdy kartel z Cali został rozbity, jego miejsce zajął kartel z North Valley. A po nich przyszedł Don Berna – Diego Murillo – który stał się nowym Escobarem. Don Berna odbywa teraz 30-letni wyrok w USA. Na handlu kokainą można zarobić tyle pieniędzy, że zawsze znajdzie się ktoś chętny. Ludzie, którzy używają kokainy, powinni zdawać sobie sprawę, że za proszkiem, który oni tak ochoczo wciągają, ciągnie się krwawy ślad. A na drugim końcu świata, żeby oni mogli się świetnie bawić, ktoś musi zginąć".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl d8ca3081f8



1258 r. / Koniec złotego wieku cywilizacji muzułmańskiej

Rzeki krwi i atramentu



Łukasz Czarnecki

Zdobycie przez Mongołów Bagdadu było największą tragedią w dziejach islamu. Wraz z zamordowaniem ostatniego kalifa z rodu Abbasydów wspólnota wyznawców sunnizmu pozostała bez powszechnie akceptowanego duchowego zwierzchnika, w którym to stanie trwa do dziś

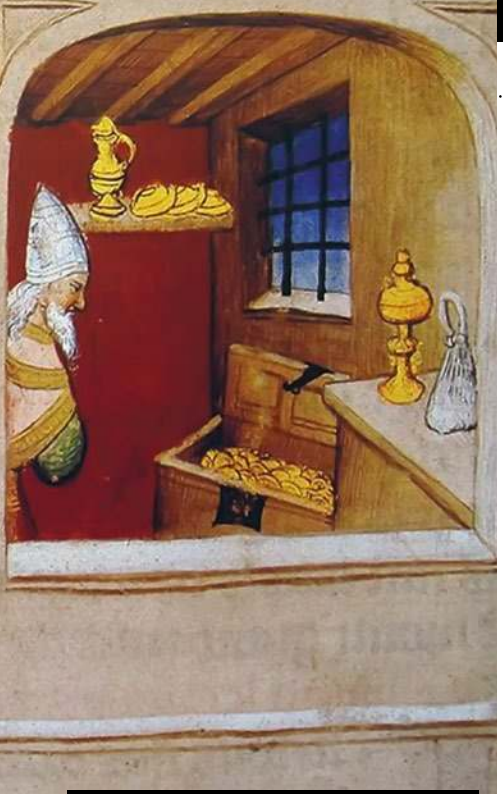
Abbasydzi w ciągu IX w. zaczęli przekazywać coraz więcej prerogatyw tureckim oficerom dowodzącym wojskami kalifów złożonymi ze środkowoazjatyckich niewolników. Ostatecznie doprowadziło to Książąt Wiernych do utraty władzy politycznej na rzecz sułtanów, czego apogeum przypadło na okres tzw. Wielkich Seldżuków. Jednakże w połowie XII w. bagdadzkim kalifom udało się zrzucić jarzmo dokuczliwego protektoratu i wybić na niezawisłość. Choć urząd kalifa na powrót zaczął cieszyć się szacunkiem w całym świecie sunnickiego islamu, to dawne imperium odeszło już w przeszłość rozdarte przez tendencje odśrodkowe. Odrodzone wskutek walki z Turkami władztwo Abbasydów ograniczało się teraz do Iraku Arabskiego, podczas gdy o Irak Perski Władca Wiernych musiał toczyć nieustanne boje z wasalami Wielkiego Seldżuka.

Szukając sojuszników w tej wojnie, Bagdad skontaktował się z władającym potężnym środkowoazjatyckim królestwem Chorezmu, Chorezm-szahem Takaszem, przy którego pomocy udało się nie tylko wydrzeć Turkom pożądany rejon, lecz także doprowadzić w roku 1194 do ostatecznego końca dynastii Wielkich Seldżuków. Jak to jednak często bywa, gdy doszło do dzielenia łupów, kalif An-Nasir pokłócił się z sojusznikiem, co zaowocowało śmiertelną wrogością między Chorezmem a Bagdadem. Ostatecznie kalifowi nie udało się przyłączyć Iraku Perskiego do swoich włości, ale skutecznie zablokował jego zagarnięcie przez Takasza, doprowadzając do tego, że stanowisko na wpół samodzielnego władyki będące kością niezgody księstwa objął wódz lojalny wobec Księcia Wiernych. Chorezm-szah zapałał straszliwym gniewem, lecz niewiele zdziałał w tej sprawie, gdyż w lipcu 1200 r. zmarł.

Wróg wroga

Tron Chorezmu odziedziczył Takaszowy syn Ala ad-Din Muhammad. Szybko okazało się, że był to władca spod znaku Marsa. Rok w rok wyruszał na kolejne kampanie, w wyniku których rozszerzył granice ojcowizny o prawie cały

eprasa.pl d8ca3081f8



Al-Mustasim uwięziony przez Hulagu-chana
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

współczesny Iran oraz Afganistan. Jego sławę głoszono na bazarach i w meczetach, jak Azja Środkowa długa i szeroka, a potwierdzeniem otaczającej go chwały stał się nadany mu przydomek – Nowy Aleksander Wielki.

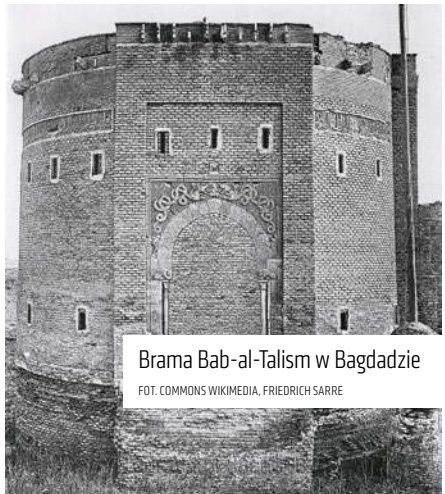
Ala ad-Din, dokonawszy niezwykłych czynów na Wschodzie, zwrócił oczy ku Irakowi. Pamiętając despekt, którego jego ojciec doznał ze strony kalifa, postanowił pomścić ową hańbę – podbić państwo Abbasydów i uczynić Bagdad stolicą swego imperium. Jesienią 1217 r. na czele potężnej armii wkroczył do Iraku Arabskiego i podszedł pod Hamadan. Tu jednak zaskoczyła go niezwykle surowa zima, która zdziesiątkowała zarówno zwierzęta juczne, jak i ludzi, zmuszając Muhammada do wycofania się. „Nowy Aleksander Wielki" postanowił odłożyć podbój kalifatu na później. Nie wiedział, że nie będzie mu już dany czas potrzebny na przyszykowanie kolejnej wyprawy.

Równocześnie daleko na wschodzie straszliwy Czyngis-chan parł przed siebie jak burza, wiodąc hordy obracające w perzynę wszystko, co napotkały. An-Nasir, dzięki przemierzającym Azję muzułmańskim kupcom oraz sieci szpiegów, dobrze wiedział o tych podbojach. Mongolskie władztwo było bezpośrednim sąsiadem Chorezmu i mogło stać się dla Księcia Wiernych cennym sojusznikiem w walce z groźnym Ala ad-Dinem. Dlatego też kalif wysłał do Czyngis-chana list, w którym kusił go wizją ogromnych łupów, które pan koczowniczych hord mógłby zdobyć, atakując państwo Chorezm-szahów. Wielki Chan zaczął rozważać tę propozycję, a w podjęciu ostatecznej decyzji pomogła mu niesamowita wręcz głupota „Nowego Aleksandra Wielkiego".

W roku 1218 w pogranicznym Utrdarze w dorzeczu Syr-darii miejscowy namiestnik Ilnaczik nakazał wymordować członków zmierzającej na zachód karawany mongolskich kupców, którzy na ponad 500 wielbłądach wieźli jedwab i inne cenne towary. Doszło do rzezi, w trakcie której wyrżnięto 450 osób, m.in. towarzyszących wyprawie zaufanych urzędników Czyngis-chana.

Gdy wieści o masakrze dotarły do Karakorum, gdzie rezydował Wielki Chan, władca Mongołów w nietypowym dla siebie geście opanowania postanowił załagodzić sprawę drogą dyplomatyczną. Do stolicy Ala ad-Dina wyruszyło poselstwo z zażaleniem oraz żądaniem wydania Ilnaczika w mongolskie ręce i wypłacenia odszkodowania za stracone towary i przelaną krew. Muhammadowi dotychczasowe powodzenie uderzyło jednak do głowy i gdy przed jego obliczem stanął chanowy ambasador, władca odrzucił żądania jako bezczelne, a samego posłańca nakazał stracić. Członków jego świty oszczędzono, lecz przed powrotem do domów rytualnie upokorzono ich, goląc im brody. Kiedy Czyngis-chan dowiedział się o tym, zwołał hordy, na których czele spadł na państwo Chorezm-szahów.

Najeźdźcy szli przez imperium Muhammada jak nóż przez masło. Kolejne wielkie metropolie Azji Środkowej były obracane w ruinę. Mongołowie łupili, gwałcili, mordowali i palili. Muhammad błyskawicznie stał się królem bez ziemi. Dwa lata po tym, jak zamordował mongolskiego posła, kontrolowane przez niego terytorium skurczyło się do małej wysepki na Morzu Kaspijskim, gdzie w grudniu 1220 r. wyzionął ducha. Zagrażające bagdadzkiemu kalifatowi imperium Chorezm-szahów przestało istnieć. Rezydujący w Mieście Pokoju Władca Wiernych zapewne odetchnął z ulgą. Choć możliwe też, że gdy doszły doń wieści o okrucieństwie Mongołów, to zaczął się zastanawiać, czy jednego niebezpieczeństwa nie zastąpiło drugie – po stokroć gorsze.



Brama Bab-al-Talism w Bagdadzie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FRIEDRICH SARRE

Kalif i chan

Mongołowie ponownie dali o sobie znać w połowie lat 30. XIII w., kiedy kolejne ich zagony dokonywały krótkotrwałych rajdów na terytorium kalifatu. Władającemu wówczas Al-Mustansirowi za każdym razem udawało się jakoś ich odeprzeć, co napawało jego poddanych nadzieją. Nie zdawali sobie jednak sprawy, że owe najazdy nie miały na celu trwałych podbojów, lecz rozpoznanie bojem przed przyszłą inwazją.

Ostatni zwycięski Władca Wiernych zmarł 5 grudnia 1242 r. W obliczu narastającej grozy mongolskiej osierocone państwo potrzebowało silnego przywódcy, a takim wydawał się brat kalifa. Jednakże jego kandydatura została odrzucona wskutek spisku dworskich dostojników pragnących widzieć na tronie władcę słabego i łatwo ulegającego ich wpływom. W efekcie kalifem został Al-Mustasim, syn zmarłego, który idealnie spełniał wymagania kamaryli. Późniejsze pokolenia miały przeklinać imię tego 37. z kolei członka rodu Abbasydów, stojącego na czele muzułmańskiej wspólnoty. Zarówno średniowieczni kronikarze, jak i późniejsi historycy nie zostawili na nim suchej nitki. Określenia w rodzaju: „słaby", „próżny", „niekompetentny" czy „tchórzliwy", które padały pod jego adresem, i tak należą do najłagodniejszych głosów w dyskusji na temat ostatniego Księcia Wiernych. Brytyjski historyk z przełomu wieków XIX i XX,



Meczet al-Saray w Bagdadzie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSTAFA WAAD SAEED

sir Henry Howorth, wprost określił go jako „kompletnie skretyniałego".

Nowego kalifa cechowały żądza bogactw i chorobliwe skąpstwo. Szukając sposobu na zwiększenie swego majątku, postanowił oszczędzać na... wojsku. Pomysł iście oryginalny, biorąc pod uwagę, że sąsiadem było ekspansywne imperium Mongołów. Al-Mustasim, nie chcąc łożyć na utrzymanie zawodowej armii, po prostu ją rozwiązał. Żołnierzy mobilizowano odtąd tylko w razie nagłej potrzeby. Efekt był taki, że wojska Księcia Wiernych zamieniły się w kiepsko wyszkolone pospolite ruszenie o tragicznie niskim morale. Ostatni Abbasyda kompletnie nie był zainteresowany sprawami państwa, oddając się za to rozkoszom ciała w swoim haremie.

Tymczasem wśród Mongołów trwał ferment mający doprowadzić do zagłady kalifatu. W roku 1251 zgromadzone hordy okrzyknęły nowym Wielkim Chanem wnuka Czyngis-chana, Mongkego. Ten postanowił uczcić swoje wyniesienie, inaugurując nową erę podbojów. Postawiwszy na czele ogromnych armii swoich braci – Kubiłaja i Hulagu – pierwszego posłał na Wschód celem podbicia Chin, drugiemu nakazał spaść z ogniem i mieczem na kraje islamu i poddać ludy Koranu mongolskiemu jarzmu.



Ala ad-Din Muhammad
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Pierwszym celem maszerującej na zachód hordy stał się Iran. Tu Hulagu przystąpił do walki z otoczonymi złą sławą asasynami. Nie było to łatwe zadanie, bo członkowie złowrogiej sekty kontrolowali ponad setkę zamków rozsianych po niedostępnych górach. W trakcie tej kampanii chan rozesłał do wszystkich okolicznych muzułmańskich władców listy wzywające ich do wspomożenia Mongołów zapasami i wojskiem. Tym, którzy usłuchają wezwania, obiecywał łaskę, hardym – śmierć. Pismo takie trafiło też do Księcia Wiernych, który jednak miast spełnić żądania straszliwego Hulagu, odesłał tylko formalną wiadomość z zawiadomieniem o uznaniu jego zwierzchnictwa. W grudniu 1256 r. Alamut, główna twierdza asasynów, skapitulował. Przez następne miesiące Hulagu wyniszczał ostatnie gniazda oporu. Po wszystkim zwrócił oczy na zachód...

Wkrótce na dwór kalifa przybyli chanowi posłańcy z listem pełnym wyrzutów z powodu nieprzysłania wojsk. W ramach ekspiacji wnuk Czyngis-chana żądał od Księcia Wiernych wyburzenia murów otaczających Miasto Pokoju i osobistego przybycia przed swe oblicze celem złożenia wyjaśnień. Al-Mustasim, będąc przekonany o swym wielkim znaczeniu i nadprzyrodzonej opiece Allaha nad domem Abbasydów, wysłał do obozu chana ambasadorów, którzy przekazali Mongołowi pełną pychy odpowiedź. Kalif chełpił się chwałą bożego namiestnika na ziemi i nakazywał Hulagu iść precz, bo wszelkie jego wrogie zakusy są z góry skazane na niepowodzenie z racji świętości kalifatu. Słuchając tych rewelacji, chan zapewne przecierał oczy ze zdumienia. Oto stał na granicy władztwa Abbasydów na czele 300-tysięcznej armii, a tymczasem władca Bagdadu, dysponując zaledwie 20 tys. powołanych na szybko pod broń ludźmi, śmiał mu wygrażać!

Al-Mustasim dawał kolejne dowody swego oderwania od rzeczywistości. Gdy jego najbliżsi doradcy zasugerowali zwołanie pospolitego ruszenia, zgodził się, ale kiedy ochotników już zmobilizowano, Książę Wiernych odmówił wypłacania im żołdu ze swej szkatuły! Zamiast szykować się do oblężenia lub starać się udobruchać chana, wykonywał kolejne kroki wiodące ku katastrofie, jak choćby wysłanie kolejnego listu do Hulagu, w którym wyliczał wodzowi Mongołów wszystkie nieszczęścia, jakie Allah w swoim sprawiedliwym gniewie zsyłał w przeszłości na wrogów Abbasydów, strasząc wnuka Czyngis-chana rychłą zgubą.



Denary Al-Mustasima FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Chan był tym wszystkim coraz bardziej zirytowany. Mając serdecznie dość arogancji Księcia Wiernych, postanowił wdeptać go w ziemię. Zanim jednak nakazał hordom ruszyć na Bagdad, wezwał przed swe oblicze astrologa, którego zapytał, czy wystąpienie przeciw kalifatowi rzeczywiście przyniesie nadprzyrodzone i tragiczne skutki. Wróż, pobożny sunnita, wspiął się na wyżyny kreatywności, wyliczając aż sześć straszliwych plag, mogących doprowadzić do zagłady całej ludzkości. Praktyczny Hulagu doszedł jednak do wniosku, że skoro przepowiednie mu nie sprzyjają, to trzeba zadbać o inne, pomyślniejsze. Wezwano kolejnego astrologa, tym razem szyitę z Persji, a zatem przedstawiciela odłamu islamu nieuznającego duchowego prymatu Abbasydów. Pers ku radości Mongoła oświadczył, że jego uczony kolega opowiadał bzdury, a jedynym efektem ataku na Bagdad będzie to, że „miejsce kalifa zajmie Hulagu-chan". Decyzja zapadła. Koczownicy wskoczyli na koń i ruszyli na stolicę kalifów.

Bombardy na Tygrysie

16 stycznia 1258 r. najeźdźcy przekroczyli Tygrys i zalali Irak. Naprzeciw nawale wyruszyło pospolite ruszenie, które zastąpiło najeźdźcom drogę pod Kuszk al-Mansurem. Mongołowie obeszli Arabów i przerwali pobliską tamę, zalewając step rozciągający się za plecami muzułmanów, po czym uderzyli z taką furią, że armia kalifatu poszła w rozsypkę. Wyrżnięto 12 tys. ludzi, a reszta potopiła się w trakcie panicznej ucieczki.

22 stycznia mongolska horda stanęła pod murami Bagdadu. Jednak nawet wtedy do Al-Mustasima nie dotarła powaga sytuacji. Gdy Mongołowie zaczęli ostrzał miasta, Władca Wiernych zabawiał się w haremie... Chcąc mieć pewność, że nikt nie wymknie się z jego pułapki, brat Wielkiego Chana nakazał zbudować mosty pontonowe na Tygrysie powyżej

eprasa.pl d8ca3081f8

i poniżej Bagdadu oraz umieścić na nich bombardy, z których ostrzeliwano łodzie z uchodźcami.

Al-Mustasim w końcu zrozumiał, że Allah nie kiwnie palcem w obronie swego namiestnika. Wysyłał więc do obozu Hulagu kolejne poselstwa, ale żadne z nich nie zostało dopuszczone przed oblicze chana. Trzecie, ostatnie poselstwo poinformowano jednak, że jeśli kalif chce się poddać, to w namiocie mongolskiego wodza stawić się mają głównodowodzący jego armią, a żołnierze bagdadzkiego garnizonu muszą wyjść przed miejskie mury i złożyć broń. Obiecano im darowanie życia i wcielenie do wojsk Hulagu.

7 lutego 1258 r. ostatnia armia Abbasydów wymaszerowała na przedpola stolicy i oddała się w ręce zwycięzców. Do opuszczających miasto wycieńczonych wojaków dołączali tłumnie cywile. Gdy cała ta ludzka rzesza znalazła się poza murami, Mongołowie podzielili ją na mniejsze grupy, po czym… wyrżnęli wszystkich tych ludzi w pień. 13 lutego Hulagu wkroczył triumfalnie do Bagdadu. Rozpoczęła się rzeź niemająca sobie równych w dziejach (aż do XX w.). Chan pozwolił gwałcić, rabować, sycić wszelkie żądze. Zdobywcy podpalali budynki, zarzynali ludzi na ulicach, rabowali pieniądze i kosztowności, wywlekali kobiety z haremów, by je gwałcić grupowo i indywidualnie. Pewna grupa Mongołów zebrała tak ogromne łupy, że nie mieściły im się one w sakwach, więc zastosowano bardzo kreatywne rozwiązanie – wypatroszenie trupa i wypełnienie klejnotami jego pozbawionych wnętrzności brzucha. Inni łamali miecze tuż przy rękojeści, wyrzucali ostrza i ładowali złoto do pochew.

Według muzułmańskich kronikarzy ulicami Przybytku Pokoju płynęła szeroka na podobieństwo Nilu rzeka krwi. Nie był to jedyny dziwny potok, który tamtego straszliwego dnia widziano w Bagdadzie. Stolica kalifatu słynęła z bibliotek pełnych uczonych dzieł. Dla barbarzyńców te księgi nie przedstawiały żadnej wartości, więc masowo wrzucali je do Tygrysu. Liczba utopionych w falach książek była tak wielka, że gdy woda rozpuściła atrament, którym zapisano ich strony, nurt rzeki zabarwił się ponoć na czarno…



Hulagu-chan FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Oblężenie Bagdadu, 1258 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BNF GALLICA

Ilu ludzi straciło życie w tej strasznej rzezi? Dziejopisowie świata islamu żyjący w tamtych czasach podawali liczbę 800 tys. ofiar. Ich późniejsi koledzy, być może chcąc uczynić swoje dzieła bardziej dramatycznymi, pisali o 2 mln. Sam Hulagu pozostawał powściągliwy w swych szacunkach i w liście do króla Francji Ludwika IX Świętego przyznawał się „tylko" do 200 tys. zabitych.

Ukryte skarby

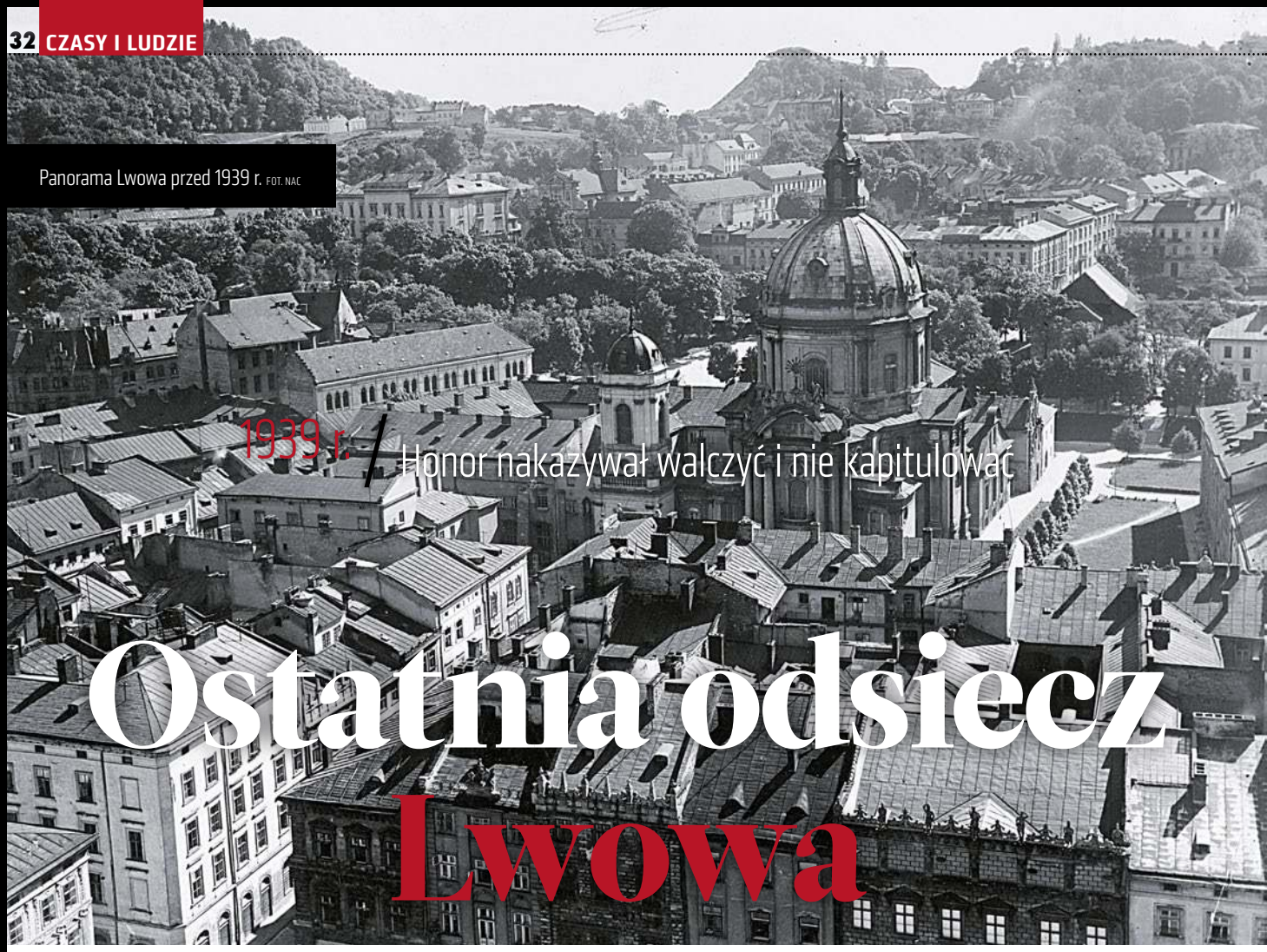
Wódz rozłożył się w pałacu kalifa i urządził ucztę. Zaprosił na nią obalonego władcę, którego pouczył, że dobry gospodarz powinien obdarowywać swoich „gości" prezentami. Al-Mustasim zrozumiał aluzję i wpadł w taką panikę, że nie mógł znaleźć kluczy do skarbca. W końcu zamki wyłamano i wyniesiono niezliczone kosztowności. Hulagu jednak zlekceważył je i zażądał od Księcia Wiernych wydania jego ukrytych skarbów. Kalif wskazał podziemną cysternę wypełnioną sztabami złota. Następnie chan, pamiętny nauk swego dziadka, który lubił powtarzać, że nie ma większej radości dla mężczyzny niż po pokonaniu wroga zgwałcić jego kobiety, zaordynował konfiskatę całego haremu, czyli 700 konkubin.

Ostatni kalif z dynastii Abbasydów przez tydzień musiał znosić kolejne upokorzenia, po czym Hulagu, niepomny swoich wielokrotnych zapewnień o darowaniu Księciu Wiernych życia, nakazał wsadzić nieszczęśnika do worka (wedle innych źródeł zawinąć w dywan) i rzucić pod stopy mongolskich żołnierzy, którzy zadeptali go na śmierć. Wątpliwą pociechę dla mordowanego mógł stanowić fakt, że w tradycji koczowników ten rodzaj egzekucji uchodził za honorową śmierć zarezerwowaną dla członków rodów królewskich.

Wkrótce po egzekucji kalifa dołączyła do niego w zaświatach większość rodziny. Przez następne dekady po świecie islamu wałęsało się jednak wielu podejrzanej proweniencji osobników podających się za cudem ocalonych krewnych ostatniego Księcia Wiernych, czerpiąc z tego niemałe zyski. Jeden z nich dotarł do Egiptu, gdzie został obwołany przez mameluków kalifem (choć mało kto ów kalifat uznawał), natomiast innego spotkał w XIV w. w Indiach, na dworze sułtana Delhi, marokański podróżnik Ibn Battuta. Podający się za syna Al-Mustasima mężczyzna w najlepsze „doił" naiwnego indyjskiego władcę, któremu najwyraźniej nie zaświtało w głowie, że gdyby pretensje protegowanego były zgodne z prawdą, to musiałby on liczyć sobie ponad 100 lat!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8



Panorama Lwowa przed 1939 r. FOT. NAC

1939 r. / Honor nakazywał walczyć i nie kapitulować

Ostatnia odsiecz Lwowa



Marek Gałęzowski

Generał Kazimierz Sosnkowski na czele swoich żołnierzy postanowił pójść na pomoc miastu, płacąc wiernością za to, że było zawsze wierne Rzeczypospolitej

Zaplanowany manewr wiódł nas na wschód. Był to marsz zaczepny na wroga i z wrogiem na karku [...]. Liczyłem na elektryzujący wpływ słowa »Lwów« i dlatego poleciłem poinformować wojsko, że ciągniemy na odsiecz obleganemu miastu, będącemu dla Polaków symbolem wierności i poświęcenia". Tak gen. Kazimierz Sosnkowski uzasadnił swoim żołnierzom decyzję rozpoczęcia marszu ku miastu, dzień wcześniej zaatakowanemu przez wojska niemieckie. Nie ukrywał przed nimi trudności: „Jesteśmy odcięci, że idąc w kierunku Lwowa, będziemy musieli toczyć ciężkie boje i przebijać się niejednokrotnie". Był 13 września 1939 r.

Wezwania nie było...

We wspomnieniach „Cieniom września" Sosnkowski pisał: „Pamiętny ranek 1 września zastał mnie na stanowisku pokojowym inspektora armii »Polesie«. Oczekiwałem z godziny na godzinę, że będę wezwany do Kwatery Głównej i otrzymam przydział wojenny. Minął dzień jeden, drugi. Wezwania nie było". Dawny szef sztabu I Brygady Józefa Piłsudskiego, jeden z najwybitniejszych i najwyższych stopniem polskich dowódców, w ostatnich latach przed wojną odsunięty od decyzji politycznych i wojskowych, nie chciał czekać biernie na sygnał Naczelnego Wodza marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, więc 3 września 1939 r. zgłosił się do niego. Otrzymał propozycję objęcia stanowiska wicepremiera, odpowiedzialnego za gospodarkę wojenną. Nie przyjął go, argumentując, że mógłby zajmować je tylko w rządzie jedności narodowej, niemożliwym już wówczas do powołania. Ale przede wszystkim zależało mu na udziale w obronie napadniętej ojczyzny, nie zaś na danym „na odczepnego" urzędzie cywilnym.

Dlatego zwrócił się z prośbą o powierzenie mu dowództwa obrony Warszawy. Tego mu odmówiono, pozwalając jedynie

eprasa.pl d8ca3081f8

skontrolować działania mianowanego na to stanowisko gen. Waleriana Czumy. Ponieważ żadnych jeszcze nie było, to właśnie Sosnkowski wydał pierwsze zarządzenia dotyczące organizacji obrony stolicy. Była wśród nich także decyzja o pozostawieniu na zajmowanym stanowisku jej prezydenta, Stefana Starzyńskiego, który jako oficer rezerwy otrzymał powołanie do jednego z pułków. Ponowioną przez Sosnkowskiego propozycję objęcia dowództwa odrzucono – nie chciano „dowodzącego w Warszawie świetnego organizatora, generała o dużym autorytecie, wypróbowanego już w krytycznych chwilach" – pisał o intencji ówczesnych władz historyk polskiego września Andrzej Rzepniewski, z przekąsem dodając, że „zbyt dużo politycznego instynktu miał Śmigły-Rydz, aby dopuścić do takiej sytuacji".

Pomińmy małostkowe rozważania Naczelnego Wodza i jego otoczenia, by odcinek walki powierzyć dawnemu towarzyszowi Marszałka z magdeburskiego więzienia, byleby tylko nie przyćmiło to dokonań marszałka „Śmigłego" w spodziewanym zwycięstwie. Straciwszy jeszcze kilka dni na staraniach o stanowisko dowódcze, Sosnkowski pojechał do Lwowa. Tam ostatecznie 11 września otrzymał dowództwo Frontu Południowego.

Wobec tragedii ojczyzny

Ten odcinek walki w obronie napadniętego przez Niemców kraju – jak zauważył generał – „istniał tylko w przenośni, składając się z poszczególnych ognisk oporu, rozsianych z rzadka na wielkiej przestrzeni bez wzajemnej łączności między sobą. Były to przeważnie resztki rozbitych już parokrotnie oddziałów, zestawione doraźnie w nowe związki, pozbawione wewnętrznej spójni organizacyjnej". To jego dowódca miał dopiero zbudować front, by stworzyć szaniec obrony ziem południowo-wschodnich Rzeczypospolitej. Generał wahał się podjąć tego zadania, ponieważ nie miało ono żadnych szans powodzenia.

Ale „górę wzięło poczucie obowiązku żołnierskiego. Zwyciężyła świadomość,



Kazimierz Sosnkowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

że wobec tragedii, jaką przeżywa Ojczyzna, umilknąć muszą wszelkie względy osobiste".

Dwa dni później Sosnkowski udał się do poddanych jego dowództwu dywizji. Początkowo chciał to uczynić na czele oddziału wydzielonego z 10. Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej płk. Stanisława Maczka. Gdy okazało się to niemożliwe, poleciał z dużym ryzykiem samolotem ze Lwowa do Przemyśla. To w rejonie tego miastem zbierały się 11., 24. i 38. dywizje piechoty armii „Karpaty", a także złożona z dwóch brygad górskich grupa gen. Kazimierza Orlika-Łukowskiego. Były to jednostki o niepełnych składach, zdziesiątkowane wskutek walk prowadzonych z Niemcami. Z 24. DP – jak wspominał generał – „pozostała jedynie nazwa", ale za to przynajmniej 11. DP płk. Bronisława Prugara-Ketlinga, chociaż nadszarpnięta w bojach, była „w dobrym stanie pod względem sprawności bojowej [...]. Duch w dywizji panował mocny; była ona prowadzona dobrze, mając na czele doświadczonego, bojowego dowódcę. Pułkami dowodzili wytrawni i dzielni oficerowie". Te dywizje – jako armia „Małopolska" – stały się owym Frontem Południowym pod dowództwem Sosnkowskiego, a w istocie – jedynie słabą, stale topniejącą grupą operacyjną, pozbawioną lotnictwa, obrony przeciwlotniczej, broni pancernej, środków komunikacji.



DZIENNIK POLSKI

WYCHODZI RANO

Rok V. Lwów, środa 14 września 1939 r. Nr. 252

Lwów bronić się będzie do upadłego!

Niemiecki oddział zmotoryzowany rozbity na przedmieściach Lwowa!

Obywatele miasta Lwowa!

Wczoraj, dnia 12 bm. po południu na rogatkach Lwowa pojawił się oddział zmotoryzowany wroga, składający się z czołgów, wozów pancernych i oddział piechoty.

Wypad został zlikwidowany przez załogę Lwowa przy chlubnym udziale Policji Państwowej. Kilka czołgów nieprzyjacielskich zostało rozbitych przez naszą artylerię, reszta wycofała się wraz z piechotą, która pozostawiła kilkudziesięciu zabitych.

Podając to do waszej — Obywatele Lwowa — wiadomości, wzywam was do zachowania i nadal zupełnego spokoju. Radiostacja wrocławska już zdążyła wypuścić w świat fałszywy komunikat o zajęciu naszego miasta.

Miasto, które było „Semper Fidelis", odznaczone Krzyżem „Virtuti Militari", bronić się będzie do upadłego.

Komunikat o odparciu niemieckiego ataku na miasto FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mimo to gen. Sosnkowski nie wahał się w realizacji powziętego planu przedarcia się bojem przez Lasy Janowskie do Lwowa. „Droga, która leżała przed nami, była jedyną, choćby nas zguba nieuchronna na niej czekać miała. Obowiązywała lojalność żołnierska". Wyrażała się ona według słów generała w dewizie, że „trzeba było wiernością zapłacić za wierność kresowego miasta". Mógł Sosnkowski wybrać inny kierunek – odejść bez większych przeszkód na odcinek górnego Dniestru, by tam w oparciu o niedalekie pogranicze prowadzić dalszą walkę. Poczucie honoru i obowiązku mówiło jednak, że co prawda uratuje to jego wojsko, ale odsłoni nie tylko flankę i tyły Armii „Kraków" gen. Antoniego Szyllinga, lecz także „najwierniejsze miasto Rzeczypospolitej, pozostawiając je własnemu losowi".

Wyruszywszy z Przemyśla, w następnych dniach gen. Sosnkowski prowadził naprzód swoje topniejące dywizje, odnosząc kilka błyskotliwych zwycięstw, największe – pod Jaworowem (a ściślej – Mużyłowicami), kiedy w nocnym ataku z 15 na 16 września żołnierze 11. DP rozbili zmotoryzowany pułk SS „Germania". Bitwa ta stała się jednym z najbardziej spektakularnych polskich zwycięstw w kampanii 1939 r. Dla żołnierzy Sosnkowskiego był to jednak jeden z wielu bojów toczonych na szlaku lwowskim, jak prowadzony w tym samym czasie przez żołnierzy 24. DP o wieś Hartfeld. „Wzięto jeńców, zdobyto wielką ilość sprzętu motorowego, wozy pancerne, transportery, cysterny, samochody ciężarowe, motocykle. Sprzęt ten zniszczono granatami ręcznymi" – wspominał Sosnkowski. Dodawał jednak: „W boju o Hartfeld ponieśliśmy dotkliwe straty, zwłaszcza w oficerach". Następnego dnia zaczęła się ciężka bitwa z Niemcami w Lasach Janowskich. W czasie jej trwania pod Szkłem w ogniu nieprzyjacielskiej

eprasa.pl d8ca3081f8



Nocny atak na pozycje niemieckie. Rysunek Jana Gundlacha, żołnierza 11. Karpackiej Dywizji Piechoty FOT. BELLONA

artylerii ciężkiej gen. Sosnkowski był na stanowisku dowodzenia dywizji.

„Dowodził twardo, z charakterem, zadając kłam opiniom, iż mógłby zawieść w momencie krytycznym" – pisał Rzepniewski. Sam generał podkreślał „męstwo żołnierzy, którzy wytrwali w szeregach pomimo trudów fizycznych i moralnych, przebytych w toku tej krótkiej, lecz tak niewymownie ciężkiej kampanii". Ale po bitwie w Lasach Janowskich sytuacja zgrupowania gen. Sosnkowskiego stała się bardzo ciężka: „Zebrała się zaledwie połowa pierwotnych stanów dywizji; związki organizacyjno-taktyczne były nadszarpnięte i pomieszane. Aby je uporządkować, niezbędny był przynajmniej dzień odpoczynku. Niestety, sytuacja nie dopuszczała nawet myśli o takim luksusie; musieliśmy bez chwili wytchnienia bić się dalej, nie bacząc na potworne zmęczenie ludzi".

Dramat ostatniego natarcia

O świcie 19 września 1939 r. resztki wykrwawionych dywizji Sosnkowskiego dotarły niemal na przedpole Lwowa. Kilka godzin później generał wydał rozkaz do ostatniego uderzenia, które miało otworzyć im doń drogę. „W rozkazie gen. Sosnkowskiego zamknął się cały dramat tego ostatniego pod Lwowem natarcia. Do niedawna dowódca grupy armii, później armii, prowadził do ostatniego ataku oddział nie większy od pułku piechoty. Jeszcze kilka dni wcześniej formułował rozkazy operacyjne, stawiając zadania grupom operacyjnym i dywizjom, teraz niepokoiły go zadania plutonów i kompanii. Zbliżał się kres możliwości prowadzenia dalszej walki".

Komentarz zasłużonego dziejopisa kampanii 1939 r., Tadeusza Jurgi, oddawał nie tylko dramat jednego z najbliższych Piłsudskiemu ludzi, który z desperackim uporem przedzierał się do Lwowa wśród miażdżącej przewagi niemieckiej, lecz także całej nierównej walki w obronie Polski najechanej przez III Rzeszę, wspartej następnie agresją sowiecką.

Polacy uderzyli na broniące im dostępu do miasta pozycje niemieckie w pobliżu Hołoska Wielkiego i Hołoska Małego, zaledwie półtora kilometra od bram Lwowa. W awangardzie szedł batalion mjr. Eugeniusza Lityńskiego, „likwidując poszczególne gniazda oporu pod sanatorium [w Hołosku], mocno obsadzone przez Niemców. Tutaj podporucznik rezerwy Alfred Als w walce na granaty ręczne zniszczył gniazdo trzech niemieckich karabinów maszynowych, wybijając doszczętnie ich obsługę. Wnet potem sanatorium zostało wzięte uderzeniem na bagnety. Droga była chwilowo otwarta".

Kilkanaście minut później mjr Lityński wkroczył do miasta, prowadząc 105 żołnierzy – jak pisał historyk polskiego Września Apoloniusz Zawilski – „z ciężkimi karabinami maszynowymi w pełnym szyku bojowym". Ale po zwycięskim uderzeniu tego batalionu Niemcy natychmiast „zwarli ponownie pierścień obrony, zajmując z powrotem sanatorium i wysuwając wzdłuż szosy nowe czołgi", co uniemożliwiło przebicie się pozostałych oddziałów WP. Nie powiodło się również uderzenie na wzgórza leżące na północ od innej lwowskiej dzielnicy, Zamarstynowa. Prawdziwym bohaterem na miarę tyrtejską okazał się tam kpt. Józef Josse, który w ostatnich dniach odniósł w bojach z Niemcami cztery rany, ale pozostał w szeregach i zginął, prowadząc do natarcia swoją kompanię.



Eugeniusz Lityński FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

W pierwszej linii walczył także gen. Sosnkowski z oficerami swojego sztabu, torując sobie drogę karabinem i wydając komendy obsłudze jednego z ostatnich działek przeciwpancernych, wspierającego idących do boju kolegów. W pewnym momencie, jak wspominał, „zdawało się, że zapora zamykająca nam dostęp do miasta została przebita. Nagle z boku zagrały karabiny maszynowe i ziemia dookoła nas pokryła się obłoczkami pyłu. Nad głowami naszymi zagrały działa piechoty i pociski wystrzelone z niewielkiej odległości, uderzyły z hukiem w nawierzchnię szosy. W czołowej grupie ten i ów osunął się na ziemię […]. Ogień wzmagał się coraz bardziej […]. Było niemożliwe iść dalej".

Przyczyniło się do tego wykorzystanie przez Niemców czołgów, których żołnierze Sosnkowskiego nie posiadali wcale: „Maszyny niemieckie z żelaznym uporem wracały na utracone przejściowo stanowiska, odrzucając wstecz przerzedzone linie naszej piechoty lub też mijając je po prostu. W ostatecznym wyniku spełzła na niczym i ta próba przebicia się całością pozostałych sił poprzez tanki niemieckie".

Jedyną satysfakcją było zadanie znacznych strat niemieckiej broni pancernej. W pewnym momencie skutecznie ostrzeliwane przez polskie działka i karabiny przeciwpancerne zaczęły

eprasa.pl d8ca3081f8



Zniszczona kolumna pułku SS pod Mużyłowicami, 16 września 1939 r.
FOT. CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE, WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

pospieszny odwrót, ale z całej kolumny „żaden bodaj nie uszedł bezkarnie […]. Niemcy pozostawili na porębie 12 do 13 rozbitych czołgów".

Droga do miasta była zamknięta. Jednak chociaż „chłodny rozsądek doradzał przerwanie dalszego przelewu krwi – i kapitulację", to duma żołnierska wołała, „że bić się trzeba do ostatka". Na ostatniej odprawie generał powiedział swoim oficerom, że kapitulować nie będzie. W nocy z 20 na 21 września 1939 r. podjął próbę obejścia stanowisk niemieckich. Nocny marsz „na przełaj poprzez las wysokopienny i poprzez chaszcze, poprzez poręby, jary i strumyki leśne" dla wielu wyczerpanych wielodniowymi bojami żołnierzy okazał się zbyt ciężki. Do leżących na północny wschód od Lwowa Dublan dotarło ledwie kilkuset z ok. 1,5 tys., którzy wyruszyli zmierzchem poprzedniego dnia. Tam natrafili na Armię Czerwoną, która uniemożliwiła im dalszy marsz; większość dostała się wówczas do niewoli. Tylko nielicznym udało się przekraść do Lwowa, który jednak następnego dnia został zajęty przez Armię Czerwoną.

Niemal wszyscy oficerowie armii gen. Sosnkowskiego, z tak godnym podziwu męstwem bijący się z Niemcami, dostali się tym samym do niewoli sowieckiej. Wywiezieni do obozu w Starobielsku wiosną następnego roku zostali zamordowani w Charkowie. Byli wśród nich także dawny legionista gen. Kazimierz Orlik-Łukoski, mężny mjr Lityński i tak ceniony przez Sosnkowskiego jako „oficer zdolny, inteligentny i wykształcony" dowódca 24. DP rez. płk Bolesław Schwarzenberg-Czerny. Ciężko ranny w głowę 17 września w bitwie janowskiej mjr Mieczysław Stecewicz został uwięziony; przetrwał, wstąpił do armii gen. Andersa, zmarł jednak, jak wielu innych, zimą 1942 r., po przeniesieniu jej do Uzbekistanu.

Nieliczni, w tym zwycięzca spod Mużyłowic płk Bronisław Prugar-Ketling, zdołali przedostać się na Węgry, a stamtąd do armii polskiej we Francji. Sam gen. Kazimierz Sosnkowski wobec rozbicia resztek swojej armii i braku możliwości dotarcia do Lwowa rankiem 21 września pozostał w Dublanach, gdzie znalazł tymczasowe schronienie. Przebrawszy się w ubrania cywilne, z ostatnim pozostałym przy nim oficerem, płk. Franciszkiem Demelem, ruszył ku granicy węgierskiej, którą przekroczył 4 października 1939 r.



Tablica upamiętniająca bój koło Lelechówki 17 września 1939 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NB2704

*

Ktoś powiedział później Janowi Lechoniowi, że gen. Kazimierz Sosnkowski zapytany po zwycięskiej bitwie pod Jaworowem, co teraz zamierza robić, „odpowiedział tonem nieuprzejmej, ale rzeczowej informacji. – Umrzeć". Brzmiała w tych słowach ta sama szlachetność, jak ks. Józefa Poniatowskiego nad brzegiem Elstery. Jakże inna była to postawa od tej, którą prezentował opuszczający w tym czasie walczący kraj marsz. Edward Śmigły-Rydz, który jeszcze tydzień wcześniej nie chciał przydzielić Sosnkowskiemu godnego dlań odcinka walki. Temu życzeniu śmierci żołnierskiej na polu bitwy szczęśliwie nie stało się zadość.

Dawny szef sztabu I Brygady Legionów ocalał, tydzień po przekroczeniu granicy węgierskiej był już we Francji, gdzie natychmiast zgłosił prezydentowi Władysławowi Raczkiewiczowi gotowość dalszej służby sprawie niepodległości Polski, kontynuowania walki, którą tak chlubnie prowadził we wrześniu.

W artykule wykorzystano fragmenty rozdziału o udziale gen. Sosnkowskiego w kampanii 1939 r. z broszury „Człowiek, co armię podziemną budował. Generał Kazimierz Sosnkowski (1885–1969)", która ukaże się nakładem Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fieldorfa „Nila" w Krakowie. Wykorzystane w tekście cytaty pochodzą ze wspomnień generała „Cieniom września" (Warszawa 1989 r., z przedmową Andrzeja Rzepniewskiego).

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl d8ca3081f8

Druga wojna światowa / Nazistowscy fanatycy

„Trupie główki" idą w ogień



Arkadiusz Karbowiak

Dywizja SS–Totenkopf uchodziła za najbardziej fanatyczną i zarazem najlepszą jednostkę w niemieckich siłach zbrojnych



Heinrich Himmler podczas inspekcji dywizji SS-Totenkopf pod Charkowem, 1943 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Proces tworzenia w III Rzeszy systemu obozów koncentracyjnych wymagał powołania do życia jednolitej formacji wartowniczej, której zadaniem byłoby pilnowanie więźniów. Stąd w 1936 r. powstały Oddziały SS-Trupich Główek (SS-Totenkopfverbände), wcześniej noszące nazwę Sturmbann Dachau i SS-Wachverbände. W latach 1937–1938 w ramach tej struktury utworzono cztery Standarte (pułki) o nazwach Oberbayern, Brandenburg, Thüringen i Ostmark. Stały się one w 1940 r. trzecią odnogą Oddziałów Dyspozycyjnych SS, a potem Waffen-SS.

Podczas inwazji na Polskę poszczególne SS-Standarte pełniły głównie funkcje represyjno-policyjne, działając w szeregach Einsatzgruppen. Jedynie na bazie III batalionu SS-Totenkopfstandarte Ostmark (wzmocnionego gdańskimi ochotnikami) powstała jednostka bojowa o sile batalionu o nazwie SS-Heimwehr Danzig. Użyto jej 1 września 1939 r. m.in. podczas walk o Pocztę Polską w Gdańsku. Po pierwszym nieudanym szturmie na placówkę w wykonaniu oddziałów policji sprowadzono III pluton 13. kompanii SS-Heimwehr Danzig, który w odległości ok. 60 metrów od atakowanego budynku rozstawił dwa działa i rozpoczął ostrzał. Nie skłoniło to jednak polskich obrońców do kapitulacji, a podczas zmiany ustawienia jednego z dział od postrzału w głowę zginął SS-Rottenführer Hans Taynor. Mniej więcej w tym samym czasie do drugiego ataku (jak się okazało, nieudanego) na Wojskową Składnicę Tranzytową na Westerplatte ruszyła pozostała część III plutonu 13. kompanii, wzmacniając poturbowaną dość mocno w pierwszym ataku kompanię szturmową Kriegsmarine. Tym razem, poza dwoma rannymi, oddział nie zanotował ofiar śmiertelnych.

Znacznie bardziej krwawy przebieg miał szturm SS-Heimwehr Danzig

eprasa.pl d8ca3081f8



Sztandar SS-Heimwehr Danzig FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FORNAX



podjęty o godz. 7 na polskie pozycje w Tczewie. Esesmanów wspierało kilka samochodów pancernych. Na niewiele się to zdało, choć wydawało się, że dzięki sukcesowi osiągniętemu za drugim podejściem przez stworzony ad hoc oddział szturmowy Niemcy zajmą miasto. W rzeczywistości doszło to tego dopiero dzień później. Dopiero wtedy esesmani wkroczyli do Tczewa opuszczonego poprzedniego wieczora przez 2. Batalion Strzelców WP. Sukces miał jednak gorzki smak, ponieważ pierwszego dnia wojny poległo pod Tczewem 26 żołnierzy SS-Heimwehr Danzig.

Francuski szlak

W październiku 1939 r., po zakończeniu kampanii w Polsce, rozpoczął się proces budowania Dywizji SS-Totenkopf złożonej z jednostek SS-Totenkopfverbände oraz rezerwistów z SS-Allgemeine. W jej składzie znalazł się jako jedyny posiadający doświadczenie bojowe wspomniany SS-Heimwehr Danzig. Komendę nad SS-Division Totenkopf przejął SS-Gruppenführer Theodor Eicke, pierwszy komendant obozu koncentracyjnego KL Dachau oraz Inspektor Obozów Koncentracyjnych. Eicke był narodowosocjalistycznym fanatykiem, który dostrzegał konieczność organizowania dla rekrutów nie tylko szkoleń z zakresu wojskowości, lecz także tych o charakterze ideologicznym. W ich trakcie wpajano młodym esesmanom konieczność poświęcenia się, wierności, lojalności, posłuszeństwa i przede wszystkim nienawiści wobec wrogów Rzeszy. Ponadto Eicke, jak mało który dowódca, starał się krzewić w jednostce ducha braterstwa i wspólnoty pomiędzy oficerami a żołnierzami. Sam dawał przykład, spożywając to samo jedzenie i doświadczając tych samych niewygód co szeregowi podkomendni. Dlatego, pomimo wyśrubowanej dyscypliny, był szanowanym przełożonym.

Kampania na zachodzie miała być pierwszym testem sprawności wojskowej dywizji SS-Totenkopf. Kiedy 10 maja 1940 r. jednostki Wehrmachtu rozpoczęły realizację planu „Fall Gelb", Eickego i jego podwładnych początkowo przydzielono do sił rezerwowych. Jednak sukcesy odniesione przez nich w pierwszych dniach kampanii spowodowały, że szybko przekierowano ich do działań na pierwszej linii frontu w składzie XV Korpusu Armijnego. Pierwszą akcją było odciążenie atakowanej przez Francuzów 7. Dywizji Pancernej. 1. pułk dowodzony przez SS-Standartenführera Maxa Simona uderzył w kierunku La Cateaux i Cambrai, gdzie 19 maja zwarł się ze stawiającymi zacięty opór Marokańczykami z jednostek kolonialnych armii francuskiej. Do południa 20 maja na północ i wschód od Cambrai esesmani wzięli do niewoli aż 16 tys. jeńców, a także zdobyli mnóstwo zaopatrzenia.



Theodor Eicke FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HEINRICH HOFFMAN

Dramatyczny przebieg miały wydarzenia, do których doszło w pobliżu kanału La Bassée. Sforsowanie go okazało się dość kosztownym zadaniem. 27 maja, podczas walk w okolicach wsi Le Paradise, od kuli brytyjskiego snajpera zginął SS-Standartenführer Hans-Friedman Goetze, dowódca 3. pułku i były dowódca SS-Heimwehr Danzig. On i jego podwładni znaleźli się pod ciężkim ogniem na otwartej przestrzeni. Poniesione straty i śmierć dowódcy doprowadziły do tego, że gdy Brytyjczycy z 2. batalionu Pułku Royal Norfolk zdecydowali się złożyć broń po wyczerpaniu się zapasów amunicji, dowódca 3. Kompanii, SS-Hauptsturmführer Friedrich „Fritz" Knöchlein, nakazał przeprowadzenie egzekucji wziętych do niewoli 99 brytyjskich jeńców. Na jego rozkaz rozstrzelano Brytyjczyków z dwóch karabinów maszynowych, a tych, którzy dawali oznaki życia, esesmani zakłuli bagnetami.

Jak się później okazało, dwóch jeńców przeżyło egzekucję. Byli to szeregowcy Albert Pooley i William O'Callaghan. Ten ostatni wyczołgał się spod stosu trupów i pomógł ciężko rannemu koledze.

eprasa.pl d8ca3081f8



Znak dywizji SS-Totenkopf

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Obaj ukryli się w jednym z gospodarstw i po kilku dniach oddali się do niewoli żołnierzom 251. Infanterie Division (Pooley ciężko ranny trafił do szpitala i został w 1943 r. zwolniony z niewoli i przewieziony do Szwecji). Dwaj Brytyjczycy po wojnie zostali głównymi świadkami podczas procesu ich niedoszłego zabójcy. W 1948 r. brytyjski sąd wojskowy obradujący w Hamburgu skazał odpowiedzialnego za mord na jeńcach Knöchleina na karę śmierci przez powieszenie.

Nie była to jedyna zbrodnia żołnierzy dywizji Totenkopf popełniona we Francji. W sumie podczas majowo-czerwcowej kampanii esesmani zamordowali tam 164 jeńców i 264 cywili. Trzeba jednak przyznać, że nie byli jedynymi sprawcami zbrodni, ponieważ sekundowali im w tym krwawym dziele także żołnierze Wehrmachtu, m.in. z pułku Grossdeutschland oraz z 7. Dywizji Pancernej, mordując nie tylko cywilów, lecz także jeńców (szczególnie wywodzących się z francuskich oddziałów kolonialnych).

Na wschodzie

Znacznie większym wyzwaniem niż kampania z roku 1940 okazał się dla dywizji SS-Totenkopf konflikt z ZSRS. Przy czym wojna na wyniszczenie zapewne odpowiadała zasadom, którym po ideologicznych szkoleniach hołdowało wielu oficerów Waffen-SS. Przydzieleni do Grupy Armii „Północ" żołnierze Totenkopf mieli okazję przekonać się, że równie fanatycznie potrafią walczyć żołnierze sowieccy. Ta determinacja skutkowała bezwzględnością toczonych zmagań, co oznaczało, że żołnierze Waffen-SS chętniej zabijali przeciwników, niż brali ich do niewoli. Naturalnie sami esesmani od początku konfliktu podobnie traktowani byli przez czerwonoarmistów i również ponosili wielkie straty. Już 6 lipca 1941 r. na minę wjechał SS-Gruppenführer Theodor Eicke. Oficer odniósł poważną ranę stopy i aż do września był wyłączony z dowodzenia.

Z każdym tygodniem kampanii na wschodzie dywizja „Trupich Główek" doskonaliła swe umiejętności bojowe. Podczas ataku przeprowadzonego 19 sierpnia 1941 r. na flankę sowieckiej 34. Armii esesmanom udało się wziąć do niewoli 785 jeńców. Sukces w postaci uniemożliwienia wycofania się części sił Armii Czerwonej poprzez uchwycenie mostów na rzece Polist spowodował, że dowódca LVI Korpusu Armijnego, gen. Erich von Manstein, przybył do SS-Brigadeführera Georga Kepplera, by osobiście złożyć wyrazy uznania dla dywizyjnych osiągnięć.

Prawdziwy kunszt bojowy dywizja Totenkopf pokazała podczas kilkudniowych ataków sowieckich przeprowadzonych w dniach 24–29 września w okolicach wsi Łuszno, która przechodziła w tym czasie czterokrotnie z rąk do rąk. Pokaz niezwykłej determinacji zaprezentował podczas walk SS-Sturmmann Fritz Christen, działonowy 2. kompanii dywizjonu przeciwpancernego. Kiedy Sowieci wybili cały jego pluton, on samotnie przez kolejne 72 godziny trwał na posterunku, strzelając ze swej armaty 50 mm PAK 38. Zniszczył wtedy 13 czołgów T-34 i zabił ok. 100 bolszewickich sołdatów. Walecznemu żołnierzowi na wniosek Eickego przyznano Krzyż Rycerski, który wręczył mu osobiście w Wilczym Szańcu Adolf Hitler.



Przy zniszczonym sowieckim czołgu T-34

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV



Na początku stycznia 1942 r. wyczerpana walkami Totenkopf znalazła się wraz z 12., 32., 123., 30. i 290. dywizjami piechoty w kotle pod Demiańskiem. Żołnierze spod znaku „Trupich Główek" stali się fundamentem zaopatrywanej z powietrza przez Luftwaffe „demiańskiej fortecy". Dywizję „Totenkopf" dowodzący siłami w kotle zwierzchnik II Korpusu Armijnego gen. Walter von Brockdorff-Ahlefeld podzielił na dwie grupy bojowe. Jedną dowodził SS-Oberführer Max Simon i działała ona w północno-wschodniej część kotła, a druga z SS-Gruppenführerem Eickem na czele walczyła na jego zachodnim skraju.

Zaciekłe walki obronne systematycznie zmniejszały dywizyjne stany bojowe. Jednym z poległych był zabity 8 lutego 1942 r. SS-Sturmbannführer Paul Moder, były Dowódca SS i Policji w dystrykcie warszawskim, który 19 lipca 1941 r. został odwołany z funkcji i zastąpiony przez SS-Oberführera Arpada Wiganda. 21 kwietnia 1942 r. 46. Pułkowi Piechoty dowodzonemu przez ppłk. Hermanna von Borriesa udało się spotkać w rejonie wsi Ramuszewo z oddziałami gen. Walthera von Seydlitz-Kurzbacha (8. Dywizja Lekka), atakującymi od zachodu. Zrobiono wyłom w okrążeniu i utworzono szeroki na 4 km korytarz w celu zaopatrywania garnizonu „kotła demiańskiego". W na-

eprasa.pl d8ca3081f8



Żołnierze SS-Totenkopf, czerwiec 1941 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

stępnych tygodniach wojska niemieckie poszerzyły go na południu i północy do 6–8 km i tak funkcjonował on aż do marca 1943 r., kiedy Niemcy opuścili Demiańsk. Eicke za obronę „kotła" otrzymał Liście Dębu do Krzyża Rycerskiego oraz awans na SS-Obergruppenführera.

Trup Eickego

W październiku 1942 r. dywizję Totenkopf, a w zasadzie to, co z niej pozostało, czyli 6,4 tys. żołnierzy, wycofano do Niemiec i do Francji w celu odbudowy. Owocem tych działań było przekształcenie jej 9 listopada 1942 r. w SS-Panzergrenadier Division „Totenkopf" i przezbrojenie m.in. w czołgi ciężkie PzKpfw VI „Tiger". W lutym 1943 r. dywizja po raz kolejny znalazła się na froncie wschodnim. Wtedy też zginął SS-Obergruppenführer Eicke. 26 lutego 1943 r., z uwagi na utratę kontaktu z jednym z dywizyjnych pułków, postanowił on udać się samolotem na rekonesans w celu odnalezienia jednostki. Pilot w okolicach wsi Michajłowka dostrzegł kompanię zaginionego pułku. Podczas próby lądowania nie zauważył jednak, że w pobliżu znajdują się okopane oddziały Armii Czerwonej. Sowieci otworzyli ogień do samolotu, który paląc się, spadł pomiędzy niemieckimi a sowieckimi pozycjami. Eicke zginął na miejscu. Esesmani kilkakrotnie podejmowali próby odzyskania ciała dowódcy. Dopiero dzień później udało się tego dokonać grupie bojowej SS-Hauptsturmführera Lino Masariego. Po śmierci Eickego funkcję dowódcy dywizji pełnili kolejno SS-Brigadeführer Max Simon, SS-Brigadeführer Hermann Priess i SS-Brigadeführer Hellmuth Becker.

Totenkopf brała udział zimą 1943 r. w bitwie o Charków, w lipcu walczyła pod Kurskiem, a jesienią nad rzeką Mius. „Trupie główki" osłaniały również odwrót Niemców za Dniepr. W maju 1944 r. 3. SS-Panzer Division „Totenkopf" (22 października 1943 r. nastąpiło przekształcenie jednostki w dywizję pancerną) miała swój udział w zatrzymaniu ofensywy sowieckiej pod Târgu Frumos w Rumunii. W lipcu 1944 r. przerzucono dywizję do Polski, traktując ją jako rodzaj frontowej straży pożarnej. Przesuwano ją wszędzie tam, gdzie dostrzegano niebezpieczeństwo sowieckiego przełamania frontu.

Trzeba przyznać, że tak w ataku, jak w obronie żołnierze jednostki Totenkopf nie mieli sobie równych. Esesmani odpierali sowieckie ataki, broniąc Grodna, Siedlec, a w składzie IV Korpusu Pancernego SS (wraz z 5. Panzer Division „Wiking") uczestniczyli w zaciętej bitwie pod Wołominem, natomiast w październiku zatrzymali ofensywę Armii Czerwonej na północny wschód od Warszawy.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 r. pododdziały dywizji zostały zaangażowane do tłumienia powstania warszawskiego. Stabilizacja linii frontu w grudniu 1944 r. spowodowała, że dywizję Totenkopf przeniesiono na Węgry, gdzie w ramach IV Korpusu Pancernego SS na początku stycznia wzięła udział operacjach „Konrad I", „Konrad II" i „Konrad III", mających na celu odblokowanie garnizonu w Budapeszcie. Wszystkie trzy podjęte próby okazały się nieudane i 13 lutego 1945 r. niemiecko-węgierska załoga broniąca stolicy Węgier skapitulowała. Podobny finał miała operacja „Przebudzenie Wiosny", czyli ofensywa podjęta nad Balatonem w marcu 1945 r.

9 maja 1945 r. zakończył się wojenny szlak żołnierzy 3. Dywizji Pancernej SS „Totenkopf". Tego dnia w okolicach Linzu w Austrii esesmani poddali się żołnierzom 3. Armii USA. Zanim do tego doszło, Amerykanie nakazali im rozbroić personel obozu koncentracyjnego KL Mauthausen, co zostało wykonane. US Army przekazała następnie jeńców stronie sowieckiej, co dla wielu z nich, zważywszy na warunki w komunistycznych obozach pracy, było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Hellmuth Becker, ostatni dowódca jednostki, został skazany na karę śmierci w roku 1952 i stracony w następnym roku. Powodem wydania wyroku był sabotaż w miejscu pracy, czyli próba wmurowania granatu w ściany stawianego budynku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA: *Bączyk N.,* ***„Panzertruppen a powstanie warszawskie";*** *Leleu J.L.,* ***„La division SS-Totenkopf face à la population civile du Nord de la France en mai 1940";*** *Machir L.,* ***„Die SS-Division »Totenkopf« in der Kameradenliteratur";*** *Michaelis R.,* ***„SS-Heimwehr Danzig";*** *Snyder C.,* ***„Żołnierze zagłady. Dywizja SS Totenkopf 1933–1945";*** *Wood I.M.,* ***„Tigers of the Death's Head: SS Totenkopf Division's Tiger Company".***



Czołgi dywizji SS-Totenkopf w Siedlcach, lipiec 1944 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

eprasa.pl d8ca3081f8



Druga wojna światowa / Pisarz w Dachau

Polscy więźniowie niemieckiego obozu koncentracyjnego Dachau świętują wyzwolenie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, USHMM, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Taniec śmierci Białoskórskiego



Sebastian Reńca

Autor poczytnych przedwojennych opowieści o francuskiej Legii Cudzoziemskiej trafił do Dachau. Józef Białoskórski zostawił po sobie wspomnienia, które jednak nie przebiły się do świadomości społecznej

Bohatera tej opowieści odkrył sam Tadeusz Boy-Żeleński. W 1934 r. napisał o nim w „Wiadomościach Literackich" tekst pt. „Antki i Felki na Saharze", anonsowany na pierwszej stronie tygodnika. Fragment rękopisu wspomnień Białoskórskiego trafił do „Boya" przypadkiem, ale pisarz od razu zwrócił na niego uwagę. Co ciekawe, wielki publicysta napisał o książce, która się jeszcze nie ukazała. Postanowił ją nagłośnić właśnie po to, by została wydrukowana.

Fragment kopii rękopisu przekazał Żeleńskiemu kpt. Leon Ordyniec, który na początku lat 30. mieszkał w Gdyni i pracował tam jako urzędnik. „Był to pamiętnik »prostego człowieka«, który spędził dziesięć lat we francuskiej Legii Cudzoziemskiej" – pisał „Boy". Po jakimś czasie autor „pamiętnika" odwiedził Żeleńskiego. „Przybył wprost z Gdyni: przedstawił mi się: Joseph Białoskórski, sierżant-dezerter Legii Cudzoziemskiej. Blondyn średniego wzrostu, raczej niewielki, szczupły, lat 32". Tadeusz Boy-Żeleński dowiedział się z rozmowy, że ów mężczyzna urodził się w Piotrkowie. Jego ojciec był robotnikiem ze „staroświeckiej" rodziny. Miał 12 lat, gdy wybuchła wojna, i wtedy też, w roku 1914, zmarła jego matka. Chłopiec pojechał z innymi na roboty do Czech. Gdy jego pryncypał zmarł, młodzieniec wsiadł w pociąg i pojechał do Wiednia, a następnie do Budapesztu. Na Węgrzech znalazł zatrudnienie jako kuchcik w polskiej diasporze. Gdy w 1918 r. odrodziła się ojczyzna, wrócił do niej. Czekali na niego ojciec z macochą. Józef nie zagrzał miejsca w domu, ponieważ zaciągnął się do wojska. „Bił się w wojnie z bolszewikami, po zawarciu pokoju został dalej w wojsku, posłano go na Górny Śląsk, gdzie brał udział w powstaniu; ranny, dostał się do niewoli, siedział w Cottbus i w Dachau, gdzie go głodzono i bito, aż gdy ktoś podpalił barak, korzystając z zamętu, uciekł" – pisał „Boy". Jeżeli to prawda, to Białoskórski wrócił do tego miasta niecałe dwie dekady później…

Białoskórski miał trafić do Belgii, a potem do Francji, gdzie napotkany żandarm podstępem skaptował do go Legii Cudzoziemskiej. „Dziesięć lat służby, w której Białoskórski, tęgi i obrotny żołnierz, doszedł do stopnia sierżanta. Walczył na Saharze, pełnił służbę w Indochinach, w Syrii, zwiedził Palestynę, odstawiał więźniów na Madagaskar, jeździł do Konstantynopola po ochotników z rozbitej armii Wrangla, którzy wstępowali masowo do Legii, potem był w Senegambji i znów okrutne walki na Saharze, był ranny w nogę, w głowę, pierś ma zniekształconą…" – pisał Żeleński.

Przed wojną ukazało się kilka książek Józefa Białoskórskiego. Najbardziej znana to „10 lat piekła w Legii Cudzoziemskiej", która miała kilka wydań. Poza tym uka-

eprasa.pl d8ca3081f8


Ukarane przestępstwo Poleszuka
Polsko-sowiecka
Druga katastrofa kolejowa
Tragiczna śmierć oficera
Kim był — zanim trafił do Legji Cudzoziemskiej
Józef Białoskórski — autor Pamiętników
o 10-ciu latach służby w Afryce i Indochinach

Gazeta „Dzień Dobry" drukowała w 1934 r. wspomnienia Józefa Białoskórskiego"
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

zały się „Hiszpańska legia cudzoziemska", „Dżungla zgrozy", „Palmy, ludzie i tygrysy", „Legion zatraceńców". „Wspomnienia z Legii Cudzoziemskiej" ukazywały się w odcinkach w katowickiej bulwarówce „7 Groszy". Białoskórski zyskał niemałą rozpoznawalność. Jego opowieści wpisały się w nurt książek awanturniczych ukazujących się w Polsce przed wojną, na czele z takimi dziełami jak powieści Sergiusza Piaseckiego czy Urkego Nahalnika.

Jeszcze w latach 30. XX w. przyjechał z Gdyni do Sosnowca. Z zachowanych dokumentów wynika, że w 1939 r. mieszkał w kamienicy przy ul. Rzecznej 5.

Józefa Białoskórskiego nie ma w żadnej znanej mi encyklopedii powszechnej czy w słowniku pisarzy, również zagłębiowskich. Nie ma go również w obszernej „Encyklopedii powstań śląskich" ani w spisie powstańców. Żadna wyszukiwarka nie znajduje jego biogramu. Wciąż powielane są natomiast informacje zawarte w artykule Tadeusza Boya-Żeleńskiego z lat 30. Stąd moje poszukiwania wiadomości na temat Białoskórskiego.

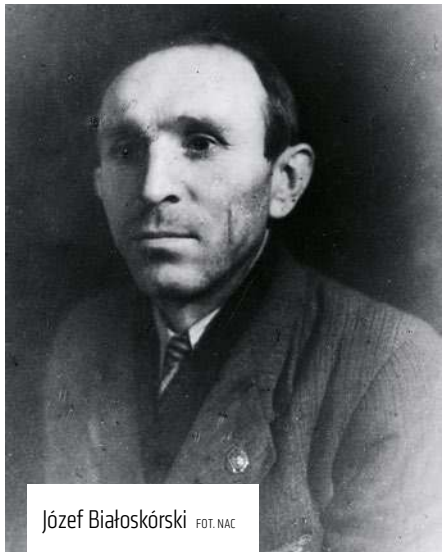
Z Sosnowca do Dachau

W 1945 r. Czytelnik wydał niewielką książeczkę pt. „Więźniowie, czapki zdjąć!". Jej autorem był Tadeusz Ostrowski, dziennikarz z Sosnowca, który został aresztowany przez Niemców i trafił do obozu koncentracyjnego Dachau. Na stronie 10 swego pamiętnika Ostrowski pisał: „Dziś dowiedziałem się, że obok nas, za drutami kolczastymi, znajdują się Polacy: profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, kilku wyższych urzędników i paru literatów. Przywieźli ich tutaj na kilka miesięcy przed naszym przybyciem. Jest tu również były sierżant Legii Cudzoziemskiej, autor poczytnych książek, Józef Białoskórski z Sosnowca".

Kolejne potwierdzenie, że Białoskórski był więźniem tego obozu koncentracyjnego, znalazłem w „Gazecie Robotniczej" z 3 października 1945 r., w której opublikowano tekst zatytułowany „Wracają więźniowie z obozu Dachau. Zabezpieczenie znacznej ilości dokumentów osobistych pomordowanych". Dziennikarz pisał, że przez Katowice przejechał transport wiozący pół tysiąca byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Dachau, którzy po wyzdrowieniu postanowili powrócić do kraju. „Więźniowie ci rekrutują się spośród mieszkańców różnych miast polskich. Wraz z transportem przybył, jako kierownik, Józef Białoskórski, były sierżant francuskiej Legii Cudzoziemskiej, który zamieszkiwał przed wojną w Zagłębiu i na Śląsku", gdzie wydał kilka książek, a „krytyka polska interesowała się twórczością Białoskórskiego".

Reporter dowiedział się od Białoskórskiego, że został on aresztowany przez Niemców 11 października 1939 r. i przewieziono go na przesłuchanie do więzienia na Śląsku. Najpierw trafił do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, a następnie 5 marca 1940 r. do obozu Dachau.

W obozie Białoskórski miał pisać pamiętnik „Taniec śmierci w Dachau".


Józef Białoskórski FOT. NAC

Takiego tytułu nie ma ani w katalogu Biblioteki Narodowej, ani w dziale zbiorów regionalnych Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu. „Taniec..." znalazłem dopiero w archiwum KZ-Gedenkstätte Dachau. To niewielka, licząca 135 stron książka wydana w 1947 r. w Poznaniu.

W niemieckim Arolsen Archives zachowało się kilka dokumentów dotyczących Józefa Białoskórskiego. Według karty rejestracyjnej więźnia faktycznie został on przyjęty do obozu w Dachau 5 marca 1940 r., a przetransportowano go z Sachsenhausen. Transport ten liczył 1,5 tys. osób, Polaków było w nim 187.

W dokumencie tym przeczytamy, że Białoskórski, który otrzymał numer 1801, urodził się 7 marca 1902 r. w Petrikau (Piotrkowie) i wykonuje zawód: „schriftsteller" (pisarz). Jako miejsce zamieszkania podano Sosnowiec, ul. Rzeczna 5. W rubryce „drugi zawód" wpisano – „dekarz".

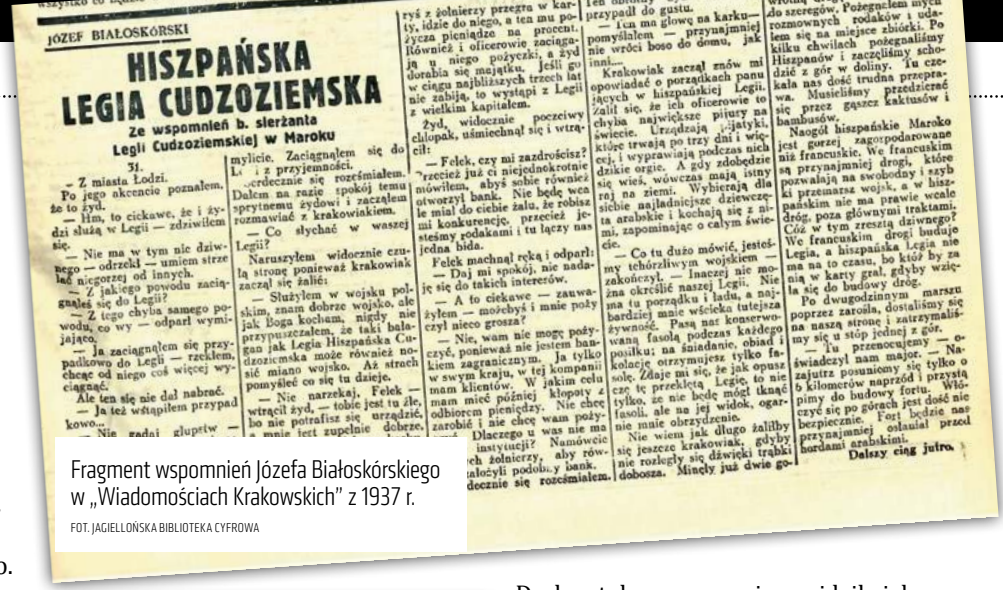
Pięć i pół roku kaźni

Dopiero z „Tańca śmierci w Dachau" dowiedziałem się o okolicznościach zatrzymania Białoskórskiego przez Niemców. W Sosnowcu mieszkał on na kwaterze u Stefanii Łęgosz, której zresztą zadedykował swe obozowe wspomnienia, pisząc, że sosnowiczanka uratowała go od śmierci „przez zbieranie podpisów ludzi dobrej woli", a później „ze swoich skromnych zarobków robotnicy" przysyła mu do obozu paczki i pieniądze.

Białoskórski przed wojną pracował w firmie Jana Świdewskiego Składnica Benzyny i Olejów, której siedziba mieściła się przy zbiegu ulic Zamkowej i Wełnowskiej w Katowicach. Była to ta sama składnica, która spaliła się w maju 1931 r., o czym pisały śląskie dzienniki. W czasie akcji gaśniczej poszkodowanych zostało ok. 40 osób (dwóch strażaków odniosło poważne obrażenia, gdyż jeden spadł z dachu, a drugi doznał rozległego poparzenia).

„W firmie pracowali Ślązacy i Niemcy. Nie lubili mnie, nie pozwalałem im

eprasa.pl d8ca3081f8



JÓZEF BIAŁOSKÓRSKI

HISZPAŃSKA LEGIA CUDZOZIEMSKA

Ze wspomnień b. sierżanta Legii Cudzoziemskiej w Maroku

31.

– Z miasta Łodzi.

Po jego akcencie poznałem, że to żyd.

— Hm, to ciekawe, że i żydzi służą w Legii — zdziwiłem się.

— Nie ma w tym nic dziwnego — odrzekł — umiem strzelać niegorzej od innych.

— Z jakiego powodu zaciągałeś się do Legii?

— Z tego chyba samego powodu, co wy — odparł wymijająco.

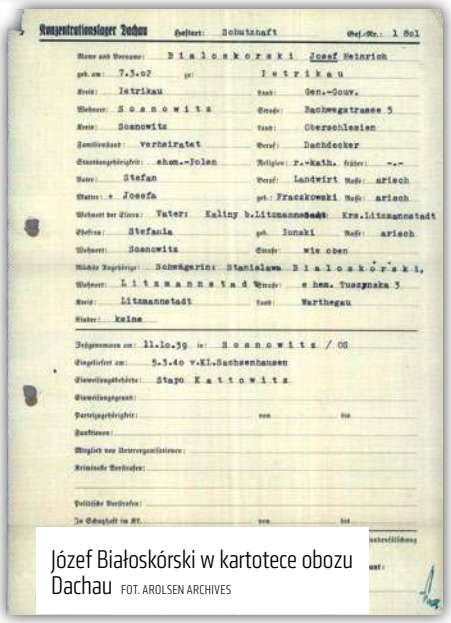
Ja zaciągnąłem się przypadkowo do Legii — rzekłem, chcąc od niego coś więcej wyciągnąć.

Ale ten się nie dał nabrać.

— Ja też wtąpiłem przypadkowo...

Fragment wspomnień Józefa Białoskórskiego w „Wiadomościach Krakowskich" z 1937 r.

FOT. JAGIELLOŃSKA BIBLIOTEKA CYFROWA



Konzentrationslager Dachau

Józef Białoskórski w kartotece obozu Dachau FOT. AROLSEN ARCHIVES

bowiem mówić po niemiecku, a oddalić mnie nie mogli, gdyż naznaczony byłem przez wicewojewodę śląskiego" – pisał Białoskórski. Kiedyś zawiadomił policję, że w magazynie odbywają się zebrania, na których źle mówi się o Polsce. W czasie rewizji policja znalazła u niektórych pracowników broń.

We wrześniu 1939 r. Białoskórski dotarł z Sosnowca do Warszawy. Po kapitulacji stolicy wrócił do stolicy Zagłębia Dąbrowskiego. W Sosnowcu już go szukało gestapo i szybko go złapano. Niemcy zaprowadzili aresztanta do firmy, w której pracował. Jego dawni koledzy pobili go. Najbardziej miał się nad nim znęcać Ślązak o nazwisku Piontek.

Kiedy Białoskórski siedział, Łagoszowa zbierała podpisy pod listem w obronie jej lokatora. Ponadto, by przekupić kilku Niemców, aby też złożyli na podaniu swój podpis, sprzedała, co miała cennego. Pismo poskutkowało tym, że Białoskórski zamiast kary śmierci otrzymał wyrok dożywotniego pobytu w obozie. Z więzienia w Gliwicach przewieziono go do obozu Sachsenhausen w Oranienburgu, a stamtąd do Dachau.

Gdybym miał porównać pamiętnik Białoskórskiego do innych obozowych wspomnień, to najbliżej byłoby im do „Pięciu lat kacetu" Stanisława Grzesiuka i „Anus mundi" Wiesława Kielara. Niewyszukany, lakoniczny język. Miejscami reporterska relacja, w której znalazło się wszystko, co było charakterystyczne dla niemieckich obozów. Sadyzm esesmanów i więźniów funkcyjnych, głód, organizowanie jedzenia, lekarstw, ubrań, ciężka praca i karanie za najmniejsze przewinienie.

Polacy mają zdechnąć

Białoskórski i inni więźniowie nieraz słyszeli od esesmanów o nowych transportach rodaków. Niemcy mieli przy tej okazji robić następujące komentarze: „Zdechną ci Polacy, na ich miejsce przyjdą inni. W Polsce jest ich dużo. Bić, pędzić bez litości – ta słowiańska rasa nie powinna istnieć".

Polscy księża, których Niemcy zamknęli w Dachau, byli grupą, nad którą Niemcy znęcali się w szczególnie wyszukany i perfidny sposób. Którejś zimy esesmani zebrali w niedzielę wszystkich duchownych z Polski i każdy z nich musiał ulepić dużą kulę śniegu. „Ustawiono ich dwójkami, nieśli w rękach śnieg", a Niemcy kazali im śpiewać religijne pieśni po łacinie, „jak w kościele i maszerować do bramy. Za bramą płynęła rzeczka i tam mieli rzucać śnieg. Po drodze blokowi i kapowie bili księży" i krzycząc, kazali im cały czas śpiewać.

Czy Białoskórski myślał o ucieczce? Nie, gdyż zdawał sobie sprawę z tego, że szanse na przeżycie poza drutami są jeszcze mniejsze niż w obozie, o czym tak pisał: „My, starzy więźniowie, szybko doszliśmy do przekonania, że ucieczka z obozu nie zda się na nic, bo i tak – prędzej czy później – zostanie się schwytanym. Ludność niemiecka w okolicy Dachau tak samo nas nienawidziła jak esesmani". W innym miejscu pisał, że gdy z obozu uciekło dwóch Cyganów, szukali ich nie tylko esesmani, lecz także cywile. Według niego „cała ludność okoliczna wiedziała dobrze, co się dzieje w obozie, lecz nikogo to nie wzruszało".

KL Dachau został zajęty przez żołnierzy amerykańskich 29 kwietnia 1945 r. Powrót do Polski zajął pisarzowi kilka miesięcy. Kończąc swe wspomnienia, Białoskórski napisał: „Koszmarne lata obozu w Dachau są już dziś daleko poza mną. Pięć i pół roku kaźni... Zdaje mi się czasem, że to był tylko zły sen, że nieprawdopodobną jest rzeczą, aby człowiek mógł dojść do takiego upodlenia godności ludzkiej, do jakiego doszli esesmani. A jednak była to prawda, potworna w swej nagości, ohydna prawda, której z sumienia narodu niemieckiego nie zmażą długie wieki".

Więzień Dachau Stanisław Urbańczyk w swej książce „Uniwersytet za kolczastym drutem" tak scharakteryzował Białoskórskiego: „Między nami znajdował się pisarz »ludowy« głośny w pewnych sferach Józef Białoskórski, bardzo przyjemny na co dzień bajarz i blagier".

List do dziennika

25 lutego 1947 r. katowicki „Dziennik Zachodni" opublikował list Białoskórskiego, w którym opisał on swą „znajomość" z Kurtem Schumacherem z czasów uwięzienia w Dachau. Białoskórski napisał, że ten polityk Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (w latach 1946–1952 jej przewodniczący) był sztubowym w Dachau w bloku 14 i miał go kiedyś nazwać „głupim polskim psem". Gdy innym razem Polak dostał od Schumachera wod-

eprasa.pl d8ca3081f8



Obozowe wspomnienia Tadeusza Ostrowskiego

nistej zupy i upomniał się o jedzenie, wówczas został pobity przez Niemca chochlą. „Sam więzień Dachau prześladował więźniów innych narodowości" – napisał Białoskórski. Szczęśliwie przeniesiono go z bloku 14 do 18. Tam – jak podaje Teodor Musioł w monografii „Dachau 1933–1945" – Białoskórski należał do zakonspirowanej organizacji koleżeńskiej Samoobrona. Grupa ta organizowała m.in. leki czy wysyłała listy, omijając obozową cenzurę.

W „Gazecie Robotniczej" z 18 maja 1946 r. znalazła się niewielka informacja pt. „Nowe władze związku b. Więźniów Politycznych w Sosnowcu". Można się z niej dowiedzieć, że w mieście tym odbyło się walne zebranie mieszkających tam byłych więźniów politycznych. Wybrano nowy zarząd, na którego czele stanął Józef Białoskórski.

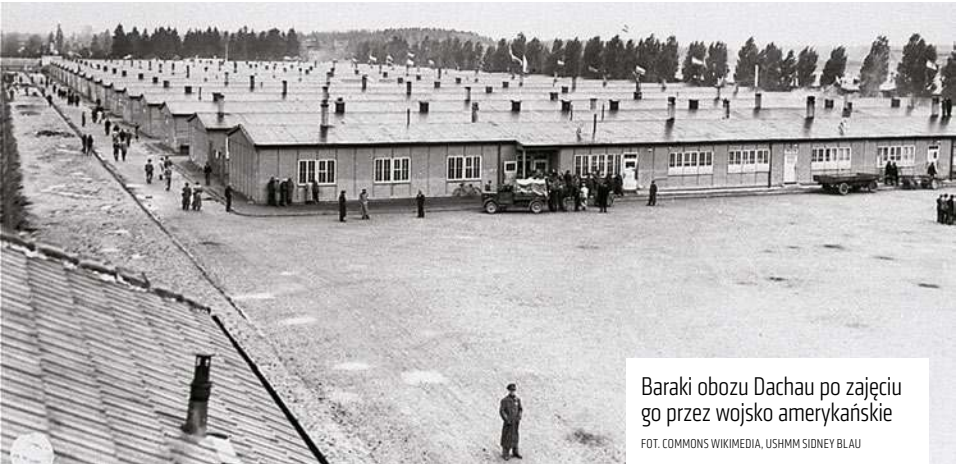
W Urzędzie do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych złożyłem wniosek o kwerendę dotyczącą Józefa Białoskórskiego. Po dwóch dniach przyszła wiadomość: „Informujemy, że w bazach elektronicznych i rejestrach ewidencyjnych (akt osobowych Związku Bojowników o Wolność i Demokrację przejętych ze Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych) nie odnaleźliśmy informacji na temat poszukiwanej osoby".

Na szczęście szybko udało mi się znaleźć Białoskórskiego w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. W oddziale gdańskim IPN zachował się list Białoskórskiego do Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich z 2 grudnia 1945 r. Mieszkał on wówczas w sosnowieckiej kamienicy przy ul. Warszawskiej 18 w lokalu pod numerem 18.

W pierwszym zdaniu pisał o sobie, że jest autorem „pamiętników o Legii Cudzoziemskiej", i wymieniał m.in. „10 lat piekła…". Powtarza się informacja o aresztowaniu przez Niemców 11 października 1939 r. i o pobycie w KL Dachau. Białoskórski pisał, że w obozie tym pracował „obok krematorium przez całe pięć lat i parę miesięcy", a także podkreślał: „Byłem najstarszym więźniem z Polaków mój numer 1801". Potwierdza się to, co pisał Boy-Żeleński. Białoskórski był na bakier z zasadami polskiej pisowni.

Dalej były więzień odnotował, że w tym czasie obserwował zbrodnie na terenie krematorium i ma tyle wspomnień, że wystarczyłoby ich na dwa tomy. Posiada też fotografię Dachau i plan obozu. Do Polski przywiózł list z sekretariatu biura byłych więźniów Dachau do wojewody śląskiego Aleksandra Zawadzkiego, ten odesłał nadawców do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W liście informowano, że byli więźniowie mają „cenne dokumenty zbrodni hitlerowskich w Dachau, jest tam cała kartoteka Polaków i wiele innych dokumentów". Białoskórski żalił się, że w biurze byłych więźniów czekają na odpowiedź, co robić z tym materiałem, a ona wciąż nie przychodzi. Ponadto zamieścił kopię listu do Zawadzkiego, w którym pisał m.in., że w sprawie tych dokumentów nie może jeździć do Warszawy, ponieważ jest „biedny i potłuczony po tylu latach obozu". Ponadto pisze pamiętnik, choć żyje „w ciężkich warunkach". Ma tylko pióro i ciężką rękę do pisania. Gdy już skończy, to egzemplarz podeśle wojewodzie.

W archiwum krakowskiego oddziału IPN znajduje się potwierdzenie tego, że był on prezesem Związku Byłych Więźniów Politycznych w Sosnowcu. Właśnie tak zaadresowane pismo dostał Białoskórski z Sądu Grodzkiego, by złożyć zeznania w śledztwie dotyczącym volksdeutscha.



Baraki obozu Dachau po zajęciu go przez wojsko amerykańskie

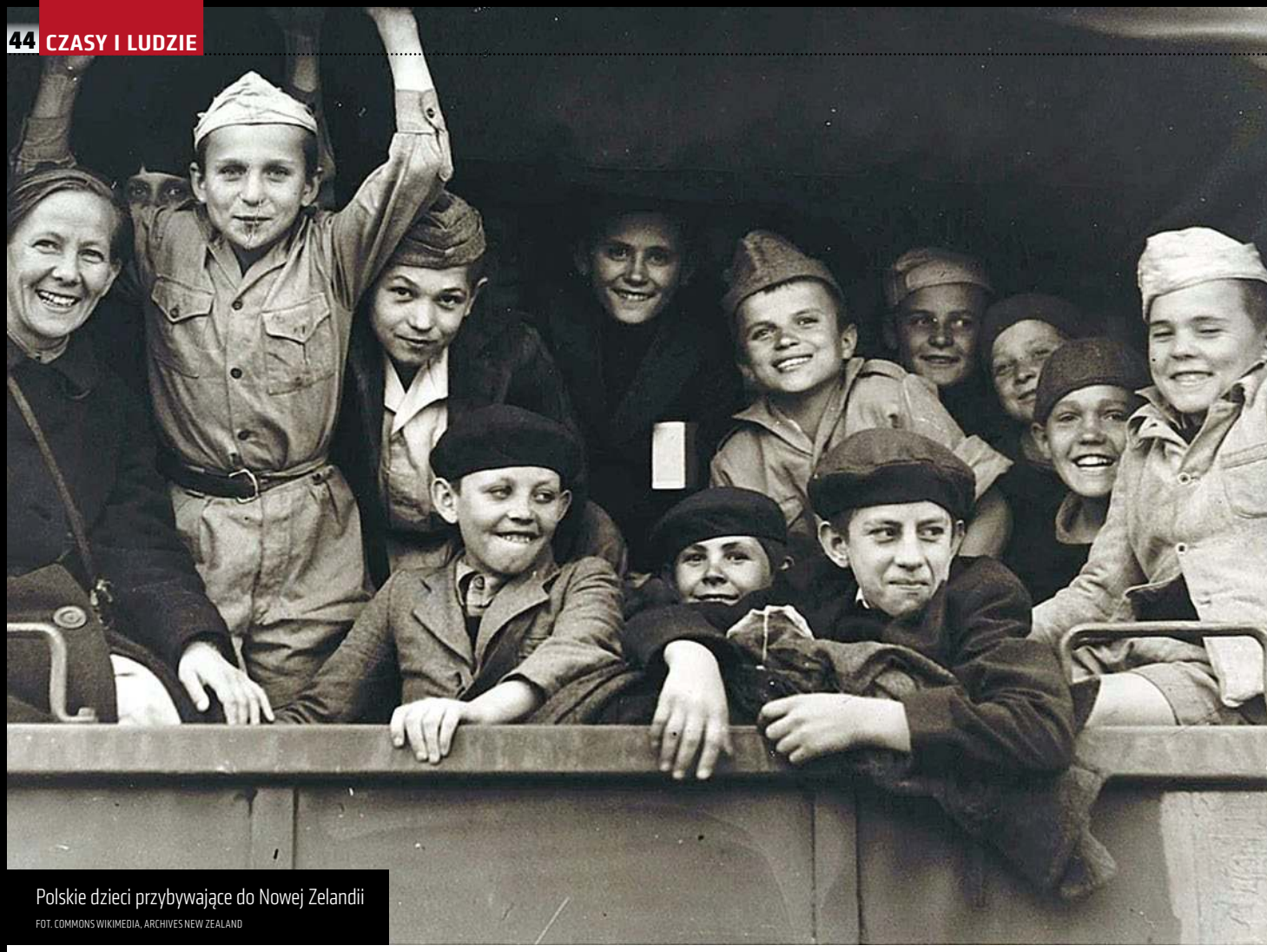
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, USHMM SIDNEY BLAU

Poczciwiec bez grosza

W 1968 r. autor „Tańca śmierci w Dachau" został odznaczony Śląskim Krzyżem Powstańczym, o czym 8 listopada pisały „Wiadomości Zagłębia". Ostatni ślad Józefa Białoskórskiego, na który natrafiłem, pochodzi również z „Wiadomości Zagłębia" – z 27 lutego 1996 r. Jan Przemsza-Zieliński, redaktor naczelny tego tygodnika w latach 1970–1980, opublikował wspomnienia z życia redakcji, w których pisał m.in., że kiedyś poznał „pisarza powieści odcinkowych, niejakiego Józefa Białoskórskiego, znanego w Sosnowcu, bynajmniej nie z racji koneksji literackich, ale dlatego, że był jednym z tych szczęśliwców, co wówczas wygrali dużą sumę w Karolinkę (to był taki wojewódzki totolotek)". W momencie zawarcia znajomości między panami Białoskórski „znów był bez grosza, poczciwiec nie umiał odmówić przyjaciołom" i teraz chciał, by „Wiadomości Zagłębia" drukowały jego książki w odcinkach. Redakcja jednak uznała, że nie będzie drukować „przedwojennej literatury dla służących".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8



Polskie dzieci przybywające do Nowej Zelandii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIVES NEW ZEALAND

Wywiad / Z Martyną Wojtkowską, autorką książki „W Nowej Zelandii wschodzi słońce. Wojenna tułaczka polskich dzieci”



rozmawia Anna Szczepańska

Mała Polska w Pahiatua

eprasa.pl d8ca3081f8



USS „General George M. Randall” FOT. US NAVY



Antoni Wodzicki, konsul RP zaangażowany w akcję przywiezienia dzieci do Nowej Zelandii FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIVES NEW ZEALAND

ANNA SZCZEPAŃSKA: Jest coś niezwykle uderzającego w tym, kiedy osoby mające dzisiaj po 90 lat wracają do czasów, gdy miały zaledwie kilka lat. Jak żywe muszą być w ich pamięci momenty, gdy decydowało się ich życie...

MARTYNA WOJTKOWSKA: Jest taka scena, która w sposób szczególny zapadła mi w pamięć. Jeszcze w czasie pobytu w Iranie, w szkole w Isfahanie, nauczycielka prosi, żeby podniosły rękę te dzieci, które są sierotami. I mała Stefa – mimo że miała mamę – uniosła rękę.

Dlaczego?

Pamiętała, że tak ma się zachować. Podczas ewakuacji ze Związku Sowieckiego mama oddała ją do ochronki. I wtedy jej powiedziała: „Pamiętaj, dziecko, ty jesteś sierotą”. To miało zwiększyć jej szanse na przetrwanie. Dla mnie jest to jedna z najbardziej przejmujących scen: moment, w którym rodzic świadomie oddaje dziecko, bo wie, że tylko w ten sposób może ocalić mu życie. To nie jest porzucenie – to akt miłości w najboleśniejszej formie.

Ten fragment był dla mnie zresztą szczególnie poruszający, bo pisałam książkę, będąc w ciąży, spodziewając się swojego pierwszego dziecka. I dopiero wtedy z całą siłą uświadomiłam sobie, czym naprawdę jest wojna – nie w skali geopolitycznej, ale w mikroskali, np. w relacji matki i dziecka. I jak okrutnie potrafi rozerwać coś, co powinno być nienaruszalne.

Czy Stefa odnalazła po wojnie swoich rodziców?

Jej rodzice jako jedni z nielicznych po latach trafili do Nowej Zelandii i nawiązali z nią kontakt. Ale to już nie byli ci sami ludzie. Mostu, który kiedyś ich łączył, nie udało się już odbudować.

Na początku książki pisze pani, że po przybyciu do Pahiatua w Nowej Zelandii polskie dzieci znalazły m.in. czystą pościel, a pod poduszkami cukierki. Dla niektórych był to pewnie największy smakołyk w całym ich życiu.

Sprawa cukierka pozostała nieoczywista. Stanisław Manterys, jeden z bohaterów mojej książki, powiedział, że dla niego ważne jest nie tyle to, czy cukierek rzeczywiście tam był, ile to, co symbolizował. W tamtej rzeczywistości, pełnej niepewności i skrajnych doświadczeń, nawet taka drobna rzecz – prawdziwa czy wyobrażona – miała ogromne znaczenie. Ten cukierek pod poduszką był jak uśmiech od losu. Po wszystkim, co dzieci z Pahiatua przeszły – od czasu opuszczenia domu, poprzez wywózki na Wschód, do długiej podróży do Nowej Zelandii, kiedy wkoło toczyła się wojna i wszystko wydawało się takie niespokojnie – był to sygnał, że świat jednak potrafi być dobry.

Wydaje mi się, że wypędzanie z domów, wywózka na Wschód pozostawiły w umysłach ówczesnych dzieci traumę. To, jak pamiętają tamte chwile, różni się jednak od tego, jak wyglądają wspomnienia osób dorosłych. Czy też odniosła pani takie wrażenie?

Prawdę mówiąc, nie odniosłam wrażenia, żeby dla tych najmłodszych dzieci – bohaterów mojej książki – wywózka na Wschód była przeżywana jako doświadczenie traumatyczne. W ich opowieściach często pojawiały się proste stwierdzenia: „szło się, gdzie kazali”, „robiło się, co kazali”. Dzieci przyjmowały tę nową rzeczywistość jako coś naturalnego, bo to było ich jedyne dzieciństwo, inne nie istniało.

Dopiero z perspektywy czasu, kiedy same zakładały rodziny i wychowywały własne dzieci, pojawiała się u nich refleksja, jak trudne i nienormalne były ich wczesne doświadczenia. Mam wrażenie, że to dorośli znosili tamten czas znacznie ciężej; dlatego że rozumieli, co tracą. Dzieci po prostu adaptowały się do tego, co było. Nie znały innych doświadczeń, nie buntowały się.

Zauważyłam to np. we wspomnieniach pani bohaterów z czasu podróży na Wschód, kiedy dzieci opowiadają o ludziach, którzy zginęli w trakcie sowieckiej wywózki. Choć to straszne, mówią o tym bez emocji.

Podam inny przykład. To scena, która bardzo mnie poruszyła: opowieść o dzieciach wybiegających z kostnicy. Widziały śmierć z bliska, doświadczały jej niemal codziennie, ale w jakiś sposób oswoiły się z nią, dalej kontynuowały zabawę. To pokazuje, że śmierć stała się dla nich czymś zwyczajnym, niemal neutralnym.

Wydaje się, że wciąż nie wszyscy w Polsce dokładnie wiedzą, jak wyglądała słynna armia gen. Władysława Andersa. To nie byli przecież tylko żołnierze, ale masa cywilów, w tym wiele dzieci.

Rzeczywiście, armia gen. Andersa kojarzy się najczęściej wyłącznie z żołnierzami, tymczasem była to formacja absolutnie wyjątkowa, bo od samego początku towarzyszyły jej tysiące cywilów – kobiet, starców i dzieci. Wynikało to z dramatycznych okoliczności jej powstania. W drugiej połowie 1941 r., po podpisaniu układu Sikorski-Majski, rozpoczęło się formowanie polskich jednostek wojskowych na terenie Związku Sowieckiego. Do polskiej armii trafiali nie tylko ci, którzy przetrwali zsyłki, lecz także ich rodziny, które nie miały gdzie się podziać. Generał Anders uznał, że nie można ich pozostawić samym sobie. I tak, wraz z żołnierzami, wyruszyły w drogę tysiące cywilów. Ich ewakuacja ze Związku Sowieckiego rozpoczęła się w marcu 1942 r. Wyznaczone osoby najpierw docierały koleją do Krasnowodzka, a tam wsiadały na statki kierowane do Iranu.

Jak toczyło się życie w tej niezwykłej formacji?

Życie w tej „wędrującej Polsce” było niezwykle trudne. Wszyscy byli wyniszczeni głodem i chorobami, a warunki bytowe były bardzo ciężkie – szczególnie dla dzieci. Z czasem zorganizowano dla nich osobne osiedla i sierocińce, takie jak słynne zakłady w Isfahanie, nazywanym „miastem polskich dzieci”.

eprasa.pl d8ca3081f8

Stamtąd polskie dzieci, którym towarzyszyli wychowawcy i nauczyciele, były wysyłane w różne części świata. Jak to się stało, że część z nich trafiła aż do Nowej Zelandii?

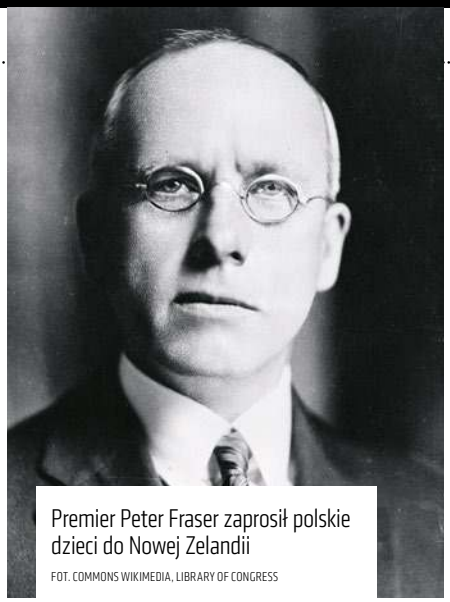
Dzieci, które trafiły do Nowej Zelandii, były to najczęściej sieroty albo półsieroty, czyli te, które nie miały możliwości decydowania o sobie ani nikogo, kto mógłby ich reprezentować. W czasie, gdy w Isfahanie wybierano miejsca, do których miały udać się kolejne grupy Polaków, dorośli najczęściej kierowali się nadzieją, że jak najszybciej wrócą do ojczyzny. Wybierano więc miejsca, które wydawały się bliższe, jak Stany Zjednoczone, Meksyk czy Afryka – stamtąd powrót do Polski wydawał się choć trochę bardziej realny.

Natomiast dzieci, którymi nie miał się kto zająć, trafiały po prostu najdalej, czyli właśnie do Nowej Zelandii. To była grupa najbardziej bezbronna, pozbawiona nie tylko rodzin, lecz prawa głosu. Zdarzały się sytuacje, że nawet rodzeństwa były w pierwszym odruchu rozdzielane i tylko jeśli siostra lub brat zdołali się o siebie upomnieć, to udawało im się wyjechać razem. Dzieci, które trafiły do Nowej Zelandii, miały najmniejszy wpływ na własny los. Ich droga była najdłuższa – nie tylko geograficznie, lecz także emocjonalnie i symbolicznie.

Jak wyglądał ich szlak za ocean?

Sama podróż morska z Iranu do Wellington była dla dzieci doświadczeniem skrajnie ambiwalentnym. Pierwszy etap, czyli droga do Indii, odbywał się na brytyjskim statku handlowym „Sontay", który był przystosowany do transportu towarów, a nie ludzi. Ten czas dzieci zapamiętały jako bardzo trudny. Było tam bardzo gorąco, ciasno, warunki były surowe i niehigieniczne.

Z kolei drugi etap podróży, z Indii do Nowej Zelandii, na pokładzie amerykańskiego okrętu wojennego USS „General George M. Randall", był diametralnie różny. Tam dzieci znalazły się w otoczeniu wracających z wojny żołnierzy amerykańskich i nowozelandzkich. Statek był komfortowy, pełen jedzenia, a dzieci otoczone były życzliwością żołnierzy. Wielu z nich traktowało je z ogromną czułością, jak swoją pierwszą „rodzinę" po trudach wojny.



Premier Peter Fraser zaprosił polskie dzieci do Nowej Zelandii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

Co dzieciom najbardziej utkwiło w pamięci z podróży na drugi koniec świata?

Mam wrażenie, że z całej długiej podróży na koniec świata najbardziej wyrazistym i jednoznacznie pozytywnym doświadczeniem była właśnie podróż amerykańskim okrętem. Po latach tułaczki, głodu i oglądania świata z najgorszej możliwej strony dzieci po raz pierwszy miały wszystkiego w bród i otoczone były dobrocią. Żołnierze stali się dla nich prawie jak rodzina, kuchnia była otwarta, jedzenia nie brakowało, pojawiły się nawet lody. To wszystko było dla polskich dzieci czymś zupełnie nowym, niemal niepojętym.

Płynąc do Nowej Zelandii, miały jakąś wizję tego, co je czeka?

Co ciekawe, dzieci właściwie niczego się już nie spodziewały. Krążyły między nimi różne plotki, np. tego rodzaju, że w Nowej Zelandii mieszkają ludożercy. Ale jeśli chodzi o realne oczekiwania, to po prostu ich nie miały. Szły tam, gdzie kazano, robiły to, co kazano – bo tak wyglądała ich codzienność od lat. Nie wyobrażały sobie żadnego konkretnego miejsca, żadnego „raju". Ot, po prostu kolejny przystanek. Tym bardziej poruszające jest to, że właśnie wtedy spotkały się z bezinteresownym dobrem.



MARTYNA WOJTKOWSKA
„W NOWEJ ZELANDII WSCHODZI SŁOŃCE. WOJENNA TUŁACZKA POLSKICH DZIECI"
CZARNE

„W Nowej Zelandii wschodzi słońce". Tytuł pani książki przywodzi na myśl przywróconą nadzieję.

Choć tematyka mojej książki jest trudna – bo same słowa „wojna" i „dzieciństwo" brzmią razem jak coś sprzecznego – to jej przesłanie jest niezwykle pozytywne. To opowieść o tym, jak wspólnota potrafi ocalić jednostkę, dać jej nadzieję. Nawet w sytuacji, kiedy dzieci straciły rodziców, dom, przez lata tułały się po świecie i czuły się niepotrzebne, to fakt, że były razem, w grupie, trzymał je na powierzchni. Relacje zawiązane w czasie tułaczki, a później w czasie pobytu w Nowej Zelandii były bardzo silne.

Czyli dopiero na końcu świata dzieci odnalazły spokój i odzyskały dzieciństwo odebrane przez wojnę?

Trudno ująć to w ten sposób. Choć nowozelandzkie społeczeństwo otworzyło przed nimi drzwi, to nie była to kraina mlekiem i miodem płynąca, a mali Polacy nadal byli migrantami, uchodźcami, marginalizowaną grupą. Spotykali się z presją, aby porzucić język polski, aby się dopasować, aby przestały być „obce". Dyskutowano, czy powinny zostać adoptowane, a więc de facto wynarodowione.

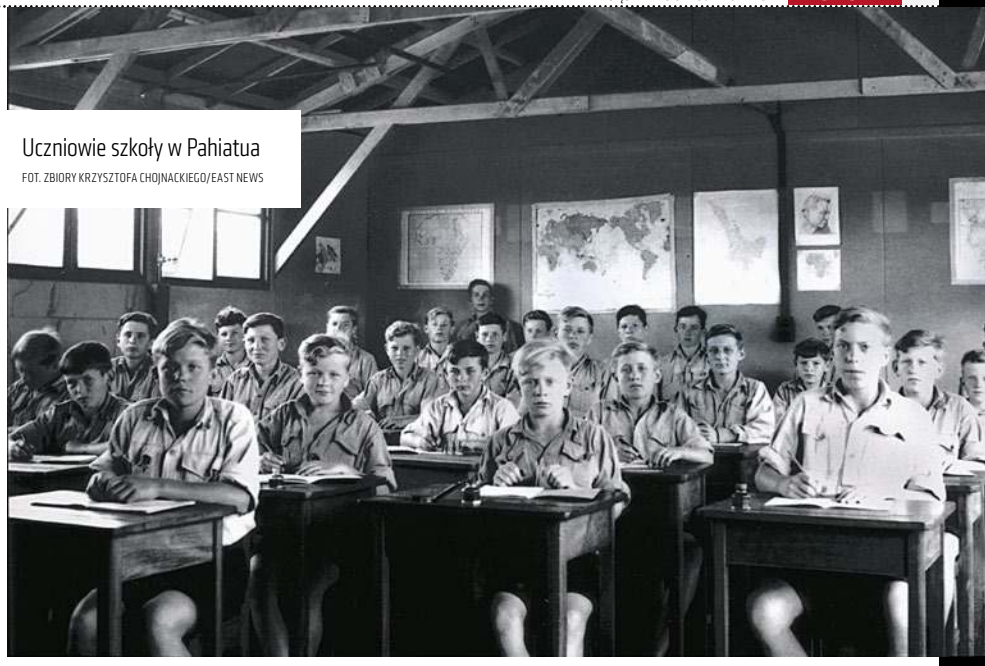
Ich dzieciństwo było naznaczone niepewnością np. dlatego, że w każdej chwili mógł odezwać się ktoś z rodziny w Polsce, a to znowu odmieniłoby ich los. Na pewno jednak, w przeciwieństwie do wcześniejszych lat tułaczki i ciągłego życia w drodze, miały wreszcie dach nad głową i jedzenie.

Z dzisiejszej perspektywy – po rozmowach z moimi bohaterami, po spotkaniach z ich dziećmi i wnukami – widzę wspólnotę świadomą swojej tożsamości. Spotkania rodzinne, rozmowy przy wspólnym stole, pielęgnowanie pamięci – to wszystko tworzy obraz, w którym dostrzegam spokój i szczęście. I to było dla mnie jako autorki – a także po prostu jako człowieka – bardzo poruszające i ważne doświadczenie.

Niektórym dzieciom na pewno trudno było wrócić do przeszłości. Ich dzieciństwo minęło bezpowrotnie. Czy część z nich nie dojrzała zbyt szybko?

To pytanie natychmiast przywołuje moje skojarzenia z losem najstarszych dzieci w rodzeństwach. Już na etapie

eprasa.pl d8ca3081f8



Uczniowie szkoły w Pahiatua

FOT. ZBIORY KRZYSZTOFA CHOJNACKIEGO/EAST NEWS

ewakuacji ze Związku Sowieckiego bardzo często to właśnie najstarszym dzieciom powierzano rolę opiekunów. Rodzice, nie mając innego wyjścia, oddawali dzieci pod opiekę różnych instytucji, aby zwiększyć ich szanse na przeżycie – i wtedy odpowiedzialność za najmłodszych spadała na barki starszego brata lub starszej siostry.

To właśnie te dzieci musiały szybko dorosnąć. Ich dzieciństwo skończyło się właściwie w momencie, kiedy zaczęły dźwigać ciężar decyzji i troski o młodsze rodzeństwo. I co ważne – jak pokazują moje rozmowy z bohaterami – ta rola opiekuna nie skończyła się z chwilą, kiedy młodsi osiągnęli pełnoletność. Najstarsze osoby z rodzeństwa bardzo często na całe życie pozostawały już w „rodzicielskiej" roli, także jako dorośli ludzie.

Oczywiście cała podróż, tułaczka przez kontynenty była doświadczeniem formującym – odebrała dzieciństwu jego naturalny rytm i bezpieczeństwo. Ale to właśnie najstarsi z rodzeństwa nosili ten ciężar najdłużej i najgłębiej. To im wojna odebrała nie tylko dom, lecz także prawo do bycia dzieckiem.

Do Nowej Zelandii trafiło 733 polskich dzieci i ponad 100 osób należących do personelu opiekuńczego. Gdzie umieszczono młodych Polaków i ich wychowawców?

Dzieci zostały zakwaterowane w specjalnie dla nich przygotowanym obozie, który nazywano obozem Pahiatua albo po prostu „Małą Polską". Co ciekawe, moment przybycia do obozu Pahiatua to jeden z tych obrazów, który najczęściej i najintensywniej wracał we wspomnieniach moich rozmówców. Dla wielu z nich to była granica – koniec tułaczki i początek czegoś nowego, w jakiś sposób ekscytującego.

Pahiatua była wyjątkowym miejscem – z pozoru tylko baraki, ale życie było tam zorganizowane według polskich zwyczajów i wartości. Codzienność wyznaczał tam polski kalendarz, obchodzono polskie święta narodowe, mówiło się po polsku.

Dzieciaki znalazły namiastkę domu.

Tak, choć znajdowały się na końcu świata, to dzieci traktowały to miejsce jak swój dom. Było w nim coś znajomego, coś, co przypominało o utraconej przeszłości.

Każde dziecko miało własne łóżko, pościel, półkę na rzeczy osobiste. Właśnie te z pozoru prozaiczne elementy miały ogromne znaczenie. Własna przestrzeń, możliwość poczucia się „u siebie" – to było coś, czego niektóre dzieci nawet już dobrze nie pamiętały. Małe gesty, kilka przedmiotów na własność dawały im poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa.

Wiele tych osób zostało na drugim końcu świata, ale część dzieci tułaczy zdecydowała się na powrót. Tylko że Polski, którą pamiętały, już nie było. Jak odnalazły się w zupełnie innej rzeczywistości?

Powroty dzieci z Nowej Zelandii do Polski najczęściej następowały wtedy, gdy ktoś z rodziny się o nie upomniał. W Polsce istniał już wówczas rząd komunistyczny, który naciskał zresztą na to, żeby sprowadzić wszystkie dzieci z powrotem do kraju. Pojawiali się więc krewni, czasem nawet dalecy, którzy składali oficjalne prośby o sprowadzenie dziecka. Wyobrażam sobie, że dla samych dzieci musiało to być źródłem ogromnej niepewności. Zastanawiały się: Czy ktoś na mnie jeszcze czeka? Czy ktoś się o mnie upomni?

W tym kontekście jedną z najbardziej poruszających scen z tych, które zapadły mi w pamięć, jest historia powrotu małej Oleńki. Jej mama w czasie wojny opiekowała się bezdomnymi i porzuconymi polskimi dziećmi, a po wojnie wróciła do kraju i całym sercem zaangażowała się w pracę w ośrodku adopcyjnym, w odbudowę instytucji opiekuńczych. Po 1945 r. obie wróciły do tej samej Polski, ale nie mogły tak po prostu wrócić do siebie nawzajem. Po raz pierwszy spotkały się na Dworcu Morskim w Gdyni. I wtedy dziecko zobaczyło Polskę – zniszczoną, szarą, pełną ruin. Po Nowej Zelandii czy Panamie, którą widziało w drodze powrotnej, taki przygnębiający widok był rozczarowujący. Polska nie zachwycała. W którymś momencie Oleńka zapytała swoją mamę: „Mamo, po co ty mnie tutaj ściągnęłaś?". To pytanie wybrzmiało ostro, było ogromnym ciężarem. Mama Oleńki poświęciła się pracy dla innych dzieci, ale w jej własnym życiu powstała bolesna wyrwa. Te pierwsze powroty były więc nieraz bardzo trudne.

Nowa Zelandia chyba i tak na zawsze została w sercach dzieci z Pahiatua.

Tak, Nowa Zelandia – z jej spokojem, zielenią, ciepłem ludzi – pozostała w pamięci wielu dzieci jako obraz raju. Do tego stopnia, że odwiedzając dziś mieszkania moich bohaterów w Polsce, znalazłam wiele pamiątek, które przez lata dostawali z Nowej Zelandii od dawnych przyjaciół.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Martyna Wojtkowska jest reportażystką, autorką książki „W Nowej Zelandii wschodzi słońce. Wojenna tułaczka polskich dzieci".

eprasa.pl d8ca3081f8

Z dziejów zdrady we Francji / Jacques Doriot i Marcel Déat



Jacques Doriot na pierwszym wiecu Francuskiej Partii Ludowej, 1936 r. FOT. BNF GALLICA

Gorliwsi od Pétaina



Piotr Semka

Generała de Gaulle'a nienawidzili, marszałkiem Pétainem po cichu gardzili, a nadzorcom z ramienia III Rzeszy nadskakiwali. Ci dwaj wywodzący się z lewicy kolaboranci uznawali germańską okupację za wymarzoną okazję do narodowej rewolucji, a hitlerowców za naturalnych sojuszników

Kraj Galów niechętnie ich dziś wspomina. Obóz postępu najchętniej przedstawia kolaborację Vichy jako brzemię, z którym muszą się mierzyć spadkobiercy francuskiego konserwatyzmu – od epigonów monarchizmu Action Française do spadkobierców oskarżycieli Dreyfusa czy pryncypialnych antykomunistów. Ale to właśnie z lewicy wywodziło się dwóch najgorliwszych francuskich kolaborantów lat 1940–1945. Przyjrzyjmy się więc sylwetkom dwóch panów D.: Jacques'a Doriota i Marcela Déata. Kim byli i do czego dążyli?

Jacques Doriot urodził się w 1898 r. w robotniczej rodzinie w departamencie Oise na północ od Paryża. W tym świecie szybko trzeba było zarabiać na własne utrzymanie. Dlatego już w wieku 15 lat młody Doriot usamodzielnił się i poszedł do fabryki pracować (po 11 godzin dziennie) jako ślusarz. W 1917 r. zostaje powołany do wojska, gdzie udało mu się zdobyć nawet Krzyż Wojenny – Croix de Guerre.

Niezależnie jednak od tej odznaki męstwa młody Jacques uznał wielką wojnę za spisek kapitalistów wysyłających miliony ludzi na rzeź w imię swoich brudnych interesów. Do fabryki wrócił już jako uświadomiony marksista. Gdy w grudniu 1920 r. doszło do rozłamu między socjalistami a komunistami, młody robotnik zapisał się do młodzieżówki Section Française de l'Internationale Communiste, czyli francuskiej partii komunistycznej.

Wkrótce zostaje wysłany z Paryża do Moskwy na zjazd założycielski międzynarodówki młodzieżowej. Doriot dwa lata pilnie uczy się w moskiewskiej szkole Kominternu i w ramach stażu wysyłany jest w tajnych misjach do Francji i Niemiec. Sowieccy komuniści organizują też dla niego podróże po Rosji, gdzie na lokalnych wiecach występuje jako żywy dowód, że nie tylko na wschodzie, lecz także na zachodzie Europy jaśnieje „jutrzenka rewolucji". Jednak robotnicy

eprasa.pl d8ca3081f8

z Zachodu nie tylko byli wożeni z honorami po całym Związku Sowieckim, lecz także byli brani na celownik przez sowiecką bezpiekę. Co pewien czas niektórzy z nich „znikali". Gdy jeden z przyjaciół takiej ofiary walki klasowej prosił Doriota o interwencję, ten zdecydowanie odmówił: „Prawdziwy komunista musi zabić w sobie jakąkolwiek wrażliwość".

Awans do biura

Moskiewski staż był jednocześnie gwarancją awansu w partii. Młody przedstawiciel komunistycznej młodzieżówki pnie się w hierarchii. W wyborach w 1924 r. komuniści pod szyldem Parti Communiste (PC) zdobywają 9,82 proc. głosów i wchodzą do parlamentu. W trakcie jednego z przemówień w Izbie Deputowanych Doriot grzmi: „Na tej sali jestem bojownikiem Armii Czerwonej i jestem z tego dumny. Jeśli trzeba będzie chwycić za broń w imię rewolucji – to zrobię to". Takie płomienne przemowy zostają zauważone i w 1925 r. Doriot wchodzi do biura politycznego PC.

Nieco wcześniej pojawia się w jego życiu pierwszy wątek solidarności z Niemcami. Wobec tego, że Republika Weimarska zwlekała z wypłacaniem odszkodowań, Francja postanowiła obsadzić swoimi wojskami Zagłębie Ruhry. Młody Doriot zostaje wysłany na teren konfliktu z zadaniem wzywania francuskich żołnierzy robotników do współpracy z Komunistyczną Partią Niemiec i do dezercji. Akurat na terenie Ruhry niemieccy komuniści walczyli ramię w ramię ze skrajną prawicą, której bohaterzy (m.in. Albert Leo Schlageter) będą protoplastami późniejszej NSDAP. To braterstwo broni przyda się Doriotowi 20 lat później. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

W latach 20. Doriot działa jak klasyczny zawodowy rewolucjonista żyjący z całkiem sporej pensji z moskiewskiej kasy Kominternu. Młody aktywista ukrywa się przed policją, przemieszcza się z miasta do miasta, zawsze z tajnymi zadaniami. Wybór do parlamentu kończy ten romantyczny okres i zderza Doriota z sytuacją, gdy partia komunistyczna coraz mniej przypomina grupę żarliwych idealistów. Zamiast tego prym



Jacques Doriot, 1941 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

wiodą w niej aparatczycy, gotowi wykonać każdy rozkaz z Moskwy. To powoduje pierwsze konflikty, tym bardziej że w tym czasie zaczynają się już ujawniać jego polityczne ambicje, które będą nim władać aż do końca życia.

Doriot uznaje, że czas zacząć działać na rzecz wejścia do ścisłego kierownictwa PC. Miał przecież solidne atuty: moskiewskie studia, udane akcje w konspiracji i… młodzieńczy wigor. Miał przecież dopiero 26 lat. Młody komunista umiał też zauważać nowe tendencje w Moskwie. Zawczasu zorientował się, że Trocki to już zgrana karta, i odpowiednio wcześnie zaczął wychwalać Stalina. W czasie wizyty w Moskwie ambitny Gruzin zaprosił go nawet na Kreml na prywatną kolację. Ale same ambicje Doriota nie wystarczały.

Moskiewska centrala w 1930 r. postawiła na czele partii Maurice'a Thoreza.



Plakat Francuskiej Partii Ludowej FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Był on o wiele mniej charyzmatycznym liderem, ale za to był w pełni podporządkowany rozkazom Kremla. Poza tym, jak na gusty sowieckich nadzorców francuskich komunistów, Doriot zbyt śmiało pozwalał sobie krytykować zalecenia Moskwy. Na zjeździe PC w 1929 r. oburza się np. na sugestie ze strony Sowietów, by próbować koordynować działania z francuskimi socjalistami. Stalin tymczasem nie chce płomiennych rewolucjonistów i preferuje bezbarwnych aparatczyków.

Zwrot w prawo

Tak zaczyna się powolna ewolucja Doriota, partyjnego dysydenta zniesmaczonego biurokratyzacją partii. Na to nakłada się ogólna dekoniunktura dla francuskich działaczy spod znaku sierpa i młota. W 1932 r. komuniści nie dostają się do nowego parlamentu. W końcu Maurice Thorez traci cierpliwość i w 1934 r. usuwa Doriota z partii. Młody działacz nie przejmuje się tym i sięga po szyld „niezależnego komunisty". Dzięki temu wygrywa wybory na burmistrza paryskiej dzielnicy Saint Denis. I wtedy zaczynają się nim interesować przedstawiciele skrajnej prawicy... Doceniają jego talent oratorski i więzi, które zbudował ze środowiskiem robotniczym.

Doriot wykorzystuje koniunkturę i zakłada PPF – Francuską Partię Ludową. Kusi ona wyborców antykapitalistycznymi hasłami, które chętnie słuchane są w niezamożnej dzielnicy Saint Denis. Jednak Doriot stopniowo dodaje do swojego przekazu politycznego dawkę haseł narodowych. Formalnie nie uznaje siebie za faszystę, ale szybko zaczynają się nim interesować wysłannicy Mussoliniego, a potem również NSDAP. Jego partia atakuje „przegniły parlamentaryzm", czyli – w optyce Doriota – republikę rządzoną przez skorumpowanych polityków na usługach plutokracji, masonerii i Żydów.

Szef PPF staje się wręcz ultranarodowy. Gdy w sierpniu 1939 r. świat dowiaduje się o pakcie Ribbentrop-Mołotow, Doriot wzywa do delegalizacji partii komunistycznej. W 1940 r. zostaje powołany do wojska w stopniu sierżanta, ale po upadku Republiki wcale jej nie żałuje. Głosi, że wielkie drzewo państwa

eprasa.pl d8ca3081f8



Żołnierze Legionu Ochotników (LVF) Francuskich na froncie wschodnim FOT. COMMONS WIKIMEDIA

francuskiego musiało upaść toczone kornikiem masonerii i żydostwa. Mierzi go ekipa Vichy. Widzi w niej zbyt wielu generałów, którzy wysyłali jego kolegów na rzeź w okopach pierwszej wojny światowej.

Jacques Doriot decyduje się na odważny wybór: przenosi się do Paryża, który był centrum strefy okupowanej przez Niemców. Planował sam zdobyć zaufanie Niemców ponad głowami kolaborantów z Vichy. Otto Abetz – ambasador III Rzeszy w Paryżu i patron francuskich polityków tworzących zaplecze dla niemieckiej okupacji – szybko rozpoznaje w nim spory polityczny talent.

Niemiecki dyplomata daje Doriotowi do dyspozycji audycję w Radiu Paryż, gdzie elokwentny Francuz wygłasza przemowy na temat budowy przez Francuzów „Nowej Europy" u boku „bratniej III Rzeszy". 22 czerwca 1941 r. Doriot ogłasza reaktywację PPF, która w poprzednich latach uległa uśpieniu. Ten ultranarodowy już wówczas polityk rzuca ideę włączenia się Francuzów w „krucjatę" przeciw Związkowi Sowieckiemu. Najchętniej sam przejąłby inicjatywę w tej mierze, ale Niemcy dbają, by francuska kolaboracyjna jednostka wojskowa reprezentowała wszystkie środowiska współpracujące z Berlinem. Już w lipcu 1941 r. powstaje LVF, czyli Legion Ochotników Francuskich przeciw Bolszewizmowi. Doriot wchodzi do centralnego komitetu politycznego LVF. Równocześnie rozkwita PPF, na którą Niemcy nie szczędzą środków. W tym okresie obsesją Doriota staje się rywalizacja z Marcelem Déatem o miano lidera francuskich kolaborantów.

Pytanie o Gdańsk

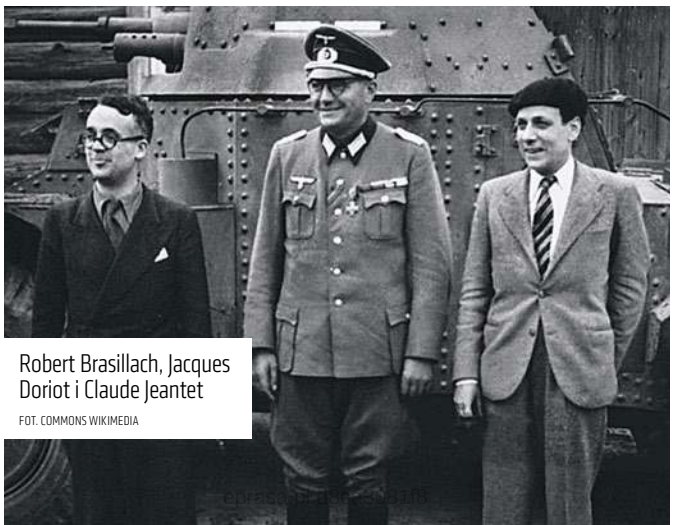
Ten ostatni urodził się w 1894 r. w Burgundii. Był cztery lata starszy od Doriota, ale nie tylko to dzieliło go od proletariusza z departamentu Oise. Wywodził się z urzędniczej rodziny – jego ojciec pracował w cywilnej administracji francuskiej marynarki wojennej. Wychowywał się w rodzinie patriotycznej, ale o tzw. poglądach postępowych. Nic dziwnego, że gdy kończył liceum, jego mentorem był nauczyciel należący do partii radykalnej, ugrupowania opartego na agresywnym antyklerykalizmie i innych postępowych hasłach.

W 1914 r. Déat wstępuje do SFIO, czyli Francuskiej Sekcji Międzynarodówki Robotniczej. Podobnie jak Doriot, również Déat trafił w czasie pierwszej wojny światowej do wojska, w którym spędził cztery lata. Z okopów wyniósł nie tylko niechęć do wielkiej burżuazji, lecz także etos dyscypliny i solidarności koleżeńskiej. Po wojnie skończył studia i został jednym z pionierów francuskiej socjologii w Centrum Dokumentacji Społecznej w École Normale Supérieure. Były to szkoły nastawione na promowanie nowoczesnego myślenia o strukturach społecznych. Z tych szkół wywodzić się potem będzie spora część modernizatorów państwa francuskiego z epoki Vichy. Zdanie to czytelnikowi polskiemu, który kojarzy rządy Pétaina wyłącznie z terrorem i kolaboracją, może wydawać się dziwne, ale to właśnie wtedy do głosu doszła grupa technokratów, których reformy pozwoliły Francji za rządów gaullistów wybić się do rangi europejskiego mocarstwa.

Wróćmy jednak do lat 20. Déat trzyma wówczas z socjalistami w opozycji do komunistów. Zwraca na niego uwagę lider socjalistów Léon Blum, który pomaga mu dostać się do Izby Deputowanych (w 1936 r.), a także objąć funkcję sekretarza grupy parlamentarnej. W 1930 r. Déat styka się na seminarium uniwersyteckim w Davos z nowymi nurtami w niemieckiej filozofii. Niemieccy koledzy, coraz bardziej zbliżający się do nazizmu, zaciekawiają Déata. Sześć lat później, zafascynowany Hitlerem, będzie chciał przeprowadzić z nim wywiad, z czego ostatecznie rezygnuje z obawy, że zaszkodzi mu to w objęciu funkcji wykładowcy filozofii w prestiżowym Lycée Fénelon w Paryżu. Nie zmienia to jednak faktu, że zaczyna go fascynować idea państwa mającego uprzywilejowaną rolę w zarządzaniu własnością (oczywiście przy dopuszczeniu inicjatywy prywatnej).

Déat powoli zaczyna też chwalić włoski faszyzm, który wydaje mu się antidotum na rewolucję i chaos. W 1933 r. odchodzi od socjalistów, którzy pozostają pryncypialnie antyfaszystowscy, i zapisuje się do nowej, mniejszej partii PSDF – Socjalistycznej Partii Francji. Ugrupowanie to wysuwa Déata na stanowisko ministra lotnictwa w krótko sprawującym władzę gabinecie socjalisty Alberta Sarrauta. Żeby było jeszcze ciekawiej, równolegle do fascynacji faszyzmem Mussoliniego i zaciekawieniem niemiecka myślą filozoficzną, która zmierzała ku akceptacji ruchu Hitlera, Déat pozostaje działaczem organizacji potępiających antysemityzm.

W 1939 r. jest już doświadczonym politykiem i rozpoczyna emocjonalną kampanię na rzecz niedopuszczenia do wojny europejskiej. Głosi, że po hekatombie pierwszej wojny światowej Francuzi nie mają prawa po raz kolejny marnować sił biologicznych narodu na nowy konflikt z Niemcami. To on rzucił słynne hasło: „Dlaczego mamy umierać za Gdańsk?". Dokładny cytat z tekstu opublikowanego 4 maja 1939 r. w dzienniku „L'Œuvre" brzmi: „Walka u boku naszych polskich przyjaciół o wspólną obronę naszych terytoriów,



Robert Brasillach, Jacques Doriot i Claude Jeantet FOT. COMMONS WIKIMEDIA

naszej własności, naszych wolności to perspektywa, którą możemy odważnie rozważyć, jeśli ma się przyczynić do utrzymania pokoju. Ale umierać za Gdańsk? Nie!".

W jego publicystyce pojawia się nowy stały motyw – przestroga przed wciąganiem Francji do wojny przez perfidną plutokratyczną Anglię w imię jej partykularnych interesów. Niechęć do wojny skłania go do wsparcia marszałka Philippe'a Pétaina, który poprosił Hitlera o zawieszenie broni (stosowny dokument podpisany został 22 czerwca 1940 r.). Początkowo Déat proponuje marszałkowi stworzenie jednej monopartii, która byłaby realizatorem ideologii państwa Vichy. Jednak Pétain pod wpływem swego konserwatywnego otoczenia odrzuca takie pomysły, które kojarzą mu się z bolszewizmem. Urażony Déat przechodzi od poparcia dla marszałka do niechęci wobec przywódcy Vichy. Podobnie jak Doriot przenosi się do okupowanego Paryża, gdzie tworzy z dziennika „L'Œuvre" płomienną trybunę socjalnej rewolucji narodowej. Jej politycznym wyrazicielem staje się stworzona przez Déata partia RNP – Rassemblement National Populaire.

I podobnie jak Doriot Déat angażuje się w tworzenie legionów francuskich ochotników chcących walczyć z bolszewizmem. RNP organizuje własne bojówki, które wspierają akcje represyjne Niemców. Déat jest dość dobrym mówcą, choć niewielki wzrost i kelnerski wąsik są wykpiwane przez jego arcyrywala – Doriota.

Lider RNP wciąż ma nadzieję, że Niemcy machną ręką na reakcyjnego marszałka i zapalą zielone światło dla francuskiej socjalnej rewolucji narodowej. W walce o dostęp do ucha Ottona Abetza zaciekle rywalizuje z Doriotem, a ich konflikt zacznie z czasem osiągać wręcz obsesyjny wymiar.


LES CHEFS DE PARTI
SE REUNISSENT POUR COORDONNER LEURS
EFFORTS ET RENFORCER LEUR ACTIVITÉ

Vers l'unité

Pierre Costantini, chef de la Ligue Française.
Marcel Déat, chef du Rassemblement National Populaire.
Eugène Deloncle, chef du Mouvement Social Révolutionnaire.
Jacques Doriot, chef du Parti Populaire Français.

Kolaboranci, od lewej: Constantini, Déat, Deloncle, Doriot FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BNF GALLICA

Wygnanie i niedola

Obu panów D. pogodził dopiero gorzki dla nich finał drugiej wojny światowej. Po lądowaniu aliantów w Normandii Doriot coraz częściej pokazuje się w niemieckim mundurze oficera LVF. Widząc postępy aliantów na froncie we Francji, obaj liderzy francuskiej rewolucji narodowej uciekają na wschód. Doriot zostaje skierowany przez Niemców do Neustadt an der Haardt, a następnie na wyspę Mainau na Jeziorze Bodeńskim. Na niemieckim wygnaniu Doriot zabija czas pisaniem manifestów z wizją „francuskiego państwa ludowego", które ma zastąpić „reakcyjne" państwo Vichy.

Niedaleko, w zamku Sigmaringen, podobne utopijne plany snuje Marcel Déat – formalnie minister pracy w emigracyjnym rządzie marszałka Pétaina. We wrześniu 1944 r. Doriot i Déat w towarzystwie trzeciego kolaboranta, Fernanda de Brinona, doznają zaszczytu spotkania z Hitlerem, podczas którego referują mu swoje księżycowe plany. 6 stycznia 1945 r. w niemieckiej Konstancji Doriot ogłasza powołanie Francuskiego Komitetu Wyzwolenia, który ma zebrać armię wyzwoleńczą i wrócić do kraju, aby wcielić idee rewolucji narodowej. Nawiązanie do nazwy komitetu stworzonego przez gen. de Gaulle'a nie było przypadkowe...


Marcel Déat FOT. BNF GALLICA

Mimo niechęci do Déata Doriot czuje, że obaj politycy muszą połączyć siły przeciwko Pétainowi. 22 lutego wypożyczonym od Niemców samochodem Doriot udaje się na spotkanie ze swoim arcyrywalem. W pobliżu miasteczka Mengen w Badenii auto, którym jedzie kolaborant, zostaje zaatakowane przez aliancki samolot. Déat dociera na miejsce i widzi martwego już rywala... Tak kończy się pojedynek dwóch nadgorliwców, którzy walczyli na francuskiej ziemi o łaski nazistów.

Doriot zostaje pochowany na cmentarzu w Mengen. W 1961 r. francuscy żołnierze z garnizonów w Niemczech odkrywają miejsce jego pochówku i równają nagrobek z ziemią. Po jakimś czasie emerytowani kolaboranci zdołali ustalić, gdzie znajdował się nagrobek, i co roku 22 lutego, w rocznicę śmierci Doriota, spotykali się w tym miejscu.

Więcej szczęścia miał Déat, który po klęsce III Rzeszy zdołał przedostać się do Włoch. W celu ukrycia swej tożsamości przyjął nazwisko swojej żony Hélène i ukrywał się w prowadzonym w Turynie przez zakonnice Instytucie Joanny d'Arc. U schyłku życia przebywał w turyńskim szpitalu San Vito, gdzie nawrócił się na katolicyzm. Déat zmarł w tym włoskim mieście 1 kwietnia 1955 r. Jego zwłoki sprowadzono potem do kraju i w 1968 r. pochowano na cmentarzu Rozet-Saint-Albin w departamencie Aisne.

Tak wyglądała rywalizacja dwóch Francuzów, którzy wywodząc się z lewicy, przeszli na służbę narodowych socjalistów. Ich nazwiska są we Francji symbolem zdrady, a dla Polaków szczególnie Marcel Déat stał się symbolem francuskiego tchórzostwa i lęku przed wojną. Ci Francuzi, którzy chętnie słuchali jego wezwań, by nie umierać za Gdańsk, umierali potem w katowniach gestapo od Paryża do Lyonu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor wykorzystał opracowanie Jolanty Kawy na temat Jacques'a Doriota opublikowane w „Gazecie Wyborczej" 11 maja 2024 r.

eprasa.pl d8ca3081f8



Polska na mapie gospodarczej / Kresy hamulcem

Kiedy uciekł nam Zachód?



Jakub Ostromęcki

W którym okresie i w jaki sposób przegraliśmy z Zachodem wyścig o bogactwo? Wszystko wskazuje na to, że doszło do tego długo przed rozbiorami

Jak mierzyć dobrobyt i osiągnięcia gospodarcze na przestrzeni dziejów? Najpopularniejszym kryterium jest PKB (produkt krajowy brutto) na głowę mieszkańca, czyli suma wszystkich dóbr i usług wytworzonych w danym roku w danym kraju podzielona przez liczbę mieszkańców. Aby porównanie osiągnięć różnych krajów miało sens, wyraża się je dziś w dolarach międzynarodowych. Nie należy ich mylić ze „zwykłymi" dolarami. Waluta ta istnieje tylko w zestawieniach statystycznych. Teoretycznie dolar międzynarodowy mówi nam, jaką część podstawowego koszyka dóbr i usług można by za niego nabyć w różnych krajach.

Właśnie dolara międzynarodowego jako miary historycznego PKB użył Angus Maddison w swoich słynnych statystykach sięgających aż do starożytności. Wyliczył je dla poszczególnych państw, znając PKB dla lat bazowych z XIX stulecia, gdy istniały już dokładne rachunki ekonomiczne. Następnie założył, że istnieją stałe relacje między PKB a urbanizacją, płacami realnymi i rozmiarem populacji. Akurat te dane są znane nawet dla niektórych zamierzchłych cywilizacji. Porównując te zmienne z rokiem bazowym, Maddison otrzymał odpowiednio pomniejszone historyczne PKB. Oczywiście wskaźnik ten jest miarą wadliwą, nie pokazuje bowiem nierówności dochodów ludności, niewolnictwa, chorób towarzyszących uprzemysłowieniu czy sum wydanych na wojny, z których przeciętny wieśniak czy bednarz korzystał jedynie pośrednio (jeśli oczywiście były zwycięskie).

Inną miarą są płace realne. Obliczał je Robert C. Allen dla wybranych krajów europejskich. Lokalne historyczne

eprasa.pl d8ca3081f8



Rafał Hadziewicz „Kazimierz Wielki nadaje prawa włościanom”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

waluty oraz pensje przeliczył na srebro i podał, ile najpotrzebniejszych dóbr można by za daną jednostkę srebra kupić. Według historyków gospodarki miernik ten ma jednak potężną wadę. Podaje tylko płace pracowników, którzy zostali wymienieni w źródłach pisanych, głównie murarzy albo najemników. Co więcej, zaraz po czarnej śmierci, która spustoszyła Europę w połowie XIV w., płace realne bardzo podskoczyły. Z tej prostej przyczyny, że jedna trzecia ludności umarła. Trudno uznać to za czas dobrobytu, choć w nieludzkim języku ekonomistów fakt ten nazywa się „bonusem czarnej śmierci”.

Bardzo popularną dziś miarą dobrobytu jest HDI (Human Development Index), czyli wskaźnik rozwoju społecznego. Koryguje on PKB o przewidywalną długość życia statystycznego mieszkańca danego kraju oraz lata spędzone przez niego w szkole. Trudno oszacować HDI dla epok historycznych, ale z pomocą przychodzą tu szkielety – na ich podstawie możemy oszacować wzrost danej populacji. Przyjmuje się bowiem, że ciało ludzkie dąży do osiągnięcia maksymalnego wzrostu, ograniczonego jedynie przez geny, a zatem ludy pełne dryblasów uznawane są za zdrowsze, a skarlenie jest skutkiem niedożywienia lub chorób, a tym samym biedy. Propagatorem takiego mierzenia historycznego dobrobytu jest u nas prof. Michał Kopczyński.

Ruś hamulcem

W „The World Economy. Historical Statistics” Angusa Maddisona Polska traktowana jest niestety marginalnie, a wyliczenia dla naszego kraju sięgają tylko drugiej połowy XIX w. Najsłynniejszą polską pracą porównującą historyczne PKB Polski i Europy jest „Dlaczego nie jesteśmy bogaci?” Grzegorza i Anny Wójtowiczów. Książka dzieli nasze dzieje na epoki nieco inaczej, niż to się przyjęło w tradycyjnej historiografii.

Pierwsza z nich trwała od początków państwa do połowy XIII w. Polska była krajem bez miast, bazującym niemal tylko na rolnictwie, gdzie kmiecie, choć wolni, musieli wykonywać liczne prace na rzecz księcia i jego rozlokowanych po grodach konnych drużynników. O dziwo, PKB per capita piastowskiej Polski, owych peryferii cywilizacji, według Wójtowiczów stanowił 85 proc. średniego poziomu europejskiego.

W XIII w. nasze ziemie zaczęły się gwałtownie rozwijać. Pod ciosami siekier padały pradawne dęby, a dzikie ostępy zamieniały się w pola uprawne. W nowych wsiach stosowano trójpolówkę dającą większe plony niż prymitywna gospodarka żarowa czy dwupolówka. Grody stawały się miastami, które od tej pory miały nie tylko bronić, lecz także produkować, handlować, a z czasem nauczać. Spora w tym zasługa imigrantów – Niemców (głównie Sasów i Turyngów), Żydów i cystersów zakładających swoje nowatorskie uprawy w nietkniętej dotąd dziczy. Co ważne, miasta otrzymały samorząd, czyli mogły kształtować własne prawo tak, aby służyło ono bogaceniu się jego obywateli.



Izaak van den Blocke, „Alegoria handlu gdańskiego”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Gospodarka trafiła także pod dzikie Tatry, gdzie pojawili się smagli wołoscy pasterze, od których wywodzi się niejeden góral. Dlaczego zatem nasze PKB spadło wtedy do poziomu 77 proc. europejskiej średniej? Przyczyna jest banalna – rozwój w Europie, zwłaszcza północnych Włoch i Flandrii, w średniowieczu najbogatszych krain łacińskiej Europy, postępował po prostu dużo szybciej niż u nas.

Prawdziwy skok wykonaliśmy w połowie XIV w., za panowania Kazimierza Wielkiego. Czarna śmierć dotarła co prawda i do nas, ale nie wyhamowała na trwałe kolonizacji puszcz i zakładania nowych miast. „Zostawił Polskę murowaną” nie jest czczym frazesem. Według Wójtowiczów osiągnęliśmy wtedy 80 proc. średniego europejskiego PKB. Mogło być i więcej, gdyby nie podbój Rusi Halickiej. Bez niej etniczny rdzeń Polski miał osiągnąć ponad 88 proc. średniej europejskiej. Od tej chwili im głębiej sięgaliśmy na wschód, tym bardziej nasza gospodarka oddalała się od zachodniej. Ruś Halicką jednak podbić musieliśmy – inaczej zamiast nas zrobiliby to Litwini lub Węgrzy, a kto wówczas nie podbijał, ten ginął.

Piętnaste stulecie to świt polskiego złotego wieku. Sieczemy Krzyżaków pod Grunwaldem i Koronowem, odzyskujemy Pomorze Gdańskie, polskie zboże zaraz zacznie płynąć ku Zachodowi. Mamy własny uniwersytet – wcześniej niż Szwedzi czy Norwegowie. Słychać nas na soborze w Konstancji, nasi rycerze dołączają do europejskiej elity, zwyciężając na międzynarodowych turniejach. A gospodarka, wobec europejskiej średniej, zaczyna mimo to dołować znów do poziomu 77 proc. Jest to sprawka z jednej strony wtórnej feudalizacji, której najjaskrawszym przejawem było przywiązanie chłopa do ziemi, a z drugiej strony gwałtownego rozwoju zachodnioeuropejskich miast.

Złoty wiek Wójtowiczowie zamykają na roku 1580. Nasza gospodarka stanowiła wtedy już tylko 71 proc. europejskiej średniej. Wiele było przyczyn tego stanu rzeczy, szczegółowo podamy je

eprasa.pl d8ca3081f8



Henryk Pilatti „Szwedzi w Polsce” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

niżej. Najistotniejsze jednak, że mówimy już o Rzeczypospolitej Obojga Narodów, której integralną częścią była Litwa, państwo pokryte lasami i gospodarczo zacofane. Sama Korona, bez Litwy, w XVI w. mogła utrzymać bowiem poziom 80 proc. europejskiego PKB. Litwę jednak musieliśmy ze sobą związać, podobnie jak wcześniej Ruś.

Krach

Najstraszniejsza dla naszej gospodarki była połowa XVII w. Powstanie Chmielnickiego cofnęło Ukrainę, Wołyń i Podole do epoki wędrówki ludów, a najbogatsze ziemie Korony przeorał jeszcze bardziej potop. I tak po szwedzkim najeździe z mizernego już poziomu 58 proc. spadamy do 39 proc. europejskiej średniej. W 1700 r. August II Mocny wplątał nasz nieszczęsny kraj w wojnę północną, co jeszcze obniżyło nasze PKB – do 36 proc. Tak źle nigdy nie było. Te straty odrobimy dopiero w XX stuleciu.

Gospodarka Rzeczypospolitej nie potrzebowała jednak wojen, aby wyjałowieć. W pierwszej połowie XVII w. folwarki radziły sobie jeszcze nieźle, niską wydajność chłopskiej pracy kompensując sobie karczowaniem puszcz i zwiększaniem powierzchni gruntów ornych. Ktoś jednak musiał te nowo zaorane pola uprawiać – sięgnięto więc po stare rozwiązanie i popędzono tam pańszczyźnianych chłopów, odciągając ich od nadziałów, czyli działek, z których żyli. To właśnie w XVII w. ci ludzie spadli do poziomu nędzarzy. Symbolem ich upadku były, tak dziwiące francuskich posłów, rozpadające się chałupy, których właściciele nie kiwnęli palcem, aby je wyremontować, wiedząc, że pan, bojąc się zbiegostwa i utraty zysków, i tak za remont zapłaci. To nie mogło skończyć się dobrze.

W XVI w. kmiecie jeździli jeszcze do miast kupować ubrania, buty, narzędzia, konie czy wozy. To pozytywne zjawisko w kolejnym stuleciu miało się już ku końcowi. A skoro chłopi konsumenci przestali przybywać do miast, to i one z braku klientów podupadały. Konsumpcja szlachecka czy magnacka była zwyczajnie zbyt mała, aby napędzić miejską produkcję. Magnat zresztą dawał zarobić kupcom i producentom z Zachodu. W XVIII w. Monteskiusz i Smith mówili o Polsce jednym głosem – „w tym kraju prawie nic się nie produkuje”. Tymczasem w XVII stuleciu we Flandrii i w Niderlandach, a zaraz potem w Anglii, klasa chłopska zaczyna znikać. Chłopi albo wędrowali do miast, albo stawali się najemnymi pracownikami na włościach bogatych dzierżawców. Gospodarstwa w tych krajach zaczynają więc już wtedy przypominać kapitalistyczne firmy.



Józef Chełmoński „Orka” FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

WWW.DORZECZY.PL

Ulepsza się tam stosowaną od średniowiecza trójpolówkę, na ugorze siejąc rośliny polepszające stan gleby, co spowoduje wielki wzrost wydajności rolnictwa. W XVIII w. nastąpi w tych krajach prawdziwa inwazja ziemniaka. To był też początek końca Rzeczypospolitej – spichlerza Europy.

Panowie bracia tkwili jednak w folwarcznej sielance. Skoro nasze zboże nie było już tak pożądane na Zachodzie, a ceny towarów luksusowych rosły, to stratę można było zrekompensować sobie, upłynniając – w dosłownym tego słowa znaczeniu – nadwyżkę zbóż. Przez ponad 100 lat, aż do połowy XIX w., nie widziano w tym nic złego. Wódka potrzebna była przecież ciężko pracującym chłopom, dając im wytchnienie, a także wigor.

Jeżeli porównamy płace realne, wyliczone przez Jana Luitena van Zandena w pracy „Wages and the standard of living in Europe, 1500–1800”, to w Polsce wczesnych Jagiellonów były one wyższe niż w Anglii czy w państwach włoskich, ale niższe niż we Flandrii i w Hiszpanii. W 1700 r. płace realne w Rzeczypospolitej były już niższe niż w wymienionych państwach, aczkolwiek jeśli porównywać samo zboże, to niewykwalifikowany robotnik w Gdańsku czy w Warszawie mógł za swoją dniówkę kupić go więcej niż we Florencji, Mediolanie czy w angielskich miastach.

W debacie na temat kryzysu XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej nie może zabraknąć państw zaborczych. Konkretnie Prus i Austrii, bo potęga Rosji brała się z samego jej rozmiaru, a nie ze sprawności gospodarowania. Według Jerzego Topolskiego potencjał gospodarczy dziedzin Hohenzollernów i Habsburgów w przeliczeniu na jednego mieszkańca był podobny do koronnego. Polska, ów biedy kraj bogatych ludzi, nie była jednak w stanie narzucić swoim obywatelom podatków w takim stopniu, jak uczynili to Fryderyk II Wielki czy Józef II, i przeprowadzić wielkich inwestycji wykraczających poza granice folwarku. W państwach cywilizacji zachodniej sprawność instytucji pozwalała królom prowadzić podboje, ale dawała też szanse maluczkim bogacić się bez strachu o swój mają-

tek. Na ten fakt w swoim wiekopomnym dziele „Dlaczego narody przegrywają" zwracają uwagę Daron Acemoglu i James A. Robinson. W wiekach XVII i XVIII Rzeczpospolita nie zastosowała się do tej zasady, co miało dla niej straszne skutki.



Aleksander Kotsis „Ostatnia chudoba"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Hektary i książki

W 1913 r. PKB zaboru niemieckiego, Galicji i Kongresówki wyniósł według Wójtowiczów 55 proc. średniej europejskiej. Z ziemiami za Bugiem nasz dochód na głowę byłby niższy. Po wojnie z bolszewikami zrujnowany kraj spadł do 21 proc. europejskiego poziomu. W 1938 r. wskaźnik ten urósł do 42 proc., by po drugiej wojnie światowej wojnie spaść do 29 proc. W PRL najlepszy był początek lat 50., gdy osiągnęliśmy 53 proc. europejskiej średniej, a także środek epoki Gierka (48 proc.). Zaraz jednak gierkowskie place budowy zaczęły straszyć zardzewiałym zbrojeniem i na koniec ery komunizmu nasz PKB wynosił 35 proc. europejskiej średniej. Był to więc dystans porównywalny z epoką saską.

Tak wygląda zestawienie gospodarczych dziejów Polski z uśrednionym dorobkiem zachodniej Europy. Trzeba jednak zaznaczyć, że Zachód nie rozwijał się w ten sam sposób. Absolutnymi liderami były w XVII w. Anglia i Niderlandy. Van Zanden próbował wyliczyć, jakie konkretnie czynniki powodowały gwałtowny wzrost ich PKB, który nazwany został przez historyków ekonomii „małą rozbieżnością" – bo większa przyszła wraz z rewolucją przemysłową. Jak się okazało, handel międzynarodowy czy liczebność floty nie miały tu aż tak wielkiego znaczenia jak się to powszechnie sądzi. Bardziej liczyły się produktywność rolnictwa i stopa urbanizacji, a konkretnie liczba miast mających samorządy, co gwarantowało poszanowanie własności prywatnej. W Niderlandach pod koniec XVI w. stopa urbanizacji, czyli odsetek ludzi żyjących w miastach powyżej 10 tys. mieszkańców, wynosiła już 20 proc., natomiast u nas 2 proc., czyli podobnie jak w Skandynawii czy w Szwajcarii.

Najważniejszym czynnikiem zwiększającym PKB okazał się kapitał społeczny wyrażony np. liczbą książek przypadających na 1 tys. mieszkańców. W tym kryterium, z 0,3 woluminu, wypadaliśmy słabo już w XVI w. Prawdziwymi liderami czytelnictwa były wtedy północne Włochy i Flandria (35 książek). W drugiej połowie XVIII w. w Niderlandach będzie ich już 500, w Anglii 200, natomiast u nas raptem 23. Na podobnej pozycji uplasowała się Hiszpania z 29 książkami. Któż mógł jednak podejrzewać w XVI w., że liczba woluminów na półkach przyczyni się po 100 latach do gospodarczego sukcesu?

Średniowieczna czy nawet XVI-wieczna Szwecja z pewnością nie była krajem bogatszym od nas. Jeśli uniwersytety są zaczynem kapitału społecznego, to w tej kwestii wyprzedzaliśmy Skandynawów o 100 lat. W XVI w. Szwedzi nieznacznie górowali nad nami w liczbie książek na 1 tys. mieszkańców (jeden wolumin w porównaniu z naszym skromnym 0,3 książki), ale i tak oba kraje pozostawały daleko w tyle za wspomnianymi wyżej europejskimi potęgami czytelnictwa. Podobnie wyglądało nasze PKB, a nasza stopa urbanizacji, jak wynika z badań Jana De Vriesa, była wyższa. Kraków osiągnął w swym złotym wieku większą liczbę mieszkańców niż Sztokholm.

Gabriela Majewska w pracy zbiorowej „Bród i smród" przedstawia relacje podróżujących po Szwecji w wiekach XVI i XVII Polaków, Niemców i Francuzów. Przedstawiciele tych dwóch ostatnich nacji z obrzydzeniem wspominali liżące ich po twarzach prosiaki, z którymi musieli dzielić podłogę, śpiąc w gospodach. Naszych podróżnych to nie ruszało – stąd wniosek o podobieństwie standardów szwedzkich i polskich. Druga połowa XVIII w. wyglądała już jednak inaczej. Przede wszystkim Szwecja zdystansowała nas pod względem ilości stali per capita. W Szwecji było już 200 książek na 1 tys. mieszkańców wobec naszych 23, wyższa była też tamtejsza stopa urbanizacji. Julianowi Ursynowi Niemcewiczowi imponowało, że chaty szwedzkie, w przeciwieństwie do naszych, choć „ubogie, są jednak chędogie", czyli schludne i solidne. Już w XVII w. widać było w Szwecji mniejszą rozpiętość dochodów – tamtejsi kmiecie byli bogatsi od naszych, ale szlachcice biedniejsi. W XIX w. szwedzkie PKB było prawie dwukrotnie wyższe niż to wytwarzane na ziemiach polskich – i to bez wliczania zacofanych kresów. Szwecja uciekła nam zatem 100–150 lat później niż Anglia czy Niderlandy.

PKB a wzrost

Lubimy porównywać się z Portugalią i Irlandią. W XVI w. i na początku kolejnego stulecia nasze PKB per capita było porównywalne z Irlandią, ale mniejsze od portugalskiego. Mieliśmy też podobną do Irlandii stopę urbanizacji. Zielona Wyspa, choć zniewolona przez Anglików, korzystała jednocześnie z ich potęgi gospodarczej i w XVIII w. zaczęła dystansować nas zarówno pod względem PKB, jak i stopy urbanizacji. Niewiele zmieniła tu irlandzka zaraza ziemniaczana. W XX w. nasze PKB per capita bywało nawet wyższe niż portugalskie (w 1913 r. i w pierwszych latach PRL). Portugalia zdystansowała nas jednak pod koniec lat 60. XX w.

Statystyczny Polak na przestrzeni setek lat był niższy od przeciętnego Europejczyka. W wiekach XIV–XV mierzyliśmy ok. 168 cm wzrostu wobec europejskich 171 cm. Co ciekawe, w XVII w. zaczynamy się kurczyć proporcjonalnie do reszty mieszkańców kontynentu – Kopczyński zwraca tu uwagę na wzrost spożycia pokarmów pochodzenia roślinnego kosztem mięsa, co spowodowane było ograniczeniem hodowli.

W połowie XIX w. polscy poborowi służący w armiach zaborczych mierzą średnio centymetr mniej niż francuscy i aż 7 cm mniej niż angielscy czy amerykańscy. Jednak Anglosasi, choć wciąż wysocy, w XIX w. byli niżsi niż w poprzednich stuleciach – gwałtowna industrializacja, napędzająca wzrost PKB, równocześnie rujnowała ich zdrowie. Tak gwałtownego obniżenia średniego wzrostu w XIX w. nie odnotowujemy we Francji czy na ziemiach polskich. Jak widać, bogacenie się narodów nie musiało być tożsame ze zwiększaniem się ich tężyzny fizycznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8



Jakub Nowakowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MATEUSZ OPASIŃSKI

1944 r. / Głód broni i amunicji

Błyskawice i „jajka”



Piotr Włoczyk

Żołnierze AK walczący w Warszawie dokonywali prawdziwych cudów, by zdobyć uzbrojenie i naboje. Czasem, na skutek niemieckich błędów, w ich ręce wpadały prawdziwe „skarby”

Ostatnie dni powstania warszawskiego to absolutny dramat – brak amunicji, resztki jedzenia i szykowanie się na najgorsze. Tymczasem Jakub Nowakowski ps. Tomek to właśnie wtedy zanotował swoje największe żołnierskie sukcesy.

– Przez dwa ostatnie dni „użyłem sobie” za cały czas okupacji niemieckiej... Przypomnijmy tylko, że 29 września dywizja czołgów gen. Hansa Källnera szczelnie otoczyła Żoliborz i ze wszystkich stron przypuściła na nas szturm. Poprzedzone to było oczywiście ostrzałem z broni ciężkiej, który trwał chyba nie krócej niż pół godziny. Byłem wtedy z kilkoma kolegami na czujce w Hali Targowej. Wycofaliśmy się stamtąd do bloku przy ul. Słowackiego. Po drodze kolega ustrzelił wtedy piatem panterę. W tym bloku zajęliśmy dobre stanowisko ogniowe. Mieliśmy doskonały widok na Prochownię, po której przewalały się w tę i we w tę niemieckie czołgi i piechota. Trafiłem wtedy wielu szkopów – powiedział w rozmowie ze mną 100-letni dziś powstaniec. Najbardziej w pamięć zapadł mu strzał do Niemca w czarnym mundurze.

– Jakiś pancerniak wyszedł ze swojego czołgu, stanął butnie, wziął się pod boki i rozglądał dookoła. Wystrzeliłem, Niemiec padł na ziemię. Jego koledzy wciągnęli go do środka. Reszta czołgów podjechała w to miejsce, ustawiła się w rzędzie i zaczęła walić w okna piwniczne – opowiadał „Tomek”.

Walki w stolicy zaczęły się dla Jakuba Nowakowskiego dosyć pechowo. Dwudziestoletni wówczas chłopak służył w batalionie „Zośka”, który w powstaniu warszawskim walczył na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie w ramach zgrupowania „Radosław”. Jednak „Tomek”, odcięty wraz z kilkoma innymi kolegami z „Zośki” na Żoliborzu, przeszedł powstańczy szlak w ramach zgrupowania „Żniwiarz”.

Przez pierwszy tydzień powstania ten „zośkowiec”, jako jedyny ze swojego oddziału, nie miał broni palnej – musiały mu wystarczyć granaty. Pistolet maszynowy Błyskawica dostał dopiero siódmego dnia powstania po koledze zabitym przez wybuch pocisku artyleryjskiego (sam „Tomek” tuż przed eksplozją wyszedł z tego pomieszczenia). Mimo że produkowana w podziemnych warsztatach Błyskawica zapewniała ogień ciągły, młody powstaniec wolał jednak wymienić ją na steyera odebranego węgierskiemu żołnierzowi.

– Błyskawica strzelała serią, ale niestety zbyt często się zacinała. To niebezpieczne, szczególnie w bezpośrednim kontakcie z Niemcami. Wolałem karabin dużo bardziej niezawodny, mimo że strzelał ogniem pojedynczym – wyjaśniał powstaniec.

eprasa.pl d8ca3081f8



Powstaniec z pistoletem maszynowym Błyskawica
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TADEUSZ BYKOWSKI

Wielkim świętem było dla Jakuba Nowakowskiego i jego kolegów z oddziału zdobycie czegoś, co w powstańczych warunkach mało komu się śniło: ciężarówki pełnej granatów!

– Zajmowaliśmy wtedy stanowiska w Wyższej Szkole Pożarniczej. Robiliśmy stamtąd wypady patrolowe do fabryki Opla. To jeszcze był „romantyczny" okres powstania, kiedy wydawało nam się, że walka może faktycznie skutkować uwolnieniem stolicy. Siedzieliśmy w oknach z karabinami, mieliśmy doskonały widok na plac przed „strażą ogniową", jak nazywaliśmy wówczas ten budynek. Niemcy często tam podjeżdżali. Któregoś razu zatrzymała się tam wielka ciężarówka. Kiedy zaczęliśmy do niej strzelać, siedzący w środku Niemcy wyskoczyli i uciekli... Na początku myśleliśmy, że to pułapka. Słyszeliśmy bowiem, że Niemcy robili wcześniej podobne numery. Powstańcy wprowadzali takie pojazdy na swój teren, a oni odpalali ładunki wybuchowe i zabijali mnóstwo ludzi. W końcu jednak zdecydowaliśmy się wprowadzić ciężarówkę do środka. Wówczas okazało się, że zawiera ona skrzynie z granatami w liczbie ok. 4 tys.! Były to małe granaty ręczne zwane „jajkami" – tłumaczył „Tomek". Jak nietrudno się domyślić, Niemcy chcieli jak najszybciej naprawić swój błąd.

– Sądząc po ich reakcji, krew ich zalała. W niedługim czasie przyjechały ich samochody pancerne i zaczęły walić w budynek straży – opowiadał były powstaniec. – Nie zrobiły nam jednak większej krzywdy, a „jajka" były już rozdysponowane pomiędzy powstańców. Ta ciężarówka dała nam mnóstwo radości, bo cały czas walczyliśmy o broń. Liczyła się każda sztuka. Nie zapomnę, jak we wrześniu widzieliśmy samoloty alianckie, które wypuściły zasobniki na spadochronach. Już widzieliśmy oczyma wyobraźni całe to uzbrojenie i amunicję! Nasza radość zaczęła zamieniać się w rozpacz, gdy zorientowaliśmy się, że wiatr zwiewa je na tereny zajęte przez Niemców...

Virtuti za 200 ludzi

Zygmunt Gebethner (1923–2020) walkę w powstaniu rozpoczął w bardzo niecodziennych okolicznościach, jak na realia tamtego zrywu był świetnie uzbrojony. Ten żołnierz dywizjonu „Jeleń", a następnie batalionu „Golski" wykazał się wtedy wielką zaradnością.

– Tuż przed powstaniem udało mi się skontaktować z jednym z oficerów węgierskich, którzy stacjonowali w Warszawie przy ul. Koziej. Widać było, że ma „szwejkowski" zapał do wojowania. My potrzebowaliśmy broni, a on potrzebował samochodu. Ubiliśmy więc interes. Moi koledzy z Batalionu Pancernego sprzątnęli sprzed kina Palladium szarozielonego opla Olympię używanego przez SS. Pozostawało tylko zmienić kolor auta – opowiadał w rozmowie ze mną Zygmunt Gebethner. – Po kilku godzinach mieliśmy już cywilną limuzynę. W zamian za to auto dostaliśmy od Węgrów cztery szmajsery, czyli pistolety maszynowe, kilka zwykłych pistoletów, amunicję i mnóstwo środków opatrunkowych. Od tamtej pory bardzo dobrze mi się kojarzyły te zgniłobrunatne mundury węgierskie.

Za swoje bohaterstwo zaprezentowane w trakcie powstania warszawskiego Zygmunt Gebethner został odznaczony Orderem Virtuti Militari. Co ciekawe jednak, do końca życia nie miał całkowitej pewności, za którą konkretnie akcję przyznano mu to najwyższe polskie odznaczenie wojskowe.

– Nie mam co do tego stuprocentowej pewności, ponieważ nigdy nie widziałem uzasadnienia wniosku o przyznanie mi tego orderu. Wiem jednak, że dowództwo dowiedziało się o wyprowadzeniu przeze mnie i moich kolegów z oddziału ludzi z Kolonii Staszica. Groziła im tam śmierć. Jestem prawie pewien, że to za tę akcję dostałem Virtuti Militari – mówił były powstaniec.

Zygmunt Gebethner walczył wtedy w batalionie „Golski", który działał w rejonie Politechniki Warszawskiej. Był początek sierpnia, gdy świetnie uzbrojony 21-letni powstaniec został wezwany do dowództwa.

– Powiedziano mi, że tuż obok nas, w Kolonii Staszica, przytrzaśnięta została przez Niemców pewna część powstańców z Batalionu Pancernego AK. Byli oni praktycznie bez broni. Przekradłem się do nich i nawiązałem z nimi kontakt. Byli w tragicznym położeniu. Niemcy masowo mordowali tam ludzi w piwnicach i na tzw. Zieleniaku. Obiecałem im – choć nie miałem do tego żadnego pełnomocnictwa – że następnego dnia im pomogę – relacjonował Zygmunt Gebethner. – Zgodził się na to mój dowódca Stefan Golędzinowski ps. Golski. Powiedział: „Jeżeli chcecie, to im pomóżcie". Zwróciłem się więc do moich kolegów z tą sprawą. To byli bardzo fajni chłopcy. Jeden z nich, „Rysiu", zasłynął powiedzeniem, które stało się naszym okrzykiem podczas tych akcji: „Panie podchorąży, atakujem, bombardujem!". Powiedziałem im, że potrzebuję do tego zadania trzech ludzi. Przekradaliśmy się nocami z rejonu Politechniki na tyłach szpitala Piłsudskiego aż do Kolonii Staszica. To było niebezpieczne, ponieważ na Polu Mokotowskim Niemcy rozstawili kilka gniazd karabinów maszynowych. Udało nam się w trzech turach przeprawić ok. 200 osób: mężczyzn, kobiety i dzieci.

11 sierpnia Zygmunt Gebethner został ciężko ranny w nogę. Wszystko wskazywało na to, że będzie konieczna amputacja, ale ostatecznie udało się uratować kończynę. To był jednak koniec jego udziału w powstaniu.

Co ciekawe, bohaterski żołnierz Order Virtuti Militari odebrał dopiero 20 lat po wojnie, podczas jednej z podróży służbowych do Wielkiej Brytanii (pracował wtedy w Państwowym Wydawnictwie Naukowym). Skromna uroczystość miała niemal sekretny charakter, ponieważ odznaczony ryzykował utratę pracy. Jego koledzy z AK, którzy po wojnie trafili do Wielkiej Brytanii, zorganizowali spotkanie w Ognisku Polskim w Londynie.

– Dla mnie to był bardzo poruszający moment, tym bardziej jeżeli byłemu powstańcowi warszawskiemu order przypina sam gen. Tadeusz Bór-Komorowski, i to w niemal konspiracyjnych warunkach. Pamiętam, że generał miał problem z wpięciem orderu w klapę marynarki,

eprasa.pl d8ca3081f8



Zbigniew Ścibor-Rylski i Zygmunt Gebethner
FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/FORUM

ponieważ materiał był nieco oporny, ale w końcu się udało. Z grawerskiego punktu widzenia ten londyński order jest bardzo prosty, jednak trzeba pamiętać, że rząd emigracyjny miał takie, a nie inne warunki... Virtuti polskie jest o wiele lepiej wykonane, ale oczywiście nie mogę narzekać na swój krzyż – to dla mnie bardzo ważna pamiątka i wielki zaszczyt.

Dwa granaty

Jerzy Sułkowski ps. Konduktorka w dosyć zaskakujących słowach opisywał broń, którą miał do dyspozycji w trakcie powstania.

– Zawsze powtarzam, że było to uzbrojenie typu „psychologicznego" i dotyczyło to znakomitej większości powstańców. Miałem pistolet – zbrojawkę czeską kaliber siedem – a poza tym trochę granatów i butelek zapalających. Nasze uzbrojenie dawało nam pewien komfort psychiczny – w końcu nie byliśmy zupełnie bezbronni – ale nie ma co ukrywać, że na tle Niemców wyglądało jednak dosyć żałośnie – podkreślał w rozmowie ze mną „Konduktorka".

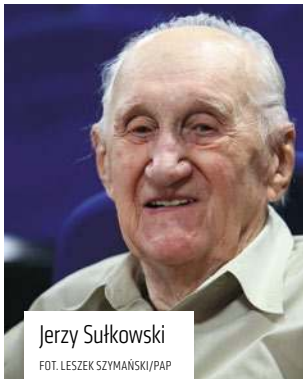
Walczący w Zgrupowaniu „Żyrafa" powstaniec spędził wiele dni, broniąc barykady przy ul. Krasińskiego 20. Codziennie stawał oko w oko ze śmiercią, ale dwa najbardziej dramatyczne momenty przeżył pod sam koniec zrywu w stolicy.

– To się zdarzyło 30 września. Rankiem wycofaliśmy się z barykady przy ul. Krasińskiego 20 i zajęliśmy stanowiska na V Kolonii WSM (ul. Słowackiego 5/13). W kuchni mieszkania na pierwszym piętrze od ul. Filareckiej znajdowały się małe okienka tuż pod sufitem, skąd był dobry ostrzał ul. Felińskiego, na której już byli Niemcy. Po pewnym czasie zaczęli tam jednak spędzać ludność cywilną, w związku z czym dalszy ostrzał tego miejsca stał się niemożliwy. Zawiadomiono mnie, że na podwórku IV Kolonii WSM (ul. Krasińskiego 16) znajdują się już Niemcy. Przeszedłem do okna na klatce schodowej. Na podwórzu VI Kolonii stały dwa czołgi z lufami skierowanymi w naszą stronę, a między nimi piechota. Po oddaniu kilku strzałów usłyszałem straszny huk i poczułem sypiący się na mnie gruz. Momentalnie zrobiło mi się gorąco na twarzy... – opowiadał mi „Konduktorka". – To, co się działo potem, pamiętam jak przez mgłę... Ktoś prowadzi mnie oszołomionego po schodach i przekazuje w ręce sanitariuszek. Po odzyskaniu przytomności ze zdziwieniem stwierdziłem, że całą głowę mam owiniętą bandażami. Sanitariuszki pozostawiły mi tylko mały otwór na usta i dwa otwory na oczy.



Druga śmiertelnie groźna dla Jerzego Sułkowskiego sytuacja miała miejsce tuż po kapitulacji powstania, gdy Niemcy prowadzili żołnierzy AK do niewoli. Broń, o którą z takim poświęceniem walczyli przez 63 dni Polacy, w tych okolicznościach mogła się okazać dla „Konduktorki" przekleństwem.

– Byłem półprzytomny i kompletnie zapomniałem, że w plecaku wciąż miałem dwa granaty obronne. Zmroziło mnie, gdy zdałem sobie z tego sprawę... Natychmiast podszedłem do pilnującego nas wachmana i powiedziałem mu, że muszę iść do latryny – drewnianego budynku znajdującego się parę metrów od naszej kolumny – opowiadał powstaniec. – Nie wiem, dlaczego ten Niemiec się zgodził, przecież mógł zignorować moją prośbę. Być może moja zabandażowana twarz wzbudziła w nim odrobinę litości. Koniec końców wyrzuciłem zawartość plecaka do latryny. Gdyby Niemcy odkryli to przy mnie, to na pewno nie rozmawiałbym z panem.



Jerzy Sułkowski
FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Pierwszego dnia powstania Jerzy Sułkowski dowiedział się, że będzie wchodził w skład osłony Dowództwa Obwodu AK „Żywiciel".

– Do 12 sierpnia zapewnialiśmy dowództwu osłonę. Potem skierowano nas na pierwszą linię i tam – na barykadzie przy ul. Krasińskiego 20 – byliśmy już do końca powstania. Przydzielono nas wtedy do Zgrupowania „Żyrafa" – wspominał „Konduktorka". Walka o utrzymanie barykady nie była jedynym zadaniem tych żołnierzy. W nocy musieli oni schodzić z barykady i zbierać to, co przyleciało w sowieckich zrzutach. O ile pudła z bronią miały spadochrony, o tyle już amunicja i żywność były pakowane w zwykłe worki i po prostu wyrzucane z „kukuruźników". A to oznaczało, że trzeba było zbierać z ziemi ich zawartość.

Jednak któregoś dnia do Jerzego Sułkowskiego i jego kolegów uśmiechnęło się to samo szczęście, które sprawiło, że w ręce Jakuba Nowakowskiego trafiły niemieckie granaty.

– Dwie niemieckie ciężarówki pomyliły się i podjechały pod naszą barykadę. Jeden samochód udało nam się w całości rozładować – opowiadał mi „Konduktorka". – W środku były broń, amunicja i sprzęt saperski. Niestety, ładunku drugiego auta nie zdążyliśmy przejąć. Niemcy zorientowali się, że stracili samochody, i ostrzelali drugą ciężarówkę pociskami zapalającymi. Wszystko w okamgnieniu spłonęło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d8ca3081f3



Dom Ludowy w Dzierżyńsku, udekorowany portretem Stalina

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ZSRS / Sposób na indoktrynowanie mniejszości

Autonomiczna maskirowka



Mikołaj Iwanow

Jednym z najważniejszych powodów tworzenia regionów autonomicznych było ich znaczenie propagandowe. Wprowadzenie tak szerokiej autonomii dla mniejszości narodowych stać się miało skuteczną bronią w walce ideologicznej z kapitalistycznym otoczeniem. Jednak niedługo okazało się, że ta polityka była dla mniejszości pułapką

Po zwycięstwie w wojnie domowej partia bolszewików przeżywała poważny kryzys, który groził utratą władzy. Kraj był wstrząsany antykomunistycznymi zrywami. Chłopskie powstanie w guberni tambowskiej rozlało się na sąsiednie regiony centralnej Rosji, Ukrainą wstrząsała rebelia petlurowców (pod dowództwem atamana Jurka Tiutiunnyka), a w Kronsztadzie wybuchło powstanie marynarzy Floty Bałtyckiej. Marynarze uznawani wcześniej za swoistą gwardię Lenina teraz wypowiedzieli posłuszeństwo bolszewikom... Wiele regionów kraju ogarnął głód, który najmocniej uderzył w jeden z najbardziej zasobnych regionów – Powołże.

Sytuacja była na tyle dramatyczna, że Lenin zdecydował o zahamowaniu komunistycznych eksperymentów i rozpoczęciu bardziej liberalnej polityki państwowej. Przeszła ona do historii jako Nowa Ekonomiczna Polityka (NEP). Jej najważniejszymi elementami były odejście od całkowitej nacjonalizacji przemysłu i zezwolenie na działalność prywatnych przedsiębiorców. Zaprzestano również kolektywizacji rolnictwa i konfiskat produktów rolnych. Chłopi mogli sprzedawać swoje towary na wolnym rynku, płacąc jedynie podatek rolny. Partia w ramach tej polityki poluzowała również nieco kwestie ideologiczne, pozwalając na drukowanie książek i innych materiałów publicystycznych, które nie były całkowicie po myśli komunistów.

150 języków

Najciekawszym elementem NEP był tzw. NEP narodowościowy. Lenin zdecydował się wówczas na bezprecedensowe poszerzenie praw nierosyjskich narodów Rosji Sowieckiej. Spośród 160 mln obywateli byłego imperium rosyjskiego prawie 57 proc. stanowili nie-Rosjanie, w życiu codziennym posługujący się 150 językami. Większość narodów zamieszkujących wówczas europejską część Rosji w mniejszym lub większym stopniu przeszła przez okres kapitalizmu przemysłowego. Natomiast narody żyjące w części azjatyckiej dopiero zapoznawały się z elementami kapitalizmu i w zasadzie wciąż żyły w systemie feudalnym.

Niezwykle ostre były podziały i antagonizmy między narodami; niekiedy przeradzały się one w pogromy, a nawet w konflikty zbrojne. Jedną z licznych

eprasa.pl d8ca3081f8

przyczyn wrogości była długoletnia polityka rządów carskich. Ustawodawstwo państwowe tworzyło rozległy system uprzywilejowujący jedne narody kosztem innych. Ta negatywna spuścizna po caracie niezmiernie utrudniała wprowadzenie jednolitej, skutecznej polityki narodowościowej.

Włodzimierz Lenin był prawdopodobnie jednym z nielicznych przywódców bolszewickich, którzy uświadamiali sobie, że otwarta konfrontacja z nacjonalizmami rozbudzonymi przez wydarzenia rewolucji październikowej i wojny domowej nie rokuje sukcesów, a nawet może się okazać zgubna dla interesów bolszewików. Nowy kurs w kwestii narodowościowej został ogłoszony już na X zjeździe partii (w marcu 1921 r.). Program przewidywał znaczne rozszerzenie praw wszystkich mniejszości narodowych.

W głównej uchwale na temat polityki narodowościowej mówiono o konieczności przeprowadzenia tzw. autochtonizacji (po rosyjsku: korienizacja). Przewidywała ona wysuwanie na odpowiedzialne stanowiska w administracji państwowej i w komitetach partyjnych przedstawicieli danej mniejszości. Wiązał się z tym obowiązek przestawienia pracy wszystkich instytucji państwowych oraz organizacji partyjnych i społecznych na języki narodowe oraz nacisk na wszechstronne rozwijanie oświaty i nauki wśród mniejszości narodowych. Według Lenina w związku z tym, że przeważającą część klasy robotniczej, również w rejonach narodowych, stanowili Rosjanie, autochtonizacja miała zlikwidować podziały między klasą robotniczą a chłopstwem, między miastem a wsią. Przywódcy bolszewików widzieli w niej także najskuteczniejszy środek indoktrynacji mniejszości narodowych.

Zasady tej polityki kształtowały się jednak w ogniu ostrych sporów wewnątrzpartyjnych i nie zostały zaakceptowane przez wszystkich członków ścisłego kierownictwa partii. Oponentem Lenina był na tym polu Stalin, piastujący stanowisko ludowego komisarza do spraw narodowościowych oraz sekretarza generalnego partii. Pewności dodawało mu niewątpliwie to, że w 1921 r. skoncentrował w swych rękach niemałą władzę partyjną i państwową.



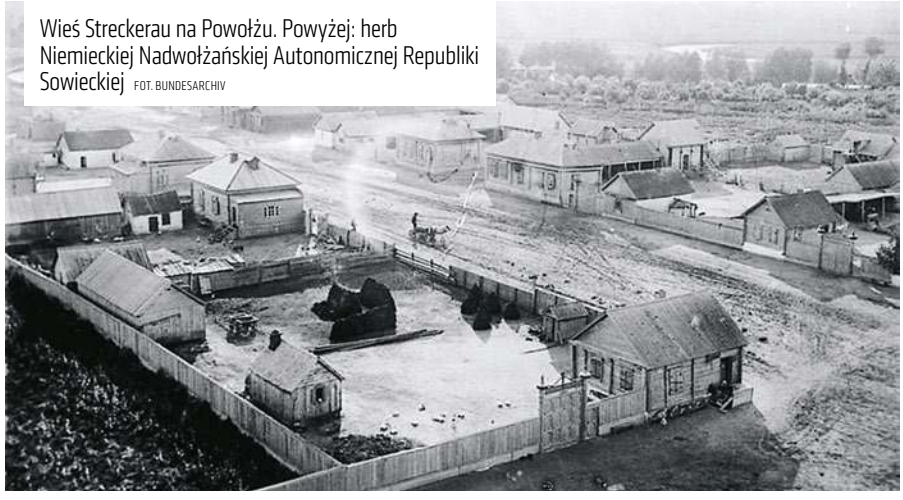
Był również członkiem Biura Politycznego i Biura Organizacyjnego KC RKP(b), a także kierownikiem Komisariatu Inspekcji Chłopsko-Robotniczej. Łączenie w jednym ręku tych wszystkich funkcji pozwalało mu kontrolować pracę aparatu KC i organów państwowych.

Taktyka Stalina

Walka między ówczesnym liderem partii a Stalinem toczyła się wokół tzw. projektu autonomizacji. Projekt ten, autorstwa Stalina, Lenin ostro skrytykował, podając w wątpliwość kwalifikacje jego autora. Zarzucił mu nieznajomość marksizmu, a nawet zamierzał postawić go przed sądem partyjnym w celu ostatecznego skompromitowania jego linii politycznej. Rozpoczęto przygotowania do specjalnego posiedzenia plenum KC RKP(b), na którym jako główną linię polityczną partii w kwestii narodowościowej zamierzano uznać wojnę z „rosyjskim szowinizmem wielkomocarstwowym". Za czołowych wyrazicieli tej negatywnej tendencji Lenin uznawał, co paradoksalne, przedstawicieli narodów nierosyjskich: Gruzinów Józefa Stalina i Serga Ordżonikidzego, Polaka Feliksa Dzierżyńskiego i Litwina Vincasa Mickevičiusa-Kapsukasa. Poglądy tej grupy działaczy Lenin określił niemal jako przestępstwo polityczne.

Atak Lenina był tak zdecydowany, że Stalin natychmiast zrozumiał niebezpieczeństwo wiążące się z otwartą konfrontacją. Przyszły dyktator doszedł do wniosku, że przecenił swe siły i możliwości. Będąc na granicy politycznej śmierci, szybko i skutecznie odżegnał się od poprzednio głoszonych poglądów i stał się głównym rzecznikiem idei leninowskich w kwestiach narodowościowych. Nie możemy mieć wątpliwości co do taktycznego charakteru tej przemiany. Pozwoliła ona Stalinowi odwrócić od siebie uderzenie niekwestionowanego przywódcy partii i zachować pozycję czołowego działacza w kwestiach polityki narodowościowej. Tamta metamorfoza poglądów politycznych Stalina rzuca światło na istotę jego późniejszych postaw politycznych. Jeszcze we wrześniu i w październiku 1922 r. uporczywie, nie przebierając w środkach, próbował walczyć z ciężko chorym Leninem, a już w grudniu tamtego roku na X Zjeździe Rad RFSRS i na I Zjeździe Rad ZSRS deklarował się jako posłuszny, wierny uczeń Lenina, „niezłomnie" i konsekwentnie realizujący jego idee. Ta taktyka pozwoliła Stalinowi obronić się przed utratą stanowiska sekretarza generalnego partii, co proponował Lenin w swym słynnym liście do Zjazdu, a z biegiem lat nawet zająć jego miejsce.

Nowy kurs partii w kwestii narodowościowej przewidywał wypracowanie i prawne usankcjonowanie systemu



Wieś Streckerau na Powołżu. Powyżej: herb Niemieckiej Nadwołżańskiej Autonomicznej Republiki Sowieckiej FOT. BUNDESARCHIV

eprasa.pl d8ca3081f8



Mapa Niemieckiej Nadwołżańskiej Autonomicznej Republiki Sowieckiej
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RBTH.COM

zmierzającego do odrodzenia narodowego uciskanych uprzednio grup etnicznych. Wprowadzenie obowiązku posługiwania się językiem narodowym dotyczyło przede wszystkim organizacji partyjnych, rządowych i społecznych. Rozszerzono te wytyczne również o jednostki Armii Czerwonej stacjonujące w rejonach mniejszościowych. Dla wszystkich rodzajów broni i służb opracowano specjalne regulaminy wojskowe w językach narodowych.

O tym, jak daleko posunęła się realizacja tej polityki, świadczy kilka na pozór niezwiązanych ze sobą faktów. Na Białorusi, gdzie proces rusyfikacji za czasów caratu był prawdopodobnie najbardziej zaawansowany, pod koniec lat 30. pozostało jedynie niespełna 7 proc. szkół z rosyjskim językiem wykładowym. W Białoruskiej SRS rozpoczęto akcję przesiedlania na Krym, do Tatarskiej Autonomicznej Republiki Sowieckiej, ludności pochodzenia tatarskiego. Przodkami tych ludzi byli przed wiekami jeńcy wojenni, ofiary polsko-tatarskich konfliktów z wieków XVI i XVII, i partia bolszewików uznała za swój obowiązek naprawienie historycznej niesprawiedliwości poprzez zorganizowanie powrotu Tatarów do dawnej ojczyzny. W trakcie realizacji „leninowskiej polityki narodowościowej" zdarzył się i taki ewenement: pod koniec lat 20. w kilku regionach kraju, w związku z powiększaniem systemu jednostek terytorialnych Armii Czerwonej, rozpoczęto tworzenie żydowskich oddziałów narodowych!

Niemieckie żądania

Skala i efektywność wprowadzania zasad „autochtonizacji" do dziś robią wrażenie. Już w 1921 r. Rada Komisarzy Ludowych RSFRS przyjęła rozporządzenie nakazujące niezwłoczne skierowanie do rejonów mniejszościowych, gdzie rozpoczęto autochtonizację, działaczy partyjnych, państwowych, społecznych, a także różnych specjalistów – przedstawicieli tych narodów. W szybkim tempie zamierzano wprowadzić do państwowego systemu oświaty, jak również do szkolnictwa wyższego, języki narodowe. W miejscowościach zamieszkanych przez mniejszości narodowe powstały w zadziwiająco krótkim czasie liczne kursy, szkoły wieczorowe i niedzielne, a także ośrodki likwidacji analfabetyzmu.

Lata 20. to okres względnie liberalnego (mimo tak niedawnego przecież zakończenia krwawej wojny domowej) stosunku władz sowieckich do przeciwników politycznych. Jak wiadomo, polityczna i wojenna emigracja z ziem byłego Imperium Rosyjskiego objęła prawie 3 mln osób. Znaczną część tej grupy stanowiła inteligencja mniejszości narodowych. Jej wiedza i kwalifikacje zawodowe mogły być przydatne w odbudowie zniszczonego kraju. „Autochtonizacja" w zamyśle jej inicjatorów powinna była stać się swojego rodzaju mostem, po którym przeciwnicy bolszewików, po przyznaniu się do swoich „pomyłek" i „win", mogliby powrócić do odnowionego „socjalistycznego narodowego domu".

Wszechzwiązkowy spis ludności przeprowadzony w grudniu 1926 r. wykazał, że Związek Sowiecki zamieszkiwało m.in. kilka milionów obywateli należących do narodów, których główna część mieszkała poza granicami ZSRS i miała swoje własne państwa (burżuazyjne), mianowicie: 1238 tys. Niemców, 782 tys. Polaków, 213 tys. Greków, 154 tys. Estończyków, 141 tys. Łotyszów, 135 tys. Finów i 114 tys. Bułgarów. Konieczne było zatem wypracowanie wobec nich specyficznych form NEP narodowościowego.

Znamienny pod tym względem jest przykład Niemców. Wiadomo, że w czasie pierwszej wojny światowej część ludności niemieckiej w Rosji została poddana represjom (działania te zostały ostro potępione przez partię bolszewików). Kolonistów niemieckich wysiedlono z Wołynia, a ich gospodarstwa rozgrabiono. W 1916 r. car ogłosił ukaz, na mocy którego ludność niemiecką pozbawiono w całym imperium prawa posiadania i uprawiania ziemi. Całkowitej realizacji zapisów ukazu przeszkodziła rewolucja. Później, w trakcie rokowań pokojowych w Brześciu w 1918 r., strona niemiecka domagała się przyznania praw eksterytorialności osiedlom zamieszkanym przez Niemców na terenie całej Rosji. Choć do tak bezprecedensowego uprzywilejowania nie doszło, to jednak w protokole dodatkowym do układu pokojowego zapewniono niemieckiej mniejszości znaczną autonomię, prawo



Pionierzy reprezentujący młodzież żydowską, koreańską i rosyjską w Żydowskim Obwodzie Autonomicznym FOT. COMMONS WIKIMEDIA, OZET.ORT.SPB.RU

eprasa.pl d8ca3081f8



do zachowania związków z ojczyzną, a także do reemigracji do Niemiec. Co ciekawe, z prawa do reemigracji skorzystało bardzo mało osób. Wynika z tego, że przeważająca część ludności niemieckiej osiadłej w Rosji (wśród niej tylko niewielka część poddała się asymilacji) mimo głęboko zakorzenionego poczucia odrębności narodowej uznawała Rosję za swoją nową ojczyznę.

Wypracowanie odpowiedniej polityki wobec wymienionych mniejszości wymagało uwzględnienia wielu elementów specyficznych dla każdej grupy z osobna. Niemałą rolę odegrały tu, jak sądzę, emigracyjne doświadczenia Lenina, jego zachwyt nad szwajcarskim systemem samorządu terytorialnego. Lenin, który większą część swojej prawie 18-letniej emigracji spędził w Szwajcarii, sądził, że doświadczenia tego państwa burżuazyjnego w rozwiązywaniu problemów narodowościowych mogą być – po odpowiednich korektach – wykorzystane w państwie socjalistycznym. Kantony szwajcarskie, te dość duże autonomiczne jednostki administracyjne, miały służyć jako wzorzec w kształtowaniu systemu sowieckiej autonomii. W Związku Sowieckim musiały jednak odpowiadać znacznie bardziej złożonym i zagmatwanym stosunkom narodowościowym.

Wymienione okoliczności spowodowały, że sowiecka polityka narodowościowa wobec mniejszości, dla których ZSRS nie był głównym miejscem zamieszkania, przewidywała trzystopniowy system autonomii. Liczące ponad 100 tys. ludności grupy mieszkające na zwartym terytorium miały tworzyć republiki autonomiczne, mniejsze zaś – ponad 10-tysięczne – rejony autonomiczne. Trzeci stopień w tym systemie miały stanowić narodowościowe rady wiejskie tworzone tam, gdzie w zwartej grupie mieszkało ponad 500 osób danej narodowości. Co się tyczy pierwszego stopnia autonomii, historia zna tylko jeden przykład jej realizacji – 19 listopada 1918 r. ogłoszono utworzenie Niemieckiej Nadwołżańskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Drugi i trzeci stopień autonomii zorganizowano natomiast w wielu miejscach. Przykładowo: w 1931 r. na Ukrainie było 14 rejonów narodowościowych: siedem niemieckich, trzy bułgarskie, trzy greckie i jeden polski. Liczba narodowościowych rad wiejskich przekraczała natomiast tysiąc. Wśród nich były m.in.: szwedzka, holenderska, czeska, a nawet włoska. Natomiast dla Żydów sowieckich w 1927 r. utworzono na Dalekim Wschodzie Żydowski Obwód Autonomiczny.

Polskie „przestępstwo”

Żadnemu z narodów nie pozwolono tworzyć autonomii obejmującej swoim zasięgiem jego całości. Z taką inicjatywą w 1922 r. wystąpili niektórzy działacze Niemieckiej Nadwołżańskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Proponowali oni założenie Konfederacji Niemieckiej składającej się ze skupisk niemieckich nad Wołgą, na Ukrainie i na Syberii. Głównym argumentem mającym uzasadnić konieczność stworzenia takiego bytu było stwierdzenie, że „jedynie ludność niemiecka ma dostatecznie wysoki poziom kultury ogólnej i wykształcenia do tego, żeby znajdować się w awangardzie budownictwa socjalistycznego”. W czerwcu 1922 r. zwołano w Moskwie specjalną wszechrosyjską naradę niemieckich komunistów. Sformułowane podczas niej żądanie niemieckiej autonomii eksterytorialnej nie zostało jednak zaakceptowane przez ścisłe kierownictwo partii.

Jednym z najważniejszych powodów tworzenia regionów autonomicznych było ich znaczenie propagandowe. Wprowadzenie tak szerokiej autonomii dla mniejszości narodowych stać się miało skuteczną bronią w walce ideologicznej z kapitalistycznym otoczeniem. Kontrolowany przez partię system autonomii narodowościowej powinien przekonywać świat o wyższości komunizmu nad kapitalizmem. Ale był to też bardzo skuteczny sposób sowietyzacji mniejszości narodowych. Idee komunistyczne w ich języku narodowym, znajdujące oparcie w ich kulturze rodzimej i tradycjach narodowych, miały ostatecznie przełamać nieufność wobec bolszewizmu. Dlatego właśnie tak uparcie partia bolszewicka realizowała tę ideę.

Czy jednak nie była to w istocie wielka komunistyczna pułapka na mniejszości? Przypomnijmy, że z „dobrodziejstw” NEP narodowościowego skorzystali również Polacy. Stworzono dwa rejony polskie: im. Juliana Marchlewskiego na Ukrainie oraz im. Feliksa Dzierżyńskiego na Białorusi. Ponadto założono setki polskich narodowościowych rad wiejskich, powstały bardzo rozległe szkolnictwo polskojęzyczne, dwie polskie uczelnie wyższe, teatry, kluby robotnicze, a nawet polskojęzyczne sądownictwo. Tragizm tej sytuacji polegał jednak na tym, że tak rozległa polska autonomia ułatwiła Stalinowi w latach wielkiego terroru (1937–1938) przeprowadzenie tzw. operacji polskiej, która przekształciła się w prawdziwe ludobójstwo Polaków. Zginęło wtedy ponad 200 tys. naszych rodaków. Posiadanie polskich korzeni stało się w państwie sowieckim przestępstwem.

Delegaci wsi przybywają do Bykówki na naradę w sprawie wydzielenia rejonu polskiego, 1925 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8

1931–2013 / Bohdan Drozdowski

Na rogu Piotrkowskiej i Tuwima



Krzysztof Masłoń

Po aferze z „Konduktem” salon wyklął Drozdowskiego. Odtąd jego książki z rzadka doczekiwały się recenzji, milczano nawet o tych tytułach, które osiągały sukces czytelniczy

Ten zapomniany dziś autor wkraczał do literatury polskiej z przytupem, wraz z takimi przyszłymi tuzami polskiej poezji jak Zbigniew Herbert, Miron Białoszewski, Stanisław Czycz i Jerzy Harasymowicz. Stało się to w grudniu 1955 r. i ten debiut pięciu na łamach „Życia Literackiego” był forpocztą zmian, które dokonać się miały w naszej kulturze, i nie tylko w niej, w roku następnym. Akuszerami młodych poetów, którzy wnieśli nowy ożywczy ton do zdychającej pod komunistycznym butem liryki, byli odpowiednio: Jan Błoński – rekomendujący Herberta, Artur Sandauer – Białoszewskiego, Ludwik Flaszen – Czycza, Mieczysław Jastrun – Harasymowicza i Julian Przyboś – Drozdowskiego właśnie. Każdy z poetów reprezentowany był dwoma utworami, a tej – jak ją zatytułowano – „Prapremierze pięciu poetów” patronowała Wisława Szymborska, kierująca wówczas działem poezji w krakowskim tygodniku. Redaktorem naczelnym pisma był Władysław Machejek, a wszystko to brzmi dzisiaj tyleż archaicznie, ileż egzotycznie.

Drozdowski, z dobrze wtedy widzianym życiorysem robotniczym i dziennikarską praktyką, ale i z fatalnie wręcz postrzeganym pochodzeniem, dał się już poznać wierszem, którego popularności nie dorównał żaden jego inny utwór poetycki – „O szesnastoletniej ukarminowanej”:

Wczoraj
na rogu Piotrkowskiej i Tuwima
szesnastoletnia



FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA EAST NEWS

eprasa.pl d8ca3081f8

ukarminowana na fioletowo
pociągnęła mnie za rękaw
pójdę z tobą
Oczy jak niezapominajki
usta jeszcze świeże
jak nierozkwitła georginia
i mówi
pójdę z tobą
Wziąłem ją
poszliśmy
zarabia na poczcie 400 złotych
emerytura ojca 120
nylony kosztują 200
Jak żyć?
Więc powiedziała
pójdę z tobą
Płakała, bom nie chciał
Powiedziałem że mam żonę
i syna
oboje tęsknią za mną
dwa razy w miesiącu
żona czeka na pieniądze
nie nosi nylonów
Powiedziałem
budujemy ciężki przemysł
budujemy okręty na eksport
samoloty odrzutowe kosztują
tyle co miliard par nylonów
miliard pomadek do ust
fioletowych i innych
dlatego zarabiamy mało
Pokiwała głową
i wróciła
na róg Piotrkowskiej i Tuwima
czekać aż wybudujemy ciężki przemysł
zaopatrzymy wojsko
Szesnastoletnia
ukarminowana na fioletowo.

Wiersz ten, datowany na grudzień roku 1954, znalazł się dwa lata później w pierwszym – jakże znaczącym – tomie Drozdowskiego „Jest takie drzewo". A o wierszach jego, przy okazji sławnej „Prapremiery…", Przyboś pisał, że są to „ostre, błyskawiczne zdjęcia rzeczywistości – czasem kilka takich obrazków mieści się na takim zdjęciu, nakładając się na siebie i tak zagęszczając obraz sytuacji lirycznej", i przyrównywał poetę do Bertolta Brechta. W „Życiu Literackim" Drozdowski wydrukował równie skandalizujące wiersze jak „O szesnastoletniej ukarminowanej", tyle że nie tak dobre. Jest jednak faktem, że „Ty matko nie miej mi za złe" wcześniej cenzura nie dopuszczała do druku. Zaczynał się on od słów:

Ty matko
nie miej mi za złe
żem gbur
cham
czasami zwyczajne bydlę
Nie nadaję się na wzór
dla dorastającej młodzieży
Ja chętnie roztapiam się
w kącie zaplutej knajpy
patrzę
patrzę.

A obserwatorem był bystrym, co nie mogło się wszystkim podobać. I nie spodobało się np. redakcji „Litieraturnej gaziety", w której niejaki Gawriłow, rozprawiwszy się z prozą Marka Hłaski, wytknął Drozdowskiemu, że zapomniał o tym, iż sportretowaną przez niego w wierszu młodocianą prostytutkę „spotkał na ulicach nowej, odbudowanej Łodzi, a nie w czasach sanacji…". Generalnie jednak liczył na to, że błądzący poeta dzięki swemu „realistycznemu talentowi" przezwycięży „narzucone mu fałszywe koncepcje i poglądy".

Śmieszne to, ale w drugiej połowie lat 50. wciąż jeszcze z takimi i podobnymi im ocenami trzeba było się liczyć.

Ostał mi się wiór

Bohdan Drozdowski trzymał jednak w zanadrzu ważną kartę przetargową. Otóż cały ten bunt wobec PRL-owskiej rzeczywistości nie zachwiał jego afirmacji przodującego ustroju. Świetnie wyczuł to Przyboś, pisząc do niego po ukazaniu się tomu „Jest takie drzewo": „Głos Pana brzmi czysto, jest istotnie głosem poruszonego sumienia społecznego i socjalistycznego serca […]. Tak więc potwierdzam swoje wrażenie i sąd, to osiągnięcie, a również zaczyn na nową poezję społeczną – odkłamaną, prawdziwą. A trzeba niemało odwagi i niezdrętwiałego broniewszczyzną serca, żeby tworzyć tak jak Pan, wiersze społeczne – trafiające do sumień". Wtórował takiej ocenie Włodzimierz Maciąg: „Świeżość i autentyczność reakcji dają wierszom Drozdowskiego wartość prawdziwej troski społecznej, wartość buntu przeciw obłudzie i milczeniu". Z całą pewnością te mówiące wprost, niekiedy brutalne wiersze Drozdowskiego – młodego poety partyjnego – wpisywały się w październikową odnowę lepiej niż utwory Adama Ważyka, któremu młody partyjny poeta miał za złe napisanie „Poematu dla dorosłych", a już zwłaszcza to, że został „staraniem klakierów i fałszerzy" – jak to określił – mianowany „ojcem polskiej destalinizacji". To Ważyk, wespół z Jakubem Bermanem, miał w czasach stalinowskich monopol na posiadanie prawdy absolutnej – przypominał Drozdowski, by zaraz dodać, że dzielnie stawiał mu czoło nie kto inny, jak… Jerzy Putrament. „Tak jest, Putrament wychodzi nagle z tamtych lat na człowieka odważnego, myślącego szerzej od pozostałych, odważnego w ataku i obronie wartości atakowanych przez resztę doktrynerów, potem tak gwałtownie przepoczwarzonych" – ciągnął dalej tę pokrętną konstrukcję myślową.

A w „Drugiej połowie wieku" tak pisał:

Cóż to za czas towarzysze
gdy brąz jak śnieg się topi
gdy wiatr pomnikami kołysze
i nic nie pojmują chłopi
Cóż to za czas towarzysze
Cóż to za czas przyjaciele
gdy schodzi śród nas chwila baśni
gdy efektowni minstrele
nic nie potrafią wyjaśnić
cóż to za czas przyjaciele
Cóż to za czas o łagodni
Miałem ci ja czapkę z piór
złoty miałem róg
lecz fałszywy dął weń bóg
ostał mi się wiór
Ziemia nie jest piłką futbolową
ziemię podbija się głową
Uderzyłem lecz kłamią słowa
potoczyła się moja głowa
potoczyła się z pochyłości
za nią wszystkie moje naiwności
potoczyły się poturlały
puste ręce
puste ręce zostały.

Szczyty bezczelności

Miał trudną biografię. Urodził się w 1931 r. w Kosowie Poleskim. Mieszkał z rodzicami, a potem już tylko z matką w Starachowicach (ojca, po gehennie, którą ten były wojskowy przeżył na Wschodzie, zobaczyć miał dopiero po wielu latach). W 1944 r. wywieziony

eprasa.pl d8ca3081f8

został do obozów pracy w Niemczech, skąd wrócił do kraju dwa lata później. Na chleb zarabiał jako robotnik; był m.in. tokarzem metalowym i nawijaczem silników elektrycznych. W 1950 r. ukończył Wydział Mechaniczny Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach. Zaczął współpracę z gazetami jako korespondent robotniczy, zadebiutował także jako tłumacz wierszy samego Michaiła Isakowskiego, wydrukowanych w dzienniku „Wolność". Maturę zdał w wieczorówce w Jeleniej Górze w roku 1952 i rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Łódzkim, zakończone dyplomem uzyskanym pięć lat później, tyle że już na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Po sławnej „Prapremierze pięciu poetów" zakotwiczył się w „Życiu Literackim", gdzie prowadził dział reportażu. Po przeprowadzce do Warszawy związał się ze „Współczesnością", w której był zastępcą redaktora naczelnego, a pod koniec, krótko, naczelnym. Wreszcie w 1966 r. wyjechał do Londynu, by objąć stanowisko wicedyrektora Instytutu Kultury Polskiej. I to wydawało się ukoronowaniem jego, jakże charakterystycznej dla tamtego czasu, kariery literackiej (z polityką w tle).

Jadąc do Anglii, był już autorem znanym i uznanym. Publikował kolejne tomy wierszy (m.in. „Moja Polska", „Południe i cień", „Skarga do syna"), powieści („Pasje Armina Laskowicza", „Manewr: ucieczka w słońce"), współtworzył scenariusz do filmu „Koniec nocy" (razem z m.in. Markiem Hłaską), publikował opowieści reporterskie, próbował także sił jako dramaturg. Napisany przez niego „Kondukt" stał się najbardziej znaną jego sztuką, a także najgłośniejszą ze zgoła niepisarskich powodów.

Zajrzyjmy w tym miejscu do „Dzienników politycznych" Mieczysława F. Rakowskiego. 3 grudnia 1961 r. zapisał w nich: „Trwa awantura wokół reportażu Rysia [Kapuścińskiego] pt. »Sztywny«, opublikowanego swego czasu w »Polityce«. Bohdan Drozdowski napisał chwaloną przez krytyków teatralnych sztukę pt. »Kondukt«, która jest niemal dosłownie zerżnięta z reportażu. Rysiek zaprotestował na naszych łamach. Drozdowski nadesłał list do redakcji, w którym odrzucił jego uzasadnione pretensje. Z bezczelnych wywodów wynika, że wolno zrzynać z cudzego reportażu, jeśli nie jest on zaopatrzony podtytułem »opowiadanie«, i że nie wiedziałby w ogóle o istnieniu »Sztywnego«, gdyby Kapuściński sam go o tym nie poinformował. Drozdowski zwyczajnie kręci, ponieważ wcześniej, nim sprawa plagiatu wyszła na jaw, na swoim tomiku wierszy napisał dedykację – »Drogiemu Ryśkowi, utajonemu współautorowi mojej najlepszej (dotychczas), bo jedynej sztuki «Kondukt» z serdecznościami zupełnie «Sztywny» z zimna – Drozdowski 14 V 61 r.«.



Kadr ze spektaklu Teatru Telewizji „Ostatni" Bohdana Drozdowskiego FOT. TVP/PAP

Zimno było wtedy rzeczywiście jak diabli. W związku z tym, że w obronie Drozdowskiego wystąpili różni panowie, tzw. twórcy, wydrukowaliśmy fragmenty »Sztywnego«, a obok »Konduktu«. Drozdowski dosłownie przepisał całe fragmenty. Z reakcji jego obrońców wynika, że twórca to coś więcej niż dziennikarz-reporter, a więc ma prawo do posługiwania się jego twórczością. Szczyty bezczelności. Rysiek oddał sprawę do sądu".

Tak widział tę sprawę szef „Polityki", która – jakżeby inaczej – stała murem za swym redakcyjnym kolegą. Na szczęście to nie redakcja, choćby nie wiem jak opiniotwórczego, pisma wydawała wyroki. Od tego był sąd, a ten zdania „Polityki" nie podzielił, plagiatu się nie dopatrzył i sprawę umorzył. Drozdowski czuł się niewinny, po kolei zagłębiając się w szczegółach, wykazując przeinaczenia i manipulacje, które znalazły się w oskarżeniu. Cała historia miała żywot niezwykle długi, ciągnęła się jak tasiemiec, a po latach odgrzebała ją „Gazeta Wyborcza", powierzając Mariuszowi Szczygłowi powtórne napiętnowanie Drozdowskiego, co też usiłował on zrobić w „Portrecie reportera", wydrukowanym w styczniu 2008 r. na kolumnach „Dużego Formatu". Za decydujący argument autor tego tekstu uznał zdanie… Antoniego Słonimskiego, a ten akurat oświadczył, że uważa „Kondukt" Drozdowskiego za plagiat. No a jeśli już taki autorytet raczył się wypowiedzieć, to nie ma dalej o czym dyskutować, bo – jak powszechnie wiadomo – sąd sądem, a sprawiedliwość jest po naszej stronie. Jest, bo być musi. Przy okazji chodziło też o obronę czci reporterskiej i pisarskiej Kapuścińskiego, akurat podważanej, i to z różnych stron.

„Konduktowi" już jednak nic nie mogło pomóc. Dyrektorzy teatrów bali się sztukę wystawiać i tak stał się on środowiskową legendą. Tylko.

Wróg wciąż czyha

Po aferze z „Konduktem" salon wyklął Drozdowskiego. Odtąd jego książki z rzadka doczekiwały się recenzji, milczano nawet o tych tytułach, które osiągały sukces czytelniczy. Tak było m.in. z napisaną po pobycie w Anglii powieścią „Stare srebra", tak było z książką „Arnhem – ciemne światło" czy z „Albionem od środka". A jeśli już o autorze pisano, to wyłącznie po to, by wytknąć mu takie czy inne niedociągnięcia, zawsze nad miarę wyolbrzymiane.

Drozdowski pisał jednak dalej i to niemało, tłumacząc m.in. Szekspira. Wydawał też, pod pseudonimami, książki, rzec można, z nieco niższej półki, wśród których „Bastard", podpisany przez „Sebastiana Losta", okazał się bestsellerem.

Kierował także Bohdan Drozdowski, od 1972 r., miesięcznikiem „Poezja". A że redaktorem był dobrym, pismo osiągnęło kilkudziesięciotysięczny nakład, co dziś wydaje się czymś absolutnie niewiarygodnym. Osoba redaktora naczelnego była wprawdzie kamieniem obrazy dla umoczonych w stalinizm pisarzy, którzy nagle stali się opozycjonistami, ale dopóki jeszcze istniały po temu warunki, dopóty godzili się z tą sytuacją. Do czasu…

Wiosną 1986 r. kolejne dwa numery „Poezji" stały się sensacją. Mocno, po nazwisku, opierając się na protokołach z posiedzeń sekcji poezji Związku Literatów Polskich, przypomniano koryfeuszom literatury, co ci wygadywali (i wypisywali!) w ponurych czasach stalinizmu. Nazwiska dwóch Bohdanów – Drozdowskiego i jego zastępcy w „Poezji", Urbankowskiego – odmieniane były przez

eprasa.pl d8ca3081f8

wszystkie przypadki. A miesięcznikowi wróżono rychły koniec.

Tak też się stało. Pomieszczony w „Poezji" artykuł „W rozdartym świecie", zarys przyszłej sławnej „Czerwonej mszy, czyli uśmiechu Stalina" Bohdana Urbankowskiego, zdyskredytowany został nie tylko przez środowiska antykomunistyczne, lecz także samą „Trybunę Ludu", na łamach której 26 czerwca 1986 r. w tekście „Niebezpieczne scalanie świata" ukryty pod inicjałami autor nazwał go szkodliwą polityczną publikacją prezentującą „antysocjalistyczną i nacjonalistyczną wizję dziejów Polski i powojennego życia literackiego. Wydział Kultury KC PZPR przyjął rezygnację ze stanowiska redaktora naczelnego »Poezji« Bohdana Drozdowskiego i odwołał jego zastępcę Urbankowskiego".

Niewiele później, bo w 1988 r., ten sam tandem: Bohdan Drozdowski – Bohdan Urbankowski wydał sążnistą, dwutomową antologię polskiej poezji od 1939 r.: „Od Staffa do Wojaczka". Wiktor Woroszylski, jeden z antybohaterów publicystyki Drozdowskiego, w swoich „Dziennikach" napisał wtedy: „Jest tam pokaźny zestaw moich wierszy z różnych okresów, ale chodzi o jeden, na początku – cała reszta po to, żeby umieścić ten – »Czuwającym w noc noworoczną« (moje »Towarzyszom z bezpieczeństwa« z roku 1949). Skur..syny!".

Cóż, w wierszu tym, zdobiącym „Pierwszą linię pokoju", tom Woroszylskiego z 1951 r., można było przeczytać:

Młodym –
aby rośli, dojrzewali.
Ojczyźnie –
socjalistycznego szczęścia.
No, a czego
mam dziś życzyć
wam,
towarzysze
ze Służby Bezpieczeństwa?
Noc noworoczna,
jak to noc,
cicha.
Księżyc, obłoczki – czyż im nie ufać?
Ale wróg w tę noc,
jak i w inne, czyha.
I wam w tę noc
jak we wszystkie –
czuwać.
Towarzysze moi,
silni i twardzi,
przyjaciele moi,
niezawodni i pewni –
wybrano was,
najlepszych z klasy i partii,
byście Rewolucji, jak córki, strzegli.



Zachowanie rewolucyjnej czujności przetrwało swoją epokę. Trudno uznać za przypadek, że zdarzyły się opracowania, w których słynna prezentacja pięciu poetów w „Życiu Literackim" z 1955 r. ma już tylko czterech bohaterów. Jednego z nich postanowiono wygumkować.

Piekło piekłem

Bohdan Drozdowski zmarł w 2013 r. Dwa lata wcześniej zdążył wydać autobiografię „Tańczący z duchami albo kondukt sztywnych". Ciekawą, po dawnemu zadziorną, choć przebija z niej niekiedy nieobecny dawniej duch rezygnacji, jak zawsze introwertyczną, rzadko sprawiedliwą. Potwierdza ona diagnozę Piotra Kuncewicza z „Agonii i nadziei", że autor ten popadał „nieustannie w niekończące się konflikty, na ogół przez siebie prowokowane". Taką już miał „osobliwość charakterologiczną". Ale miał talent, w przeciwieństwie do jakże wielu swoich wrogów, którzy nie potrafili zdobyć się wobec niego „na bodaj elementarną – jak pisał Kuncewicz – sprawiedliwość i obiektywizm. [...] takiej dobrej roboty, w każdym gatunku literackim, który uprawiał, jest przecież wcale niemało".

Wśród dowodów na prawdziwość tych słów znajduje się wiersz: „Żyd I":

A ty nie patrz tak na mnie Żydzie
cóż ci rzec mam Niebo jest niebem
piekło piekłem bez złud bez zwidzeń
ksiądz powiedział powiedział rebe
Więc ty nie patrz tak na mnie Żydzie
tymi swymi oczami – węglami
Tam spójrz Chrystus Żyd dobry idzie
jesiennymi polami
Więc już nie patrz tak na mnie Żydzie
napluj na to co mówi rebe
zatłamsimy serc naszych bicie
przykryjemy się jednym niebem
ale przedtem uchlajmy się Żydzie
żeby nogi zmiękły w kolanach
Żeby w gardłach ugrzęzło wycie
Pan nie lubi gdy wyć na Pana.

Przez literacką „grupę trzymającą władzę" przyjęty został „Żyd I" jak najgorzej. Naturalnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8



Nikołaj Newrew „Iwan Groźny i opryczniccy”

FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Rosja i Mordor

Rusofilom ku przestrodze

Zaginione kroniki Mordoru” – równie dobrze tak mogłaby się nazywać ta książka. Piotr Gursztyn opowiada dzieje krainy, w której królowały upodlenie, służalczość, obłuda, szowinizm, złodziejstwo, terror. Gdzie „każdy depcze drugiego albo też na odwrót jest deptanym”, a jedno z porzekadeł głosi z dumą, że „prawdą się nie najesz”. Mieszkające tu nieokrzesane istoty patrzą na nieznajomych z nieufnością. Mordor ten istnieje i jest nim oczywiście nasz wschodni sąsiad, mówiący sam o sobie, że jest „cywilizacją sakralną”.

Wielu z nas, widząc zachowanie rosyjskiego społeczeństwa w czasie inwazji na Ukrainę, zadawało sobie pytanie o źródła tego zdziczenia. Skąd te grabieże, nie tyle nawet kosztowności, ile pościeli i pralek? Skąd cerkiewne pochwały mordów, nawoływania do likwidacji narodowości ukraińskiej? I z czego wynika to powszechne, z wyjątkiem garstki protestujących, uwielbienie dla Putina? Gursztyn próbuje na to odpowiedzieć, sięgając głęboko w dzieje, gdy płowowłosi wojowie ze Skandynawii zakładali pierwszą rosyjską dynastię Rurykowiczów. Prowadzi nas przez Ruś Jarosława Mądrego, straszny w skutkach najazd Mongołów, przez czas, gdy z mrowia ruskich księstewek wykluła się Moskwa. Opisuje przełom wieków XV i XVI, gdy generowano kulturowy kod Rosji oparty na idei Trzeciego Rzymu, samodzierżawia, izolacji, poddaństwa. Analizuje niby-oświeceniowe reformy Piotra Wielkiego, Rosję późnych Romanowów, bolszewików, enkawudzistów. Dowiemy się, skąd w Rosji jak na lekarstwo jest zabytkowych siedzib rodowych, dlaczego tamtejsi arystokraci nie szczycili się herbami. A także dlaczego tak mało jest tam nazwisk toponimicznych i co sprawiło, że Rosjanie gięli kark przed gnębiącymi ich Tatarami, chętnie stając w tym samym momencie do boju z cywilizacją łacińską.

Autor prowadzi wykład w dwóch konwencjach. W każdym rozdziale przedstawia najpierw dzieje polityczne, by potem ukazać, jak owe przemiany wpłynęły na dzisiejszą rosyjską mentalność. Rozprawia się przy tym z kilkoma uogólnieniami dotyczącymi dziejów Rosji, rzucając nawet rękawicę zwolennikom Feliksa Konecznego. Moskwa nie jest zatem cywilizacją bizantyjską. Bizantyjczycy bowiem nie bali się świata, Zachód mieli za dzicz, ale cały czas byli z nim w kontakcie, podróżując doń, przyjmując rzesze kupców i koniec końców uciekając przed Turkami do łacinników właśnie, a nie Moskali. Inne było tam poczucie własności, wbrew zamiarom basileusów nie było samodzierżawia. Przeciętny bizantyjski ksiądz górował intelektualnie nad batiuszką, który był na bakier nie tylko z greką, lecz także z podstawowymi prawdami wiary.

Moskwa nie skopiowała też ustroju tatarskiego, bo krymscy chanowie bardziej jednak liczyli się ze swoimi poddanymi. Reformy XVIII-wiecznych carów dotykały tylko ułamka społeczeństwa. Nie jest też prawdą, że rosyjski lud w godzinie próby stanął za oficjalną Cerkwią. Ta, w wyniku jej podporządkowania urzędnikom, przez przeciętnego mużyka uznawana była bowiem za instytucję wyzyskującą, zeświecczoną i niewiarygodną. Stalinizm i putinizm autor uznaje za kontynuację samodzierżawia. Kołchozy zaś to nowe wcielenie przymusowych wiejskich gromad mirów z XIX w.

Gursztyn nie wyssał opisów rosyjskiej mentalności z jezuickiego palca. Jego książka okraszona jest setkami cytatów z rosyjskich władców, dyplomatów, pisarzy, zachodnich podróżników, badaczy, sowietologów. Miejmy nadzieję, że przeczytają ją rodzimi głosiciele tezy o Rosji – „nosicielce konserwatywnych wartości”. ©℗

Jakub Ostromęcki



PIOTR GURSZTYN
„DLACZEGO ROSJANIE SĄ INNI? HISTORIA MENTALNOŚCI ROSYJSKIEJ”
WYDAWNICTWO
DIECEZJI SIEDLECKIEJ UNITAS

eprasa.pl d8ca3081f8

Ciche bohaterki

Historia zapamiętuje przede wszystkim tych, którzy z bronią w ręku stali w pierwszym szeregu, tuż przed liniami wroga. Wielkie opowieści nie zaczynają się przecież od opisu cerowania bielizny czy obierania ziemniaków, a jednak – jeśli się nad tym lepiej zastanowić – bez osób wykonujących takie prozaiczne zajęcia nie dałoby się prowadzić działań wojennych. Bo czy żołnierz strzegący frontu przed nieprzyjacielem ma czas i sposobność osuszyć odzież i ugotować sobie posiłek?

Pomoc Żołnierzowi była organizacją zrzeszającą (głównie) kobiety, które, mając często nad głowami, podobnie jak żołnierze, świszczące kule, zajmowały się prowadzeniem gospód i świetlic żołnierskich. Gotowały, prały, wysłuchiwały opowieści i traum, były jak matki i siostry. Ich działalność była szczególnie istotna podczas powstania warszawskiego, kiedy miasto zostało odcięte od świata, a dla żołnierzy jedyną namiastką normalności stały się gospody prowadzone przez „peżetki".

Zadania organizacji Pomoc Żołnierzowi, jak pisze autorka, określił w marcu 1943 r. gen. Stefan Rowecki: „W czasie konspiracji PŻ powinna skoncentrować się przede wszystkim na szkoleniu kadry instruktorskiej, wsparciu oddziałów partyzanckich, organizowaniu współpracy ze społeczeństwem, opiece nad rannymi, chorymi, inwalidami, jeńcami, więźniami oraz ich rodzinami. Natomiast podczas Powstania – organizować i prowadzić gospody żołnierskie […], mające wychowawczo oddziaływać na walczących, kształtować nastroje i postawy oraz utrzymywać wolę walki".

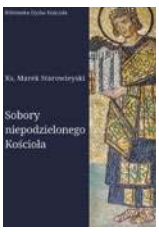
„Peżetki" były kobietami nieco starszymi niż większość powstańców. Agnieszka Cubała zwraca uwagę na to, że część z nich miała doświadczenie wojskowe sprzed drugiej wojny światowej, należąc do POW, a później biorąc udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Jednocześnie były to kobiety pochodzące nierzadko z wyższych sfer, posiadające dobre wykształcenie. Nie było to bez znaczenia, ponieważ oprócz gotowania żołnierzom „peżetki" miały ich wspierać, zachęcać do lektury książek, organizować odczyty, koncerty. Praca, którą wykonywały jest nie do przecenienia, choć pozostają one mało znane, stojąc w cieniu innych kobiet – powstańców: sanitariuszek czy łączniczek. „Peżetki" również całkowicie poświęciły się misji; wiele z nich zginęło w czasie powstania. ©℗ ***Anna Szczepańska***



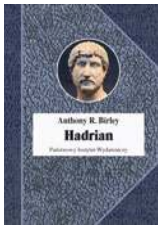
AGNIESZKA CUBAŁA
„PEŻETKI '44. POWSTAŃCZE HISTORIE KOBIET ZE SŁUŻBY POMOC ŻOŁNIERZOWI"
MOJE KSIĄŻKI

Niepodzieleni chrześciajnie

Podziały między katolicyzmem, prawosławiem i protestantyzmem, a zwłaszcza pomiędzy tymi dwoma pierwszymi wyznaniami chrześcijańskimi, sięgają tak daleko w głąb historii, że prawie już zapominamy, iż Kościół stanowił niegdyś niepodzielną jedność. Czy wiemy np., kiedy i w jaki sposób powstało Credo? Ksiądz profesor przypomina o korzeniach wiary, której teologiczne podstawy budowano na pierwszych soborach. Ich postanowienia, poczynając od pierwszego soboru w Nicei w 325 r., obowiązują do dziś. ©℗ ***(a.s.)***



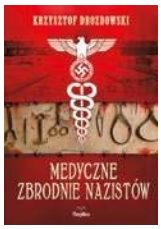
MAREK STAROWIEYSKI
„SOBORY NIEPODZIELONEGO KOŚCIOŁA"
WYDAWNICTWO M



ANTHONY R. BIRLEY
„HADRIAN. CESARZ NIESTRUDZONY"
PIW

DOBRY CESARZ

Hadrian znany jest jako budowniczy wału, nazwanego jego imieniem, miłośnik i mecenas sztuki, który pielęgnował dziedzictwo starożytnych Grecji i Egiptu. Zrobił jednak dla imperium znaczenie więcej. Zaliczany jest w poczet tzw. pięciu dobrych cesarzy, a przez niektórych historyków traktowany nawet jako najlepszy władca Cesarstwa Rzymskiego. Klasyczna praca brytyjskiego historyka starożytności. ©℗ ***(a.s.)***



KRZYSZTOF DROZDOWSKI
„MEDYCZNE ZBRODNIE NAZISTÓW"
REPLIKA

DIABŁY W KITLACH

Heinrich Himmler zupełnie wprost napisał w 1942 r., że będzie „uważał za prawdziwych zdrajców ojczyzny, wszystkich, którzy od dziś będą sprzeciwiać się eksperymentom na istotach ludzkich". To podejście szefa SS widać było w podległych mu obozach koncentracyjnych, gdzie przeprowadzano na więźniach iście diabelskie eksperymenty. ©℗ ***(p.w.)***



WIOLETTA WOŚ
„WANDA MADLER"
IPN

WIĘŹNIARKA NUMER 6010

Szkic biografii Wandy Madler, dyrektorki gimnazjów żeńskich. W niemieckim obozie w Ravensbrück otrzymała numer 6010. Była ofiarą eksperymentów pseudomedycznych. Włączyła się w tajne nauczanie. „KL Ravensbrück był jedynym obozem, w którym działalność edukacyjną prowadzono na tak szeroką skalę" – podkreśla autorka. ***(t.s.)***

eprasa.pl d8ca3081f8



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Włoskim okiem

Wśród źródeł wykorzystywanych w opisie dyplomatycznej katastrofy września 1939 r. pamiętniki hrabiego Galeazzo Ciano, ministra spraw zagranicznych u Mussoliniego, a prywatnie także jego zięcia, należą do najczęściej wykorzystywanych. Wdowa opublikowała je niemal natychmiast po wojnie, są więc szeroko znane i wielokrotnie cytowane. Co niby można by tam znaleźć, na co historycy jeszcze nie zwrócili uwagi?

Otóż można. W zapiskach z wizyty, którą złożył w Polsce w lutym 1939 r., dominuje ton zdziwienia. Po pierwsze – bardzo serdeczne przyjęcie ze strony polskiej młodzieży akademickiej, która spontanicznie urządziła pod ambasadą włoską wielką owację na cześć gościa i jego teścia. Może było to dzieło organizacji narodowo-radykalnych, dla których faszystowskie Włochy były w tym czasie natchnieniem. A może – sanacyjnego „ozonu", Obozu Zjednoczenia Narodowego, czerpiącego z tego samego natchnienia i kopiującego włoski przykład jeden do jednego. W każdym razie entuzjazm ten zwrócił uwagę włoskiego ministra, podobnie jak wiele polskich gestów przyjaźni wobec Włoch. Ale, z drugiej strony, odnotował Ciano równie gorącą, żywiołową niechęć Polaków do Niemców. Niemalże ci sami, którzy manifestowali swe sympatie dla Mussoliniego, chwilę wcześniej obrzucili kamieniami ambasadę Hitlera. „Polska, wbrew wszystkim wysiłkom Becka, jest zasadniczo i z natury antyniemiecka. Jej tradycja, instynkt i interesy przeciwstawiają ją Niemcom".

Ze wspólnej polsko-włoskiej ekspansji zostały nici. Ze zwycięstwa nad Niemcami i bolszewikami, które miało uczynić Polskę potęgą, też nic nie wyszło

Rzecz w tym, że interesy, a także „instynkty" Włoch były zasadniczo inne – wiązały je z Niemcami, czego Ciano nie ukrywał, bo uważał ten sojusz za oczywisty. Polskie oczekiwania, że Włosi porzucą niemieckiego alianta, by wesprzeć przeciwko niemu Polskę, tylko dlatego, że Polacy Włochów lubią i serdecznie im to okazują, odnotował jako fragment jakiejś gry, której nie rozumie i nad którą musi się dłużej zastanowić. O co może chodzić Beckowi i jego urzędnikom, uparcie kuszącym Włochy współpracą przy zdobywaniu nowych zamorskich kolonii, w sytuacji gdy dojrzewa konflikt u ich granic, konflikt, w którym – dla Ciano było to oczywiste, choć nie był orłem na miarę Talleyranda czy Oxenstierny – Polska musi podjąć decyzję kluczową dla jej przetrwania?

Ostatecznie, przekonawszy się, że Polska szykuje się do zbrojnej rozprawy z Niemcami, oznajmił szczerze, że „w Warszawie nikt nie może mieć złudzeń, że [w takiej sytuacji] staniemy po stronie Niemiec". Nieco później, już po powrocie do kraju, zanotował: „Są tylko dwie możliwości: albo zwycięży Oś, a wówczas Niemcy wchłoną Polskę, albo Oś zostanie pobita, a wówczas Polska stanie się prowincją bolszewicką". Podzielił się tymi uwagami z polskim ambasadorem w Rzymie, gen. Wieniawą-Długoszowskim: „Wieniawa przyznał mi, że w wielu kwestiach mam rację, ale on wierzy w ostateczne zwycięstwo, które uczyni Polskę potężną [...]. Obawiam się, że te złudzenia podziela wielu jego rodaków".

Beck wizytę Ciano zbył w swych zapiskach krótko: „Kiedy mówi o polityce wobec Niemców, boi się własnego cienia". I tak ze wspólnej polsko-włoskiej ekspansji zostały nici. Ze zwycięstwa nad Niemcami i bolszewikami, które miało uczynić Polskę potęgą, też nic nie wyszło. Wszyscy zresztą uczestnicy tych zdarzeń – i Ciano, i Beck, i Wieniawa-Długoszowski – skończyć mieli już niedługo marnie. Tylko irracjonalna sympatia Polaków do „makaroniarzy", choćby podszyta poczuciem wyższości, przetrwała dziejowy kataklizm. ©℗

eprasa.pl d8ca3081f8



/ Felieton

Jak sztukasy wykończyły Hitlera

Piotr Semka

Dlaczego Luftwaffe Hitlera nie posiadała floty bombowców strategicznych dalekiego zasięgu? To pytanie stawia w swojej najnowszej książce pt. „Wojna powietrzna nad Europą 1939–1945" niemiecki historyk Harald Fritz Potempa. Streszcza ją niemiecki dziennik „Die Welt".

Jak wskazuje Potempa, w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych podczas drugiej wojny światowej Luftwaffe nie posiadała maszyn zdolnych do strategicznej walki powietrznej. Przyczyniło się to do pierwszej poważnej klęski Hitlera w wojnie, czyli przegranej w bitwie o Anglię. Pomimo znacznej przewagi Niemców nad Brytyjczykami pod względem liczby samolotów Luftwaffe nie zdołała uzyskać dominacji powietrznej nad kanałem La Manche i nad południową Anglią. A to z kolei uniemożliwiło przeprowadzenie operacji „Lew Morski", czyli inwazji na Wyspy Brytyjskie.

Jakie były przyczyny klęski Hitlera w wojnie powietrznej z Brytyjczykami? Oczywiście część z nich nie miała nic wspólnego z bombowcami strategicznymi. Po pierwsze, niemieckie dowództwo nie doceniło możliwości brytyjskiego przemysłu lotniczego. Po drugie, brytyjskie radary doskonale pomagały wykrywać w odpowiednim czasie niemieckie samoloty. Po trzecie, brytyjski wywiad złamał kod Luftwaffe. Po czwarte wreszcie, zestrzeleni piloci RAF lądowali na swojej ziemi, a ich przeciwnicy z Luftwaffe po wylądowaniu byli brani do niewoli (o ile przeżyli).

Ale znacznie istotniejszy według Potempy był rozkład samolotów we flocie Luftwaffe. Podstawowym niemieckim bombowcem był w tym czasie dwusilnikowy Heinkel He 111. Był on stosunkowo niewielki, jeżeli porównamy go do ogromnych brytyjskich bombowców typu Avro Lancester czy amerykańskich latających fortec B-17. Heinkle miały słabe opancerzenie, gorsze uzbrojenie i mniejszy zasięg (tylko 1200 km) niż ich alianccy rywale. Co bardzo istotne, Heinkel He 111 mógł zabrać na pokład tylko dwie tony bomb. Niemcy nie posiadali też odpowiednich myśliwców eskortowych. Podstawowy samolot myśliwski Luftwaffe, czyli Messerschmitt Bf 109, musiał wracać do bazy w północnej Francji po zaledwie 20 minutach walki nad Anglią. Z tego powodu niemieccy piloci nie byli nawet szkoleni w zakresie ochrony dużych formacji bombowców.

/ Słynny sztukas wspaniale sprawdził się w atakowaniu państw posiadających słabe lotnictwo, takich jak Polska, Belgia, Holandia czy Norwegia

Dlaczego Niemcy nie projektowali bombowców strategicznych mogących pokonywać bardzo długie trasy? Według Potempy zaważyła fascynacja Hitlera Junkersem Ju 87. Słynny sztukas wspaniale sprawdził się w atakowaniu państw posiadających słabe lotnictwo, takich jak Polska, Belgia, Holandia czy Norwegia. Hitler zażądał więc od niemieckich producentów, aby skupili się na wytwarzaniu bombowców nurkujących i myśliwców bombardujących. Odłożono na półkę projekty bombowców strategicznych o dużym zasięgu.

U Brytyjczyków sytuacja wyglądała odwrotnie. Doświadczenia wyniesione z bombardowania buntowników w koloniach (np. w Iraku czy w Afganistanie) upewniły ich, że takie działania powietrzne prowadzone na szeroką skalę potrafią zniszczyć morale przeciwnika. Dlatego pod koniec lat 30. na Wyspach powstały bombowce Handley Page Halifax – czterosilnikowe potwory zdolne do przenoszenia sześciu ton bomb na odległość 2000 km. Osiągi Halifaxa przebił kolejny model – Avro 683 Lancaster – który mógł przenosić nawet 6,3 tony bomb na dystansie 2650 km.

A jak to wyglądało u Niemców? Dornier 19 nigdy nie wyszedł poza stadium prototypu, a i tak był w stanie przenosić jedynie 1,6 tony bomb. Heinkel He 277 był tak słabo zaprojektowany, że nawet nie wdrożono tej konstrukcji do produkcji seryjnej. Rojenia Hitlera o bombowcu strategicznym, który umiałby nurkować, okazały się technicznie niemożliwe do zrealizowania.

Gdy więc alianci dniami i nocami bombardowali w latach 1942–1945 niemieckie miasta, Hitler nie miał im czym się odpłacić. W końcu sięgnął po V-1 i V-2, ale stało się to tak późno, że niemieckie rakiety nie mogły już zmienić losów wojny. Sztukasy, które tak źle zapisały się w polskiej pamięci września 1939 r., pociągnęły Hitlera na dno. ©℗

eprasa.pl d8ca3081f8



„Wbijanie słupów granicznych na Łabie i Soławie w obecności Bolesława Chrobrego". Obraz Józefa Peszki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MATHIASREX MACIEJ SZCZEPAŃCZYK

XI w. / Walka o wpływy w regionie

Chrobry kontra Niemcy: I runda



Leszek Lubicki

To była pierwsza wojna polsko-niemiecka – w sensie państwowym – w naszych wspólnych dziejach. Henryk II robił wszystko, by rozpychający się w Europie Bolesław Chrobry ukorzył się przed nim

Wszystko zaczęło się w 1002 r., gdy po niespodziewanej śmierci 22-letniego cesarza Ottona III, tego, który zwał Chrobrego swoim przyjacielem, władzę przejął Henryk II, król niemiecki, a od roku 1014 cesarz rzymski. Nowy władca nie miał zamiaru, w przeciwieństwie do swojego poprzednika, traktować Słowian na równych prawach. Mało tego, po zjeździe w Merseburgu, w którym uczestniczył również Chrobry (przyznano mu wówczas prawa lenne do Łużyc i Milska), „nieznani sprawcy" dokonali zamachu na polskiego księcia. Na szczęście nieudanego. O dziwo, z opresji pomogli mu wtedy wyjść cało książę saski Bernard i margrabia bawarski Henryk ze Schweinfurtu. Bolesław nie miał wątpliwości, że zamach był dziełem Henryka, choć wszyscy z otoczenia tego ostatniego zaprzeczali. Polski książę wiedział, że idą zmiany i celem nowego niemieckiego władcy będzie dalsza ekspansja Niemiec ku wschodowi – Drang nach Osten.

Nie jest przedmiotem tej opowieści omawianie całego, trwającego do 1018 r. konfliktu zbrojnego pomiędzy władcami Niemiec i Polski, tylko rzucenie światła na to, jak to wszystko się zaczęło. To była pierwsza wojna polsko-niemiecka w sensie państwowym. Trwała z przerwami 15 lat. Wcześniej, za Mieszka I, dochodziło do konfliktów zbrojnych jedynie z poszczególnymi marchiami (m.in. słynna wygrana bitwa pod Cedynią w 972 r.), a nie z całym królestwem niemieckim.

Chrobry zdobywca

Śmierć Ottona III dała Chrobremu impuls do zmiany polityki. „Jej celem były nowe zdobycze terytorialne na zachodzie, południu i wschodzie. Dopatrywano się w tym chęci tworzenia rodzaju marchii, które na przedpolu łatwiejszych przejść granicznych strzec miały nienaruszalności terytorium państwowego Polski. Można się w tej polityce dopatrzeć także próby realizacji idei królestwa słowiańskiego, która – jak mamy prawo przypuszczać – była składnikiem

eprasa.pl d8ca3081f8

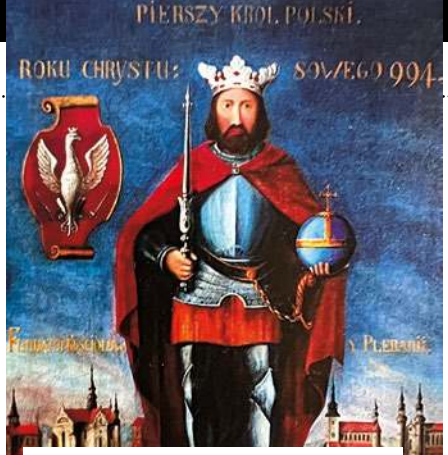
programu odnowy cesarstwa Ottona III" (Wyrozumski, 1984).

Tak też zapewne widział program polityczny Chrobrego nowy niemiecki władca. Zanim jednak Henryk II, późniejszy święty Kościoła katolickiego, został królem, po śmierci Ottona III musiał opanować kryzys wewnętrzny – przeciw sobie miał dosyć silną opozycję, która nie życzyła sobie jego władzy. „Chrobry nie czekał, aż się w Niemczech ułagodzi zamęt, wywołany bezkrólewiem. W maju 1002 roku przekroczył z wojskiem graniczny Bóbr i doszedł do Elstery, zajmując Marchię Miśnieńską, kraj niedawno zdobyty przez Niemców i dobrze jeszcze nasycony żywiołem słowiańskim. W ręku jego znalazły się Budziszyn, Strzała oraz sama Miśnia, której mieszkańcy zmusili załogę niemiecką do wyjścia z grodu. Również wielu rycerzy niemieckich uznało władzę Bolesława. Może byli to ci, którzy widzieli w nim prawowitego następcę Ottona III?" (Jasienica, 1985). Część panów wschodnioniemieckich nie była jednak zadowolona z umacniania się Polski na europejskiej arenie. Nowy król niemiecki także, więc konflikt był nieunikniony.

Doszły do tego zaraz potem nowe okoliczności. Przy pomocy Chrobrego władzę w Czechach obejmuje Bolesław III Rudy. „Czechy od kilku dziesięcioleci były ściśle związane politycznie i pod względem kościelnym z Niemcami [...]. Nic też dziwnego, że dla Henryka II państwo to było szczególnie ważnym czynnikiem politycznym, tym bardziej że silne Czechy stanowiły przeciwwagę wobec niebezpiecznie rozwijającej się potęgi Bolesława Chrobrego i jego państwa" (Strzelczyk, 2003).

Chrobry miał nadzieję, że zawdzięczający mu tron władca Czech będzie posłuszny jego politycznej myśli. Rudy tymczasem urządził „wielką rzeź swoich wrogów, a ocalałe resztki zwróciły się do Chrobrego o pomoc. W tych warunkach nastąpiła natychmiastowa interwencja polska" (Grabski, 2019). Zawiedziony Chrobry, gdy spostrzegł, „że książę czeski, nie bacząc na wcześniejsze umowy, zaczął porozumiewać się z królem niemieckim, został zaproszony do Polski. Tu Chrobry kazał go pojmać, oślepić i wtrącić do więzienia" (Barański, 2005).

Bolesław natychmiast wkracza do Pragi i opanowuje Czechy. Przejmuje



Dziewiętnastowieczna kopia najstarszego portretu Bolesława Chrobrego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

tron w Pradze jako suwerenny książę. Większość Czechów przyjęła go z zadowoleniem. Przypomnijmy – Chrobry był, po kądzieli, wnukiem szanowanego tam księcia Bolesława Srogiego. „Było to niezupełnie bezprawne – powiada Jerzy Strzelczyk. – W końcu przez matkę był spokrewniony z Przemyślidami, a w Pradze miał jakieś swoje stronnictwo, które go tam przecież wezwało. A że tak okrutnie postąpił z Bolesławem Rudym, to już inna sprawa. Zresztą przykładając do tego średniowieczną miarę, potraktował go honorowo, bo takie wówczas obowiązywały zasady eliminacji przeciwników z polityki – nie śmierć, tylko oślepienie i wygnanie" (Władcy, 2018). A jak podkreślił Paweł Jasienica, „aż do 1034 roku snuł się po Wawelu ślepy więzień odziany w książęce szaty i otaczany honorami".

Henryk zajęty był innymi sprawami. Jak zapisał saski kronikarz Thietmar, „uznał za najkorzystniejsze dla siebie wysłać posłów do Bolesława z następującą propozycją: jeżeli zgodzi się dzierżyć zajętą świeżo ziemię z jego łaski, jak tego wymaga stare prawo, oraz służyć mu wiernie pod każdym względem, to on uzna jego wolę w tej sprawie; jeżeli zaś nie, to wystąpi przeciw niemu z siłą zbrojną. Bolesław odrzucił powyższą propozycję z oburzeniem, choć słuszną była i należycie uzasadnioną".

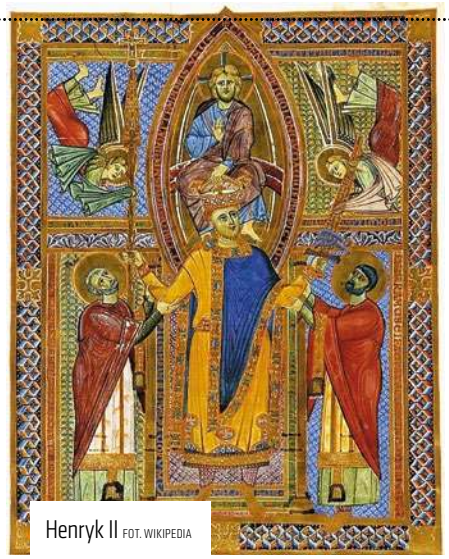
Chrobry twardo stoi na stanowisku, że Czechy muszą być niezależne od Niemiec. Słusznie bowiem zauważa Stanisław Zakrzewski, że „w dziejach Niemiec i Polski stanowcza odmowa Bolesława stanowi moment zasadniczy. Być może Chrobry zrozumiał, że nawet przyjęcie warunków Henryka nie ochroni go przed wojną, gdy się tylko sytuacja Henryka poprawi.



Średniowieczna baszta i mury obronne w Budziszynie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MONSTER4711

eprasa.pl d8ca3081f8



Henryk II FOT. WIKIPEDIA

Wolał więc może przyjąć wojnę od razu i wyzyskać trudności Henryka […]. Bądź co bądź, jasnym jest, że Bolesław pragnął Czechy posiadać na podstawie swego własnego prawa, tj. niepodległości od Niemiec". Drzwi do dyplomacji zostały zamknięte. A więc wojna.

Bratanie się z poganami

W tym czasie granice Polski oparły się już o Dunaj. „Od przejęcia władzy nad Łużycami, Milskiem i Czechami daleko jednak było do podsuwanej nieraz Bolesławowi Chrobremu idei tworzenia imperium zachodniosłowiańskiego. Z jednej strony ówczesne poszerzenie państwa piastowskiego było wynikiem zbiegu sprzyjających okoliczności, z drugiej zaś opierało się zapewne za każdym razem na zasadach prawa spadkowego […]. O wiele istotniejsze w dalszym biegu wydarzeń okazało się pytanie, czy ówczesne państwo Bolesława miało potencjał wystarczający do utrzymania owych nabytków" (Labuda, 2012).

W tym czasie potęga Chrobrego rosła z roku na rok, co musiało niepokoić niemieckiego króla. Musiał zatem znaleźć powód do wypowiedzenia wojny. Okazała się nim odmowa przyjęcia lenna z Czech. Chrobry miał nadzieję, że opozycja niemiecka wobec nowego króla pomoże mu w tym konflikcie. Jednak Henryk poradził sobie zbrojnie z wewnętrznymi wrogami zbyt szybko wobec oczekiwań Bolesława. A teraz jeszcze niemiecki władca zaczął szukać dodatkowych sprzymierzeńców. Najłatwiej było sięgnąć po pogańskich Wieletów. Nawet wielu panów saskich było oburzonych tym stanowiskiem Henryka. Oto chrześcijański król rusza walczyć z chrześcijańskim księciem wspomagany przez pogan, z którymi Sasi wojowali od wielu lat. Jednak pokonanie zaczątków możliwego imperium Chrobrego było dla Henryka ważniejsze niż trzymanie się zasady, by nie bratać się z poganami. Ten pogański związek słowiańskich Wieletów (Lucicków) miał „na pewno więcej porachunków z państwem Mieszka i Chrobrego niż tradycji wspólnej walki z »Teutonami« – tu więc o żadnym wspólnym słowiańskim froncie mowy być nie mogło. Pogańscy kapłani »błogosławili« latem 1004 roku w Merseburgu swoje oddziały idące na polskiego Bolesława z nie mniejszą gorliwością niż sascy biskupi swoich rycerzy" (Nowak, 2014).



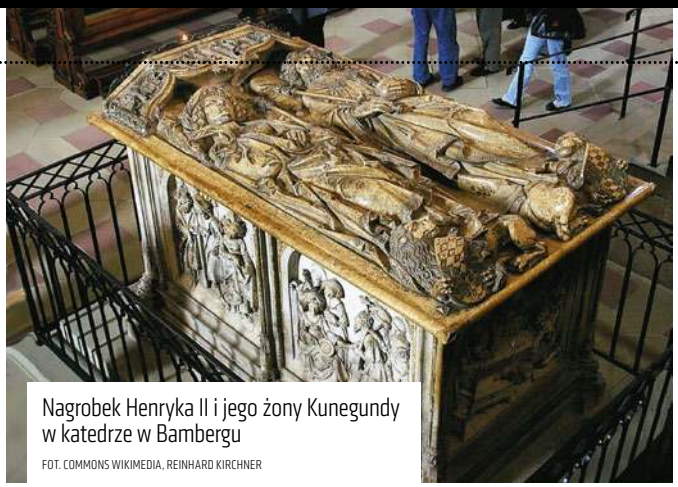
Michał Bylina „Bolesławowa drużyna" FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ten zaskakujący sojusz trwał kilkanaście lat. I prawdopodobnie właśnie dzięki pogańskim wojownikom w pierwszym etapie wojny zostały odbite z polskich rąk Milsko i Łużyce. Teraz jednak król niemiecki, ogłaszając wojnę z Polską, wykonuje taktyczny manewr. Kazał gromadzić łodzie do przeprawy przez Łabę. Jednak prawdziwym celem nie były polskie ziemie, tylko Czechy. Henryk zamierzał tam osadzić na tronie wygnanego wcześniej Przemyślidę Jaromira, młodszego brata oślepionego Bolesława Rudego, a wcześniej przez tegoż wykastrowanego. „Podstęp się udał i Chrobry został zaskoczony. Wkroczenie Niemców do Czech spowodowało, że Czesi masowo zaczęli przechodzić na stronę towarzyszącego Henrykowi Jaromira […]. Dla Henryka osadzenie na tronie czeskim Jaromira było dużym sukcesem. Jaromir natychmiast złożył hołd królowi i stał się jego wielkim sojusznikiem w walkach z Polską" (Barański, 2005).

Ratując się ucieczką, Chrobry zachował życie, jednak stracił Czechy, gdzie otwierano grody przed Henrykiem II i wyrzynano resztki polskich załóg. Uważa się, że jedną z przyczyn niechęci do polskiego władztwa była tradycyjna dla Czechów zmienność, ale przede wszystkim chodziło jednak o to, jak Polacy ich traktowali. Miejscowa ludność władanie Chrobrego po jakimś czasie zaczęła postrzegać jako okupację, a nie wspólne dążenie do budowy jednego państwa pod władzą polskiego księcia. „Związek polsko-czeski trwał tylko nieco

eprasa.pl d8ca3081f8

ponad rok. Okazało się, że i tu nabyta już osobna tożsamość, przynajmniej w kręgu możnowładczych elit, a także ich odrębne interesy powodowały, że książę Polski był tu obcy. I tu nie było materiału gotowego na budowę zachodniosłowiańskiego imperium. Czechy wolały być Czechami" (Nowak, 2014). Chrobry zachował jednak Morawy.



Nagrobek Henryka II i jego żony Kunegundy w katedrze w Bambergu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, REINHARD KIRCHNER

Zagrożony Poznań

Niepowodzenie Chrobrego w roku 1004 udowodniło, że polski władca nie jest jeszcze przygotowany – zarówno taktycznie, jak i mentalnie – do prowadzenia wojny z tak silnym przeciwnikiem. „Polski książę jednak zbierał dopiero doświadczenie w prowadzeniu wojny na wielką skalę. Na przydomek Chrobry – dzielny, odważny – musiał jeszcze zapracować" (Nowak, 2014). Niemniej nie była to ani całkowita klęska Chrobrego, ani też sukces Henryka II, ponieważ Niemiec nie osiągnął „zasadniczego celu, tj. rozbicia wojsk polskich, i w konsekwencji – pełnego uzależnienia państwa polskiego od Niemiec" (Grabski, 2019).

Dlatego w kolejnym roku król niemiecki ponownie zaatakował Polskę. Teraz już bezpośrednio uderza na Poznań, bez próby, jak wcześniej, dokonania fortelu. Do pomocy ma wspomnianych Wieletów, księcia Bawarii, a także wojska czeskiego księcia Jaromira. Chrobry miał po drugiej strony Odry wielu szpiegów, którzy donieśli mu na czas o marszu wrogich wojsk na jego kraj. Wysłał więc potajemnie łuczników, którzy już nad Szprewą zadawali wrogom liczne straty, jednak nie powstrzymało to atakujących. Bolesław zatem „postanowił powstrzymać wrogów na linii Odry. Zgromadził swe wojska na jej prawym brzegu, obsadził też dogodne przejścia przez rzekę. Strzegące przeprawy siły polskie były tak duże, że Henryk nie zdecydował się na forsowanie przeszkody. Przez następny tydzień obie armie stały naprzeciwko siebie" (Barański, 2005).

Jednak Niemcy przez swoich zwiadowców znaleźli niestrzeżone grody. Szybko się przeprawili, a zaskoczony polski władca nakazał odwrót. Wraz ze swoimi wojskami zamknął się w Poznaniu. Wróg jednak nie był w stanie zdobyć grodu, który zapewne był mocno ufortyfikowany. Długie oblężenie nie wchodziło w tych czasach w rachubę. Walki musiały być bardzo ciężkie, a straty Niemców i ich sprzymierzeńców poważne, w przeciwieństwie do strony polskiej. Trzeba było zatem znaleźć wyjście z tego impasu.

Posłuchajmy, co zapisał na ten temat saski kronikarz Thietmar: „Zatrzymał się dopiero [Henryk II – przyp. red.] na prośby swoich książąt o dwie mile od poznańskiego grodu. Wojsko jednak, które rozdzieliło się dla zebrania żywności i innych potrzebnych materiałów, poniosło wielkie straty od nieprzyjaciół, którzy zaatakowali je z zasadzki. Tymczasem Bolesław prosił króla o przebaczenie przez zaufanych pośredników i wnet je sobie wyjednał. Arcybiskup Tagino oraz inni mężowie z otoczenia króla udali się na zaproszenie Bolesława do wymienionego wyżej grodu i zawarli z nim pod przysięgą oraz na podstawie słusznych poprawek trwały pokój. Z radością tedy wracali nasi do domu, ponieważ wielkie znosili trudy wskutek długich marszów i dotkliwego głodu, nieodłącznych od przykrości wojny".



Pomnik Bolesława Chrobrego w Gnieźnie

FOT. LESZEK LUBICKI

Nie są nam znane warunki zawartego pokoju. „Niewątpliwie Chrobry musiał się zgodzić na utratę Milska i Łużyc. Nie doszło jednak do ukorzenia się polskiego księcia przed królem niemieckim, nie doszło nawet do ich bezpośredniego spotkania" (Barański, 2005).

Na koniec warto zwrócić uwagę na bardzo istotną kwestię. Jak pisze prof. Andrzej Nowak, „niemieccy władcy nigdy, przed czasem XVIII-wiecznych rozbiorów, nie wkroczyli zbrojnie do polskiej stolicy. Nie zdradzali też zamiarów podbicia polskiego państwa. Chcieli natomiast, by władcy Polski uznali ich zwierzchność. I przed tym, choć z poważnymi stratami terytorialnymi, Bolesław się obronił. Na pewno jednak chciał te straty odwojować. A Henryk chciał z kolei wymóc wreszcie prawdziwą kapitulację niepokornego władcy polskiego".

Kolejna wojna była zatem nieunikniona, gdyż jej pierwsza faza nie mogła zadowolić żadnej ze stron. Henryk co prawda odzyskał Milsko i Łużyce, wygnał z Pragi Chrobrego, osadzając tam oddanego sobie czeskiego księcia Jaromira, ale nie podporządkował Niemcom Polski. Za dwa lata, w 1007 r., pokój poznański zostanie za sprawą Henryka zerwany, a Bolesław Chrobry spróbuje odbić utracone teraz ziemie. Rozpocznie się druga faza trwającej 15 lat wojny niemiecko-polskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce"****, Warszawa 2005; Grabski A.F.,* ***„Polska sztuka wojenna za pierwszych Piastów"****, Oświęcim 2019; Jasienica P.,* ***„Polska Piastów"****, Warszawa 1985; Labuda G.,* ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej"****, Poznań 2012; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski"****, t. 1, Kraków 2014; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski"****, Warszawa 2018; Strzelczyk J.,* ***„Bolesław Chrobry"****, Poznań 2003; Wyrozumski J.,* ***„Historia Polski do roku 1505"****, Warszawa 1984; Zakrzewski S.,* ***„Bolesław Chrobry Wielki"****, Kraków 2024.*

ebrasa.pl 08c1308078



Gettysburg. Widok z Małego Okrągłego Szczytu w kierunku pozycji konfederackich

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ W GETTYSBURG NATIONAL MILITARY PARK

Pobojowiska i muzea wojny secesyjnej



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Krwawy konflikt z lat 1861–1865 jest wciąż żywy w pamięci Amerykanów, podzielonych w opiniach na ten temat. Widać to w miejscach pamięci

W ciągu stosunkowo krótkiej historii Stanów Zjednoczonych – licząc od Deklaracji niepodległości z 1776 r., to niespełna 250 lat – Amerykanie stoczyli wiele wojen. Świat pamięta przede wszystkim globalny konflikt z lat 1939–1945 oraz starcie z blokiem komunistycznym w drugiej połowie XX w., w których USA odegrały decydującą rolę. Tymczasem dla Amerykanów ważniejsza wydaje się wojna secesyjna, która ukształtowała współczesny naród. Pamięć o starciu Północy z Południem wciąż jest żywa. Tereny objęte niegdyś walkami znaczone są pomnikami, tablicami informacyjnymi i cmentarzami. W miejscach największych i najbardziej znanych bitew wybudowano muzea, które prezentują konflikt w kontekście społeczno-politycznym i ekonomicznym, podkreślając też jego koszty. Życie straciło ok. 750 tys. żołnierzy. To więcej niż wszystkie inne wojny łącznie z Wietnamem. Wiele miast zrównano z ziemią, a ogromne połacie kraju uległy całkowitemu spustoszeniu. Wojna była traumatycznym przeżyciem dla niemal całej amerykańskiej społeczności, ponieważ niewiele było rodzin, których członkowie nie byliby w nią w jakiś sposób uwikłani.

Muzea wojny secesyjnej prezentują jednak przede wszystkim dzieje militarne i to właśnie wydaje się najbardziej interesujące. Ich potencjał tkwi w ogromnej liczbie oryginalnych pamiątek, których gromadzenie zaczęło się jeszcze w czasie wojny. Wśród tych najcenniejszych są przedmioty związane z wybitnymi dowódcami, takimi jak Robert E. Lee, Thomas „Stonewall" Jackson czy Ulysses Grant; inne pochodzą natomiast od zwykłych żołnierzy. Wielu przedmiotom towarzyszą konkretne, fascynujące historie. Liczba rozmaitej broni i sprzętu z epoki jest imponująca, co doskonale ilustruje potencjał gospodarczy ówczesnej Ameryki. Przemysł odegrał jedną z najważniejszych ról w ostatecznym zwycięstwie Unii. Armia federalna, która w momencie rozpoczęcia walk liczyła zaledwie 16 tys. ludzi, przekształciła się w trakcie wojny w najliczniejsze i najlepiej wyposażone wojsko na świecie. Na wyobraźnię działają liczne artefakty odnalezione na pobojowiskach, przy czym kolekcja ta rośnie z każdym rokiem dzięki licznym projektom realizowanym w ramach archeologii militarnej.

W Gettysburgu

Najwięcej wrażeń wywołuje wizyta w Gettysburgu w Pensylwanii – miejscu jednej z najkrwawszych i najbardziej decydujących bitew. 1–3 lipca 1863 r. federalna Armia Potomaku gen. George'a Meade'a powstrzymała tu ofensywę konfederackiej Armii Północnej Wirginii gen. Roberta E. Lee. Siedem milionów pocisków karabinowych i artyleryjskich wystrzelonych w ciągu tych trzech dni spowodowało śmierć 11 tys. żołnierzy obu stron (40 tys. było rannych, zaginionych lub wziętych do niewoli). Ogromną wartością współczesnego Gettysburga jest nie tylko muzeum, lecz także pobojowisko objęte ochroną w ramach założonego w 1895 r. Gettysburg National Military Park. Na 24 km kw. odtworzono krajobraz z okresu bitwy i ustawiono 1,4 tys. pomników oraz tablic memoratywnych. Liczne schematy wyjaśniają taktyczne zawiłości tego gigantycznego starcia. Obowiązkowym punktem wycieczki jest wizyta na tzw. Małym Okrągłym Szczycie (Little Round Top), skąd roztacza się panorama pola bitwy. Sto sześćdziesiąt dwa lata temu miejsce to było świadkiem jednej z najbardziej

eprasa.pl d8ca3081f8

zażartych potyczek w całej wojnie. Skalistą stromiznę znajdującą się na lewym skrzydle federalnych szturmowali z pogardą śmierci piechurzy gen. Jamesa Longstreeta. Jankesi z 20. Pułku z Maine płk. Joshuy Chamberlaina stawili równie heroiczny opór. Walki z 2 lipca przeszły do amerykańskiej legendy.

Dzień później doszło do pamiętnej szarży brygady gen. George'a Picketta, będącej kulminacyjnym momentem zmagań. O tym, że był to rozkaz niewykonalny, można się przekonać, patrząc z pozycji konfederackich na odległy Grzbiet Cmentarny broniony wówczas przez artylerię i piechotę Unii. Atakujący zostali zdziesiątkowani. Właśnie ten fragment bitwy odtworzono z niebywałym pietyzmem na imponującej panoramie namalowanej przez francuskiego artystę Paula Philippoteauxa w 1884 r. Jest ona prezentowana w gettysburskim muzeum, którego zbiory liczą już milion obiektów inwentarzowych (Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie ma ich niespełna 300 tys.). Liczba broni, sprzętu, mundurów i sztandarów jest oszałamiająca, ale w pamięć zapadają też przedmioty niepozorne, choć ukazujące ludzki wymiar wojny. Jak kartka walentynkowa, którą w jednym z domów w Gettysburgu pozostawił konfederacki żołnierz, napisawszy uprzednio ołówkiem na odwrocie: „2 lipca 1863 roku; Panie Jankesie, twój dom wcale nie jest zniszczony w porównaniu z tym, co twój żołnierz zrobił we Fredericksburgu. Zabiłem tylko jedną gęś i zabrałem parę pończoch. Rebeliant".

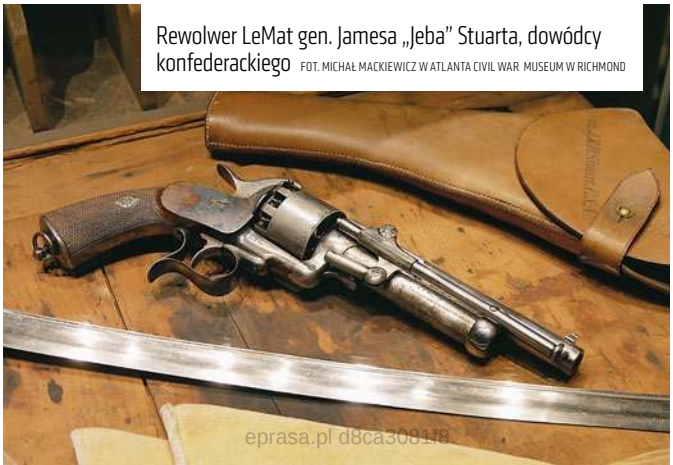
Wspomniany Fredericksburg w Wirginii nad rzeką Rappahannock zajęty został przez żołnierzy Unii 11 grudnia 1862 r. Pułki gen. Ambrose'a Burnside'a sforsowały rzekę po mostach pontonowych i wyparły obrońców z miasta. Potem, 13 grudnia, zaatakowały pozycje konfederatów na obrzeżach Fredericksburga. „Na każdej twarzy malował się wyraz powagi i przerażenia" – wspominał szeregowiec z 24. pułku piechoty z New Jersey. Rebelianci ukryci za kamiennym murkiem i wsparci artylerią ustawioną na Wzgórzach Marye'a zmasakrowali nacierających Jankesów w jednej z najstraszniejszych bitew wojny secesyjnej. Kilka bardzo ciekawych zabytków odnalezionych na pobojowisku eksponowanych jest w miejscowym muzeum. Sugestywną instalację tworzy m.in. szklana tuba z ponad 10 tys. pocisków Minié. Podpis informuje, że taką liczbę wystrzeliwano w ciągu zaledwie jednej minuty. O intensywności walk świadczy cudem ocalały niewielki domek (Innis House), którego drewniane ściany pokryte są przestrzelinami. Konfederacki gen. Lafayette McLaws napisał po bitwie, że w domu tym „nie było miejsca wielkości dwóch dłoni, które nie zostałoby przedziurawione".

Siodło gen. Lee

Wirginia była areną najbardziej zaciętych i długotrwałych walk, które często przybierały charakter pozycyjny. Stan usiany jest muzeami i pomnikami pamięci. W Richmond, które było siedzibą Jeffersona Davisa, prezydenta skonfederowanych stanów Południa, szczególnie warte odwiedzenia są ruiny Stalowni Tredegara, w których zaaranżowano kapitalną wystawę o wojnie secesyjnej. Fabryka dostarczała armii Południa m.in. sprzęt artyleryjski i płyty pancerne do budowy okrętów. Można tu obejrzeć oryginalne armaty, wiele pamiątek po legendarnych dowódcach (np. siodło gen. Lee) oraz przedmioty związane z kolorowymi żołnierzami walczącymi w szeregach Unii (w sumie zmobilizowano ich blisko 200 tys.; 40 tys. poległo). Są też 16-strzałowy karabin Henry'ego (protoplasta słynnego Winchestera), ozdobiony dedykacją dla płk. George'a Martina za udaną ewakuację prezydenta Davisa w trakcie walk o Richmond, a także konfederacka flaga, zabrana ze zdobytego miasta w charakterze pamiątki przez 12-letniego Thomasa „Tada" Lincolna, syna prezydenta USA.

Dla miłośników fortyfikacji prawdziwą gratkę stanowią liczne forty nadbrzeżne, z których część nosi ślady intensywnych walk. Do najbardziej znanych należy Fort Sumter w Południowej Karolinie, którego ostrzał, prowadzony przez konfederatów z nabrzeża Charleston, rozpoczął wojnę secesyjną (12 kwietnia 1861 r.). Walki mocno naruszyły jego strukturę, obecnie trwają tu intensywne prace konserwatorskie. Godny polecenia jest też Fort Pulaski, którego straszliwie postrzelane mury świadczą o potędze nowej artylerii gwintowanej. Z kolei w Forcie Macon w Północnej Karolinie, który siły Unii bombardowały z morza i lądu, prezentowana jest świetna wystawa o ówczesnej artylerii. Są liczne przekroje pocisków i zapalników oraz oryginalny sprzęt do obsługi dział. Część zabytków odnaleziono na pobojowisku.

Wojna secesyjna uznawana jest za jeden z pierwszych nowoczesnych konfliktów. W kampaniach lądowych ogromną rolę odegrały kolej i telegraf. Wiele taktycznych sukcesów zawdzięczano użyciu szybkostrzelnej broni odtylcowej (w tym wielostrzałowej) oraz artylerii gwintowanej. Natomiast w działaniach na morzu pojawiły się pancerniki, które zdeklasowały drewniane żaglowce. Symbolem tamtej rewolucji pozostaje starcie w zatoce Hampton Roads (9 marca 1862 r.), w którym konfederacki CSS „Merrimack" stał się z federalnym USS „Monitor". Czterogodzinna bitwa okazała się nierozstrzygnięta. Kilka miesięcy później „Monitor" zatonął w trakcie sztormu, a lokalizacja wraku pozostawała zagadką przez ponad 100 lat. Odnaleziono go dopiero w 1973 r. Od tamtej pory zrealizowano wiele ekspedycji archeologicznych i wydobyto na powierzchnię tysiące artefaktów – m.in. silnik parowy i obrotową wieżę artyleryjską wraz z dwoma 11-calowymi działami Dahlgrensa. Można je oglądać w Mariner's Museum w Newport News w Wirginii.



Rewolwer LeMat gen. Jamesa „Jeba" Stuarta, dowódcy konfederackiego FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ W ATLANTA CIVIL WAR MUSEUM W RICHMOND

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca308118



Annibale Carracci „Jedzący fasolę”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PALAZZO COLONNA FEDERICO ZERI FOUNDATION



Tymoteusz Pawłowski

W ramach mody, która kilka lat temu przyszła do Polski z Zachodu, znów – niczym za czasów PRL – historię rozpatruje się w sposób klasowy. Klasowo bywa nawet ukazywana historia polskiej kuchni, co jednak nie ma najmniejszego sensu

Stoły chłopskie i szlacheckie / Kuchenne tradycje

Od studni do lodówki

Skąd się wzięły śledzie po kaszubsku? Potrzebne jest oczywiście morze, ale nie takie zwykłe, dające rybę, tylko nieco bardziej specyficzne, z portem, do którego przypływają statki z dalekich krajów, przywożące egzotyczne bakalie i przyprawy. Istotna jest pora roku – wiosną śledzie są najświeższe i najsmaczniejsze – i potrzebne są też zasoby gotówkowe. Nad Wisłą żyli oczywiście opływający w złoto magnaci, ale większość szlachty była jednak dość uboga. Podobnie zróżnicowane było również chłopstwo i wielu przedstawicieli tej grupy społecznej miało dochody wyższe niż przeciętny szlachcic.

Bogaci chłopi jedli lepiej niż większość szlachciców – bo większość polskiej szlachty bogata nie była – ale niekoniecznie spożywali oni śledzia po kaszubsku. Udokumentowana historia tej potrawy sięga bowiem co najwyżej początków XX w., być może dostępna była już w wieku XVIII, ale nie wiadomo, czy istniała wcześniej. To samo dotyczy innych potraw: nie wiemy dokładnie, co jedli nasi przodkowie, a nasi sąsiedzi nie wiedzą, co jedli ich przodkowie.

Skąd bowiem czerpać taką wiedzę? Najłatwiej z książek kucharskich, ale w dawnych wiekach „zwykłe” książki były towarem luksusowym, więc przepisy zamieszczone w książkach kucharskich są równie luksusowe, jak np. „stół na 12 osób, na obiad 4 dania” z XVIII-wiecznego „Kucharza doskonałego” Wojciecha Wielądka. Jedzenie codzienne – kluski z serem, kasza z sosem, chleb ze słoniną – w książkach kucharskich nie gościło, a i dziś gości tam rzadko. Pozostają więc metody pośrednie – archeologia, nieliczne wspomnienia, a przede wszystkim raporty handlowe i wojskowe: wojsko jadło bowiem najprościej, tak jak najubożsi.

Od rewolucji do rewolucji

Rewolucja neolityczna polegała na zmianie trybu życia z koczowniczego na osiadły, ale to nie kwestie związane z turystyką były najważniejsze. Najważniejsza była możliwość przechowywania żywności. Przed rewolucją jadało się dobrze jedynie okazjonalnie, gdy upolowało się mamuta, znalazło drzewa pełne ulęgałek albo zebrało się nasiona wysianego jęczmienia. Po rewolucji jęczmień, ulęgałki i mamuta można było schować na później, co miało swoje cywilizacyjne konsekwencje: z jęczmienia warzono piwo, z ulęgałek wyhodowano gruszki, a mamuty… No cóż, na mamuty był taki popyt, że wyginęły.

Mamuty są o tyle istotne, że ich mięso stanowiło podstawę diety, ale nie ze względu na smak, a konieczność. Ciężko pracujący mężczyzna potrzebuje bowiem ok. 4 tys. kcal, co może sobie zapewnić

eprasa.pl d8ca3081f8

jedząc albo pół kilograma wędzonej słoniny, albo 10 kg buraków. Pytanie, co wziąć do pracy na pole albo na wyprawę wojenną, jest pytaniem retorycznym.

Oczywiście od mamutów bardziej popularne były baranina, koźlina czy wieprzowina z hodowli, dziczyzna z lasów, no i ryby. Problem stanowiło oczywiście przechowywanie mięsa, ale z biegiem czasu pojawiły się odpowiednie metody – suszono je, wędzono, a przede wszystkim solono. Jesienią – gdy młode były już odchowane – ze starszych zwierząt produkowano różnego rodzaju przetwory, które starczały do wiosny (później następował przednówek, gdy jedzenie było na ukończeniu). Sytuacja poprawiała się dopiero wraz z nadejściem lata, gdy można było korzystać ze świeżych warzyw, owoców i serów.

Przechowywanie żywności było problemem, bo lodówki pojawiły się stosunkowo niedawno. Wcześniej radzono sobie na różne sposoby, przede wszystkim kopiąc studnie i piwnice. W głębokiej piwnicy można było nawet przechować do lata lód, wycięty zimą z zamarzniętej rzeki czy jeziora, który wykorzystywano do konserwowania wiktuałów. Nawet bez lodu w piwnicy czy w studni było dość chłodno: w wielu spokrewnionych z polszczyzną językach słowo „stud" oznacza właśnie zimno i chłód. Przykładowo w języku chorwackim „studeni" to miesiąc zwany u nas listopadem, chłodna woda to woda wystudzona, a studnia… to miejsce, skąd wydobywa się zimną wodę.

Jadłospis

Starożytni Grecy uprawiali pszenicę, oliwki i winne grona, więc podstawę ich diety stanowił chleb maczany w oliwie, popijany rozcieńczonym winem. Oczywiście najważniejsza była „wkładka mięsna", nad Morzem Śródziemnym często składająca się ryb, nierzadko też zastępowana serem, o różnym stopniu świeżości i twardości. Z warzyw jedzono buraki i cebulę, zapewniające większość witamin i dobre trawienie, zmieniające smak potraw, a co ważne – łatwe w przechowaniu.



Annibale Carracci „Sklep rzeźnika"
FOT. COMMONS WIKMEDIA, CHRIST CHRURCH PICTURE GALLERY



Jan Piotr Norblin „Kobieta robiąca owsiankę"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BNF GALLICA

Starożytni Polacy mieszkali na mniej żyznych i nie tak ciepłych ziemiach. Pszenicę często zastępowali gryką, oliwki – rzepakiem, a wino – jęczmieniem i piwem. Nieco mniej starożytni Polacy korzystali z darów zza Atlantyku: ziemniaków i słoneczników. Podstawę polskiej diety stanowiła przede wszystkim kasza. A raczej kasze: perłowa i pęczak z jęczmienia, gryczana (oczywiście z gryki), manna z pszenicy (ale bez szaleństw: to odpad z mielenia ziarna na mąkę). Najpopularniejszą „wkładkę mięsną" stanowiła wieprzowina, wołowina – zdaje się – bywała na stołach częściej niż dziś, a drób – rzadziej. Popularne były ryby zarówno słodkowodne, jak i sprowadzane znad morza: marynowane śledzie i suszone dorsze. Warzyw był większy wybór niż w starożytności, szczególnie popularna była kapusta, no i oczywiście nie można zapominać o serach.

Trzeba też pamiętać o nieco innych standardach panujących przed kilkuset czy nawet kilkudziesięciu laty. W XXI w. kupione wczoraj pieczywo uznajemy za nieświeże, a nie tak dawno chleb miał trwałość kilkumiesięczną, natomiast jeżeli chciało się ją przedłużyć, to robiono z niego suchary. Nawet dziś dostępne są na wolnym rynku chleby wojskowe, których przydatność do spożycia wynosi dwa lata! Wiktor Gomulicki we „Wspomnieniach niebieskiego mundurka", przedstawiając życie codzienne XIX-wiecznych uczniów wywodzących się z mazowieckiej szlachty i włościan, pisał, że na stancji „zapas wiktuałów w ciągu roku szkolnego odnawia się trzykrotnie: po wakacjach, po Bożym Narodzeniu i po Wielkanocy. Nic też dziwnego, że przy końcu kwartału właściciele […] do dzielenia swego chleba i sera używać muszą już nie noży i scyzoryków, lecz – siekiery".

Kalifornia i Kaszuby

I nie powinno również dziwić, że przy ograniczonej różnorodności potraw i ich wątpliwej świeżości olbrzymie znaczenie miały sosy i przyprawy. Sos potrafi zmienić nie tylko smak, lecz także zapach mięsa, a pierwsze skrzypce grają w sosach przyprawy. Pieprz był cenniejszy niż złoto i to właśnie chęć zdobycia go popchnęła Europejczyków do odkrycia Ameryki, podboju Azji i opanowania Afryki.

O jakości lokalnej kuchni decydują lokalnie dostępne przyprawy. Z wielu powodów inaczej jadło się na nadmorskich Kaszubach, inaczej na żyznej Lubelszczyźnie, jeszcze inaczej – raczej gorzej – na dość ubogiej Kurpiowszczyźnie. Wiele zależało od wyroków losu: susza lub powódź oznaczały głód, szczególnie że lokalne rynki zbytu były odizolowane i pomoc humanitarna była po prostu niemożliwa. Działania wojenne prowadziły do głodu, podobnie jak rozbiory: XVIII w. był dla Polaków dość szczęśliwy gospodarczo, ale rozbiory doprowadziły do katastrofy ekonomicznej, zubożenia chłopów i pogorszenia jadłospisu.

Nadszedł jednak wiek XIX, z kartoflami, kolejami i konserwami. Żywność stała się tańsza, egzotyczne produkty łatwiej dostępne, a potrawy można było przechowywać latami, w razie potrzeby odgrzewając je w okamgnieniu. Wkrótce potrawy regionalne zostały zastąpione potrawami narodowymi, kuchnia przestała być najważniejszym pomieszczeniem w domu, a dziś obiad w Kalifornii mało różni się od obiadu na Kaszubach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8



Zasypać wroga trupami / Sowieckie podejście do sołdatów

Ukraiński żołnierz na froncie w Donbasie

FOT. THOMAS KRYCH/AA/ABACA PRESS/EAST NEWS

Mięsne szturmy



Piotr Zychowicz

Pod Bachmutem Rosjanie rzucali swoich żołnierzy na pewną śmierć. Do złudzenia przypominało to taktykę bolszewików z okresu wielkiej wojny ojczyźnianej

Konflikt zbrojny na Ukrainie zrewolucjonizował sztukę wojenną. Jesteśmy świadkami masowego użycia dronów, które ciągną za sobą światłowody. Małe plastikowe ustrojstwo za kilkaset dolarów jest w stanie zniszczyć wart wiele milionów czołg lub działo samobieżne.

Na froncie działają roboty. Obie strony używają sztucznej inteligencji i korzystają z obrazowania satelitarnego. Wojna rosyjsko-ukraińska jest wojną XXI w. Nie oznacza to jednak, że nie ma w sobie elementów poprzednich konfliktów zbrojnych. Wręcz przeciwnie.

Noże i saperki

Tysiące filmów – kręconych przez żołnierzy obu armii przy pomocy smartfonów – dowodzą, że warunki panujące na froncie do złudzenia przypominają pierwszą wojnę światową. Żołnierze całymi miesiącami gniją w wilgotnych okopach ostrzeliwani przez wrogą artylerię. Piechota szturmuje wrogie pozycje. Dochodzi do wymiany ognia z bliskiej odległości, znane są przypadki zaciętych walk na noże i saperki.

Jednym z najbardziej szokujących aspektów tej wojny były jednak mięsne szturmy piechoty rosyjskiej. Miały one miejsce m.in. pod Bachmutem. Masy rosyjskich żołnierzy – świeżo wyciągniętych z więzień i kolonii karnych przez Grupę Wagnera – były pędzone wprost pod ogień ukraińskich karabinów maszynowych.

Ludziom tym dawano do ręki zardzewiałe karabinki AK-47 i hełmy z czasów drugiej wojny światowej. Nie mieli kamizelek kuloodpornych. Było to klasyczne „rozpoznanie bojem". Dowództwo rzucało tych ludzi na pewną śmierć, licząc, że może choć część dobiegnie do nieprzyjacielskich pozycji. Straty wśród tych oddziałów były zatrważające.

Było to jednak wojowanie nie tyle „po rosyjsku", ile po „sowiecku". Aby się o tym przekonać, wystarczy zajrzeć do dowolnych wspomnień niemieckich żołnierzy walczących na froncie wschodnim. Weźmy popularną książkę „Krwawy śnieg" napisaną przez Güntera K. Koschorrka, młodego żołnierza z 24. Dywizji Pancernej.

Koschorrek jesienią 1942 r. trafił na front wschodni, w okolice Stalingradu. Brał tam udział w zaciętych walkach z bolszewikami jako operator karabinu maszynowego MG-34 (a potem MG-42). Walki te toczyły się w ekstremalnych warunkach. Straszliwy mróz, zamiecie

eprasa.pl d8ca3081f8

śnieżne, głód, morderczy ostrzał „organów Stalina".

Ludzkie fale

Koschorrek wielokrotnie brał udział w starciach wręcz. Został sześciokrotnie ranny! Za swoje zasługi bojowe dostał Żelazny Krzyż. Wielokrotnie ratował swoich towarzyszy broni przed pewną śmiercią, kosząc sowieckie tyraliery celnymi seriami pocisków 7,92 mm.

Ale oddajmy głos Koschorrkowi:

„Zmierzyłem pozycję, przycisnąłem kolbę MG-34 do ramienia, ująłem chwyt pistoletowy i, tak jak mnie uczono, puściłem krótką serię, celując w środek nadbiegającej fali. Kilka brunatnych postaci padło na ziemię, a sąsiednie zatrzymywały się na moment. Potem ruszyły dalej, a ja kosiłem je krótkimi seriami, rozszerzając ogień na boki.

Mój umysł się wyłączył. Widziałem tylko zbliżające się fale wrogich żołnierzy i robiłem, co mogłem, by było ich coraz mniej. Jedyne, co czułem, to strach – strach, że ta brunatna fala dojdzie do okopu i zaleje nas. Mnie i wszystkich wokół. Tak mnie to pochłonęło, że dopiero po bitwie zauważyłem oparzenie na wewnętrznej stronie dłoni, powstałe w trakcie wymiany lufy, gdy rozgrzanie podstawowej [lufy] spowodowało zacięcie broni.

To był idiotyzm! Strzelaliśmy do nich z przygotowanych pozycji, mając cztery karabiny maszynowe i co najmniej osiemdziesiąt zwykłych. I kosiliśmy ich niczym rolnik łan zboża, a oni ciągle szli. Z mgły wyłaniały się kolejne fale i szły śladem poprzednich, których niedobitki dotarły już na tyle blisko, że widzieliśmy ich twarze. Nagle dwa karabiny maszynowe na prawym skrzydle zamilkły.

Atakujący natychmiast zmienili kierunek, grupując się tam, gdzie nasz ogień był najsłabszy. Ja i Meinhard robiliśmy, co tylko było można, by ich powstrzymać, ale musieliśmy też ostrzeliwać tych, którzy nadal szli prosto na nas, więc efekt był mizerny.

Basowe dudnienie Flakvierlinga [działa przeciwlotniczego] było takim samy zaskoczeniem dla nas jak dla Rosjan, tyle że dla większości z nich było to ostatnie zaskoczenie w życiu. Odłamkowe pociski kal. 20 mm dosłownie poszatkowały atakujących, wybijając dziurę w samym środku grupy. Odezwały się też na prawym skrzydle dwa karabiny maszynowe, kończąc dzieło zniszczenia. Ich nagłe zamilknięcie było wiec celowe, by wciągnąć wroga w pułapkę ogniową, i w pełni im się to udało.

Obsługa Flakvierlinga po zlikwidowaniu zagrożenia na prawym skrzydle przeniosła ogień na atakujących nas Rosjan i załatwiła ich równe szybko i skutecznie. A potem zapanowała cisza, bo nowa fala napastników już się nie wyłoniła ze mgły.

Wziąłem głęboki oddech i oprzytomniałem. Wygrałem pierwszą bitwę. Ostrożnie uniosłem głowę i rozejrzałem się – całe pole przed nami usiane było ciałami lub fragmentami ciał w burobrązowych mundurach. Gdzieniegdzie ciała leżały jedne na drugich. Słychać było jęki i krzyki rannych".

Jak za Stalina

Przepraszam za tak długi cytat, ale jest on bardzo charakterystyczny. W ciągu kolejnych miesięcy spędzonych na froncie wschodnim Koschorrek miał odeprzeć jeszcze wiele takich mięsnych szturmów. Tabuny oszalałych ze strachu, niemal bezbronnych czerwonoarmistów (jeden karabin na trzech) były pędzone wprost na pozycje niemieckie.

Ci nieszczęśni ludzie nie mogli zrobić „ani kroku w tył", bo za plecami stali bezwzględni komisarze i bandyci z oddziałów zaporowych NKWD. Ich zadaniem było strzelać do wycofujących się żołnierzy. Sowieckie dowództwo doskonale wiedziało, że większość czerwonoarmistów zostanie zmasakrowana. Uważało jednak, że ma do dyspozycji więcej ludzi, niż Niemcy mają pocisków: „Zmiażdżymy ich masą!". Ludzką masą...



Żołnierze Wehrmachtu przy karabinie maszynowym MG-34

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/PAUL CRAWLER

Każdy zna poniższe cytaty. Józef Stalin miał powiedzieć: „Ludiej u nas mnogo". A marszałek Żukow: „Nie oszczędzajcie żołnierzy! Baby urodzą nowych". Niezależnie od tego, czy słowa te rzeczywiście padły, sowieckie dowództwo wykazywało się wręcz szokującą pogardą i lekceważeniem dla życia własnych żołnierzy.

Jest czymś zdumiewającym, że część rosyjskich dowódców w XXI stuleciu – w trakcie wojny z Ukrainą – stosowała tę samą zbrodniczą „taktykę". Mimo upływu ośmiu dekad wielu rosyjskich dowódców mentalnie nadal tkwi w epoce Stalina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d8ca3081f8

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

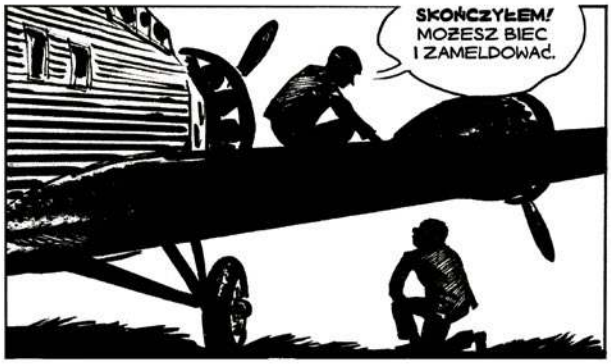
PIERWSZE PLANY PRZEPROWADZENIA AKCJI NA LOTNISKU BIELANY POJAWIŁY SIĘ JUŻ W POŁOWIE 1943 ROKU ZA SPRAWĄ KAPITANA JANA KAJUSA ANDRZEJEWSKIEGO ,,JANA'', DOWÓDCY ODDZIAŁU SPECJALNEGO KEDYWU KG AK KRYPTONIM ,,OSJAN''. WRÓCONO DO NICH WIOSNĄ 1944 ROKU. DOWODZĄCY WÓWCZAS ODDZIAŁEM ,,OSJAN'' PORUCZNIK JULIAN BARKAS ,,SAWICZ'' ZLECIŁ PRZYGOTOWANIE PLANU ATAKU DWÓM SWOIM PODKOMENDNYM: ALEKSANDROWI WĄSOWICZOWI ,,SPADOWI'' I JERZEMU ZAUFALLOWI ,,OLIWIE''.



OSTATECZNY PLAN STANOWIŁ POŁĄCZENIE KONCEPCJI ,,SPADA'' I ,,OLIWY''. OPERACJI NADANO KRYPTONIM ,,AKCJA BIELANY'' I PRZYSTĄPIONO DO PRZYGOTOWANIA ŁADUNKÓW WYBUCHOWYCH ORAZ POTRZEBNEGO SPRZĘTU. KIEROWANIE AKCJĄ POWIERZONO ,,SPADOWI'', DLA KTÓREGO BYŁ TO JEDNOCZEŚNIE EGZAMIN NA STOPIEŃ OFICERSKI. NATOMIAST JAN ANDRZEJEWSKI ,,JAN'' ZOSTAŁ OBSERWATOREM Z RAMIENIA KEDYWU KOMENDY GŁÓWNEJ AK. PUNKT ZBORNY ZORGANIZOWANO W WAWRZYSZEWIE, W PIWNICY NIEWYKOŃCZONEGO DOMU, STOJĄCEGO OKOŁO KILOMETR W LINII PROSTEJ OD BIELAŃSKIEGO LOTNISKA. STAMTĄD W NOCY Z 3 NA 4 MAJA 1944 ROKU WYRUSZONO NA AKCJĘ.



GŁÓWNY ODDZIAŁ PODZIELONO NA PIĘĆ DWUOSOBOWYCH ZESPOŁÓW. JEDEN Z KAŻDEGO ZESPOŁU ZAKŁADAŁ ŁADUNEK WYBUCHOWY NA SKRZYDLE SAMOLOTU, W POBLIŻU ZBIORNIKA Z PALIWEM, DRUGI NATOMIAST MIAŁ PRZEKAZAĆ DOWÓDCY, ŻE SIĘ UDAŁO.



GDY WSZYSTKICH PIĘCIU ZŁOŻYŁO MELDUNEK, ,,SPAD'' DAŁ SYGNAŁ DO ZAPALENIA LONTÓW.



W TRAKCIE WYCOFYWANIA SIĘ Z LOTNISKA NATRAFIONO NA DWUOSOBOWY NIEMIECKI PATROL. DOSZŁO DO WYMIANY OGNIA, W WYNIKU CZEGO JEDEN Z CZŁONKÓW ODDZIAŁU ,,OSJAN'' ZOSTAŁ LEKKO RANNY. CHWILĘ PÓŹNIEJ NASTĄPIŁY SKOORDYNOWANE EKSPLOZJE. ZNISZCZONO PIĘĆ SAMOLOTÓW JUNKERS JU 52, A TRZY KOLEJNE UZYSKAŁY USZKODZENIU. POCZĄTKOWO NIEMCY MYŚLELI, ŻE DOSZŁO DO ZBOMBARDOWANIA LOTNISKA, DOPIERO NAD RANEM ZORIENTOWANO SIĘ, SKĄD NASTĄPIŁ ATAK.



eprasa.pl d8ca3081f8

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

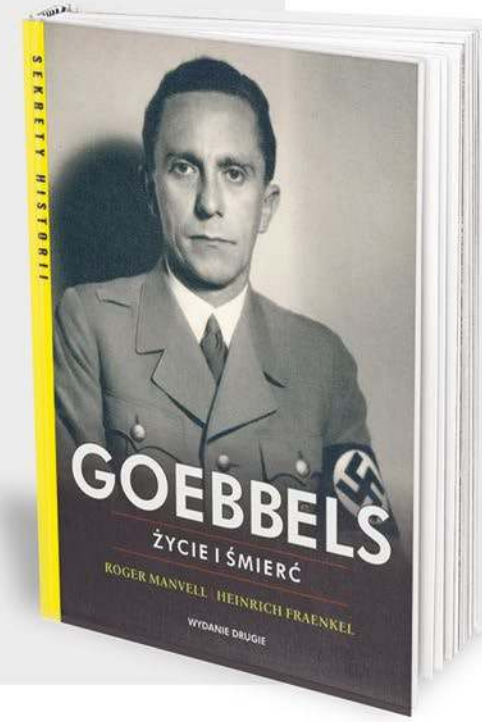
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROGER MANVELL I HEINRICH FRAENKEL: „GOEBBELS. ŻYCIE I ŚMIERĆ"

Goebbels. Życie i śmierć

„Aby zrozumieć w pełni, jak naziści zdołali osiągnąć swój cel w tak krótkim czasie, nie wolno skupiać się wyłącznie na osobie Hitlera, lecz należy poświęcić równie dużo uwagi osobliwemu, odpychającemu, niebezpiecznemu, a jednocześnie fascynującemu człowiekowi, jakim był Joseph Goebbels."
/ze Wstępu/

Geniusz propagandy i mistrz środków masowego przekazu, jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, zaciekły zwolennik „wojny totalnej" – Joseph Goebbels był zapewne najinteligentniejszym i wyjątkowo niebezpiecznym członkiem nazistowskiej hierarchii. To właśnie jego przebiegłe i precyzyjnie obmyślone wykorzystanie nowych wówczas mediów – radia i filmu dźwiękowego – pozwoliły opętać umysły Niemców tak, że oddali władzę w ręce Hitlera, a następnie podporządkowali państwo nazistowskiej ideologii, która doprowadziła do wybuchu najokrutniejszej wojny w historii ludzkości.
Ta klasyczna biografia jest portretem Goebbelsa – człowieka i Goebbelsa – mistrza propagandy. Ukazuje jego historię od lat szkolnych, przez etap odkrycia ruchu nazistowskiego oraz karierę w partii, po ostatnie miesiące, kiedy Goebbels jako jedyny ze starej gwardii dochował wierności Hitlerowi. Autorzy sięgnęli po liczne dokumenty i dotarli do wielu świadków, którzy pomogli im wnikliwie zbadać życiorys i karierę ministra propagandy Trzeciej Rzeszy.



169 zł

oszczędność 48 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d8ca3081f8

67 lat
historii filmu

Największa baza
dorobku polskiej
kultury filmowej

Filmopedia
FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI
INSTYTUT
SZTUKI
FILMOWEJ

eprasa.pl d8ca3081f8